NA WOZIE PEŁNYM TRUPÓW
Opisy rzezi dokonanej przez chłopów na szlachcie to porażająca lektura

STALOWY GIGANT CARNEGIE
Najbardziej wpływowy filantrop w dziejach wspierał sprawę polską

ARABSCY ŻOŁNIERZE ADOLFA HITLERA
III Rzesza wciągnęła również muzułmanów w swoje szeregi. Byli okrutni i bezwzględni

NR 4(158)/2026 KWIECIEŃ 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Dlaczego chłopi wyrzynali polską szlachtę

HORROR RABACJI GALICYJSKIEJ

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

eprasa.pl bf9306b6a

REPUBLIKA

Cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Widzowie zagłosują także na niechlubne Oskary Tygodnia – **najlepszy hit z sieci.**



SOBOTA
12:20
w Republice

Zapraszają Mirona Hołda i Oskar Szafarowicz

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl bf9306b6ba

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, luty 1928 r.

Delegacja chłopów z okolic Opoczna u prezydenta Ignacego Mościckiego



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

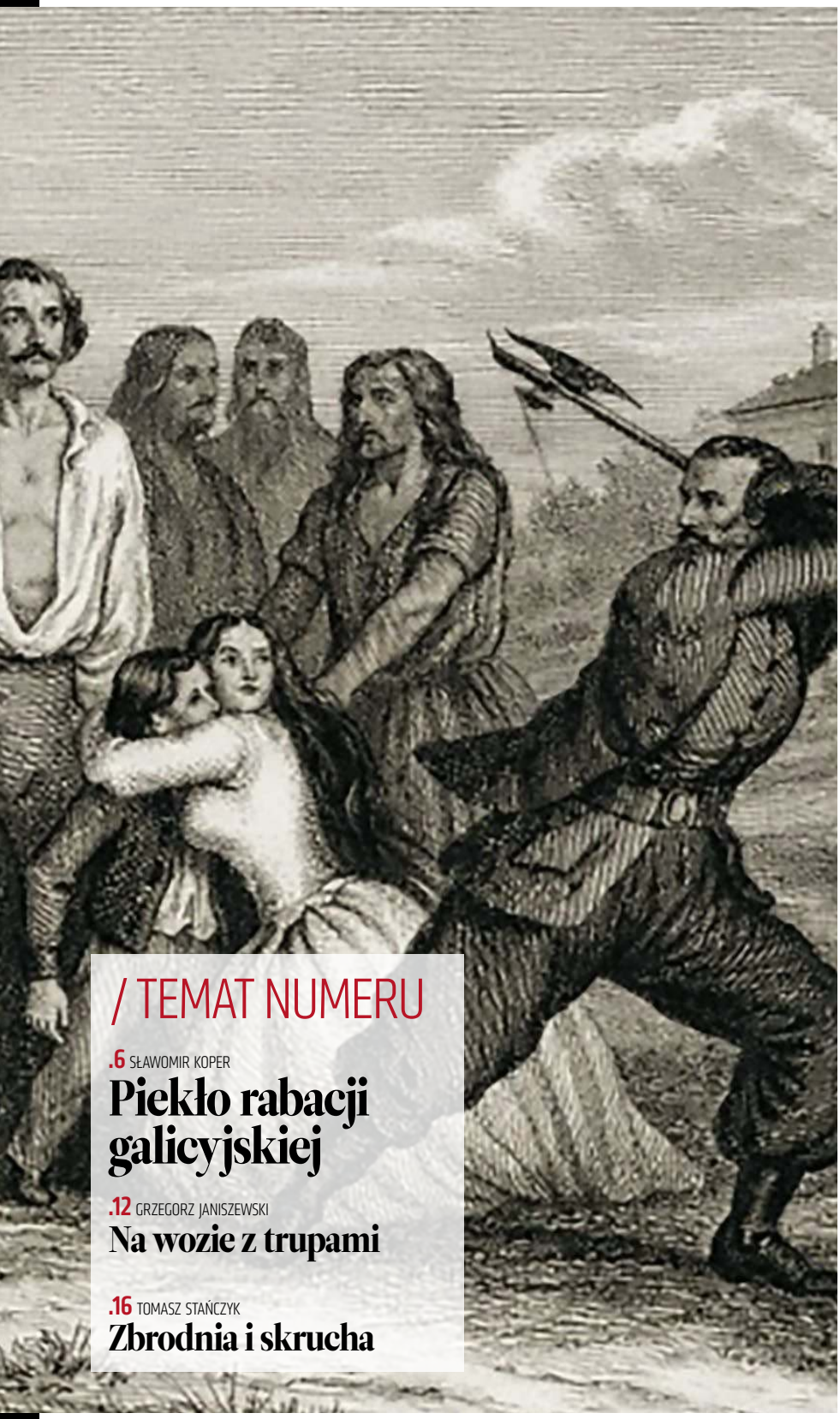
Szał Szeli

Szlachta była mordowana na wszelkie możliwe sposoby. Nie wyłączając tych najbardziej makabrycznych, do czego nawiązują słowa „mego dziadka piłą rżnęli", które padają w „Weselu". Jak zauważa Sławomir Koper w głównym tekście numeru, w trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Można też spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy. Niektórym Polakom sceny rozgrywające się zimą 1846 r. na galicyjskich dworach kojarzyć się będą z horrorem, do którego doszło niemal 100 lat później nieco dalej na wschód – na Wołyniu.

Oczywiście wybuch chłopskiego gniewu miał swoje przyczyny, o których trzeba uczciwie opowiedzieć. Brutalne wykorzystywanie chłopów przez szlachciców, którzy często byli po prostu panami ich życia i śmierci, quasiniewolnicza pańszczyzna i wreszcie piszcząca bieda, za którą wieś obwiniała dwór. To wszystko prawda i takie było podglebie tych makabrycznych wydarzeń, ale jednak tak dzikiego szału mordowania, który pochłonął w ciągu zaledwie kilku dni być może nawet 2–3 tys. ofiar (szacunki są tu niedokładne), nie da się usprawiedliwiać.

I dlatego Jakub Szela, uchodzący za przywódcę rabacji galicyjskiej (to akurat nie jest prawda), nie za bardzo nadaje się na postać pomnikową, chociaż niektórzy aktywiści (także wśród literatów i historyków) próbują go ubierać w szaty chłopskiego powstańca, który w sumie chciał dobrze. W całej tej sprawie przeraża jeszcze jedno: łatwość, z jaką austriaccy zaborcy rozegrali swoich nowych poddanych, napuszczając chłopstwo na szykującą powstanie szlachtę. ©℗

eprasa.pl bf9306b6ba



/ TEMAT NUMERU

.6 SŁAWOMIR KOPER
Piekło rabacji galicyjskiej

.12 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Na wozie z trupami

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Zbrodnia i skrucha

/ CZASY I LUDZIE

.20 JAKUB WOZINSKI
Stalowy filantrop

.24 LESZEK LUBICKI
Sekrety „Testamentu Krzywoustego”

.28 PIOTR WŁOCZYK
Sosnowe świadectwo

.32 MIKOŁAJ IWANOW
Potiomkinowskie wioski i pałace

.36 ANNA SZCZEPAŃSKA
Bizantyjskie gry o porfirową komnatę

.40 JAKUB OSTROMĘCKI
Kozielska wojna nerwów

.44 PIOTR SEMKA
Czmychający Bierut

.48 PIOTR WŁOCZYK
Bitwa o wrak „San José”

.52 MAREK KLECEL
Kod Voynicha

.56 PIOTR WŁOCZYK
„Kojot” na granicy śmierci

.60 SŁAWOMIR KOPER
Burzliwa młodość geniusza

eprasa.pl bf9306b6ba

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wiersze pisane prozą

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Napoleon w Zatoce Perskiej

.71 PIOTR SEMKA
Igraszka mocarzy

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Arabowie Hitlera

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Pikiniera nie warto zabijać

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Techniczna strona emancypacji

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Czy gen. von Fritsch szukał śmierci?

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Sława i potępienie Jana Czochralskiego

REKLAMA



eprasa.pl bf9306b6ba



Jan Lorentowicz, „Rabacja chłopska 1846"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM W DOŁĘDZE

1846 r. / 180. rocznica krwawego buntu

Piekło rabacji galicyjskiej



Sławomir Koper

W trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem, a ulubioną metodą zadawania śmierci stało się odpiłowywanie głów

Zabór austriacki nazywano „Golicją i Głodomerią", co trafnie oddawało specyfikę miejscowych stosunków gospodarczych. W połowie XIX w. ziemie te uchodziły bowiem za najbardziej zacofaną część Polski, kraj nie posiadał nowoczesnej administracji, a w urzędach okręgowych (cyrkułach) posługiwano się jeszcze łaciną. Na szczeblu lokalnym sprawy samorządowe leżały w gestii dworów, dziedzic był miejscowym sędzią, poborcą podatków i władzą wykonawczą. Głównym obowiązkiem chłopów było natomiast odrabianie pańszczyzny i dostarczanie odpowiedniej liczby rekrutów.

Pańszczyzna sięgała epoki średniowiecza i w XIX w. stała się niebezpiecznym przeżytkiem. Wzbudzała powszechny opór, chłopi nie chcieli poświęcać większości czasu na darmową pracę na gruntach dworskich. Wzrastała świadomość włościaństwa, do rodzinnych wsi powracali rekruci, którzy poznali inny świat niż galicyjska bieda. I to właśnie oni mieli stać się rozsadnikiem nowych idei. Podczas służby w armii przyzwyczaili się do względnie wygodnego życia i trzech posiłków dziennie, a to w ubogiej Galicji nie było normą.

Po powrocie zdegradowani do roli najbiedniejszych komorników (mieszkających w komorach obok bydła) i pozbawieni środków do utrzymania musieli jeszcze za darmo pracować na polach dziedzica. Podczas rabacji stali się najbardziej aktywną częścią chłopskich gromad, siejąc grozę wśród miejscowej szlachty.

Dwory z całą bezwzględnością egzekwowały powinności pańszczyźniane, chociaż dziedzic (przynajmniej oficjalnie) nie był panem życia i śmierci poddanych. Obowiązujące prawo zezwalało wprawdzie na uwięzienie krnąbrnego chłopa, ale wychłostanie go wymagało już zgody władz na szczeblu cyrkułu. W rzeczywistości jednak ziemianie nie przejmowali się specjalnie przepisami, a chłosta kończyła się czasami nawet śmiercią delikwenta. Skutki kary zależały bowiem od siły ręki ekonoma (zarządcy) i poziomu jego sadyzmu.

Inną nagminnie stosowaną karą był karcer, z czym osobiście miał okazję

eprasa.pl bf9306b6ba

zapoznać się jeden z przyszłych wodzów rabacji – Jakub Szela. Uwięzionemu za nieodpracowanie pańszczyzny zapewniono jednak posługę duchową i zaprowadzono go w kajdanach na nabożeństwo do kościoła. Był koniec grudnia, panował ostry mróz, Szela stał pod świątynią i nabawił się poważnych odmrożeń. Nigdy nie zapomniał tego dziedzicowi Smarżowej. Pretensje kierował również do proboszcza, który obojętnie przyglądał się jego cierpieniu.

Najbardziej nieposłusznych chłopów relegowano z zajmowanych gospodarstw, chociaż była to żmudna procedura. Często zresztą kończyła się protestem całej wsi i do akcji wkraczało wojsko. Dzielni wojacy nie musieli jednak specjalnie się wysilać, najczęściej wystarczyło zakwaterowanie oddziału w zbuntowanej osadzie. Obowiązkami włościan były bowiem kwaterunek i wyżywienie wojsk jego cesarskiej mości, wobec czego chłopi natychmiast wracali do pracy.

Skargi włościan rzadko rozpatrywano pozytywnie, zresztą samo jej złożenie było dużym wyzwaniem dla niepiśmiennego chłopa. Wiadomo, że Szela korzystał z usług znajomego pisarza, po czym osobiście zawoził pismo do oddalonego o ponad 200 km Lwowa. Oczywiście po złożeniu skargi dwór otaczał szczególną „opieką" bezczelnego włościanina, który usiłował szukać obrony przed swoim panem.

Austriacy umiejętnie podsycali antagonizm pomiędzy dworem a wsią. Wśród włościan pojawił się kult „dobrego cesarza" chcącego ulżyć doli poddanych, na co nie pozwalała zła szlachta, hamując postępowe reformy. Łatwowierni chłopi bezkrytycznie przyjmowali najdziwniejsze pogłoski, z których najważniejszą była informacja o likwidacji pańszczyzny. Podobno dwór wiedeński miał ją już dawno znieść, jednak niedobrzy panowie i księża nie chcieli tego publicznie ogłosić. Uwierzył w to nawet Szela i miał zamiar wyprawić się do Wiednia, aby osobiście się przekonać, ile w tym prawdy…

Powstanie '46

W tym czasie polskie organizacje emigracyjne przygotowywały powstanie mające objąć wszystkie trzy zabory. Wybuch insurekcji zaplanowano na pierwsze miesiące 1846 r., jednak skuteczne działania policji rosyjskiej i pruskiej sparaliżowały zamiary powstańców. W Królestwie Polskim rządzonym twardą ręką przez namiestnika Iwana Paskiewicza praktycznie nie doszło do żadnych wystąpień, a niewielkie rozruchy w zaborze pruskim zostały szybko spacyfikowane. Inaczej natomiast potoczyły się losy zrywu w Galicji, gdzie głównym przeciwnikiem powstańców mieli okazać się ich właśni poddani, a wojsk austriackich oczekiwano czasami jak wybawienia…

Dwór wiedeński przyjął bowiem inną taktykę od Berlina i Petersburga. Trwała mroźna i śnieżna zima, komunikacja z centralną częścią monarchii była sparaliżowana, a w Galicji stacjonowały stosunkowo niewielkie siły zbrojne. Władze austriackie zdecydowały się zatem na użycie najgroźniejszej broni. Gdy 21 lutego 1846 r. w Krakowie proklamowano utworzenie Rządu Narodowego, od trzech dni trwały już wystąpienia chłopskie.

Miejscowi starostowie przyjmowali delegacje włościan z okolicznych wsi, strasząc chłopów, że „panowie Polacy" usuną administrację, a ich samych zagonią do jeszcze cięższej pracy. Zachęcano do atakowania powstańców, obiecując nagrody pieniężne za każdego dostarczonego rebelianta. Za martwych płacono zresztą znaczenie więcej niż za żywych! Z Jakubem Szelą rozmawiano na ten temat znacznie wcześniej. „Byłem wezwany do cyrkułu na trzy tygodnie wprzód – wspominał. – Powiedział mi starosta: »Szelo! Daję Ci nieograniczoną władzę robienia w tych wsiach, co Ci się będzie zdawać. Uważ, co Ty znaczysz! Arcyksiążę Ferdynand jeden, a ty drugi w Galicji – jesteś plenipotentem«".

Austriacy w mistrzowski sposób wykorzystali największą słabość powstańców – brak rozwiązania kwestii chłopskiej. Agitację na wsi prowadzono bowiem bez przekonania, dominował pogląd, że najważniejsza jest niepodległość, a na pozostałe sprawy przyjdzie czas później. Popełniono tragiczny błąd; galicyjscy chłopi uważali się za „cesarskich", a szlachta była wyłącznie „panami", od których doznawali krzywd. Włościanie nie posiadali zresztą w ogóle świadomości narodowej, a określenie „Polak" było dla nich synonimem obelgi.

Powstanie zakończyło się klęską, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęło. Większość ochotników z powodu potężnych opadów śniegu nie potrafiła nawet dotrzeć na miejsca koncentracji. W Tarnowie władze aresztowały niemal wszystkich spiskowców, katastrofą zakończyła się też insurekcja w Krakowie. Prawdziwe nieszczęścia miały jednak dopiero nadejść – na powracających powstańców czekały chłopskie gromady. W Galicji rozpoczęło się prawdziwe polowanie na ziemian.

Gospodarz z Podkarpacia

Jakub Szela urodził się w połowie 1787 r. we wsi Smarżowa (obecne województwo podkarpackie). Jako młodszy syn miejscowego chłopa nie miał szans przejąć rodzinnego gospodarstwa i chcąc uniknąć służby wojskowej, obciął sobie dwa palce u lewej ręki. Samookaleczenie zapewne ocaliło mu życie, trwały bowiem krwawe wojny napoleońskie i niewielu rekrutów cesarza Franciszka I powróciło w rodzinne strony.

Został cieślą i kołodziejem, uznawany za dość inteligentnego (jak na niepiśmiennego chłopa) zwrócił nawet na siebie uwagę miejscowego dworu. Z tamtejszej służby pochodziła zresztą jego pierwsza żona.

„Najpierw ożenił się z Rozalią Chodonką – wspominał Adam Bogusz – wychowanką dworską dziadostwa, po której wziął zagrodę w Smarżowej przez dwór jej darowaną. Bijąc ją niemiłosiernie za wdzięczność i przywiązanie do dworu, wkrótce się jej pozbył".

Ślub odbył się w 1809 r., a małżeństwo zakończyło się śmiercią Rozalii 10 lat później. Szela odziedziczył gospodarstwo, żona urodziła mu również syna o imieniu Stanisław.

„Po śmierci Chodonki – kontynuował Bogusz – ożenił się Jakub Szela z Agnieszką Prebendowską, córką zagrodnika [chłopa posiadającego mało ziemi i utrzymującego się z pracy najemnej – przyp. red.], której ojciec był jego gorącym zwolennikiem z powodu ciągłej opozycji z dworem. Ta także długo nie żyła, a Szela mając opinię tyrana na żony,

eprasa.pl bf9306b6ba

nie mógł długo znaleźć odpowiedniej kandydatki we wsi rodzinnej i ożenił się po raz trzeci z jakąś dziewczyną z obcej wsi, którą tak bił i katował, że od niego uciekła i wkrótce umarła".

Obyczaje rodzinne Szeli nie odbiegały od norm galicyjskich włościan. Katowanie żon, szczególnie pod wpływem alkoholu, było normalną sprawą w tym środowisku.

Historycy powątpiewają jednak w małżeństwo z obcą dziewczyną, a wiarygodność relacji podważa brak personaliów wybranki. Doktor Bogusz, będąc potomkiem właścicieli sąsiedniego dworu, uchodził za człowieka doskonale zorientowanego w sprawach osobistych przywódcy rabacji, ale wspomnienia spisywał pół wieku później, co mogło mieć wpływ na wiarygodność przekazu.

Pewną natomiast sprawą jest kolejne małżeństwo Szeli (trzecie lub czwarte). W 1831 r. pojął za żonę 15-letnią Salomeę Niewiarowską. Pomimo znacznej różnicy wieku (pan młody miał 44 lata) związek okazał się względnie udany. Ale Szela nie byłby sobą, gdyby nie okazywał chorobliwej zazdrości o partnerkę:

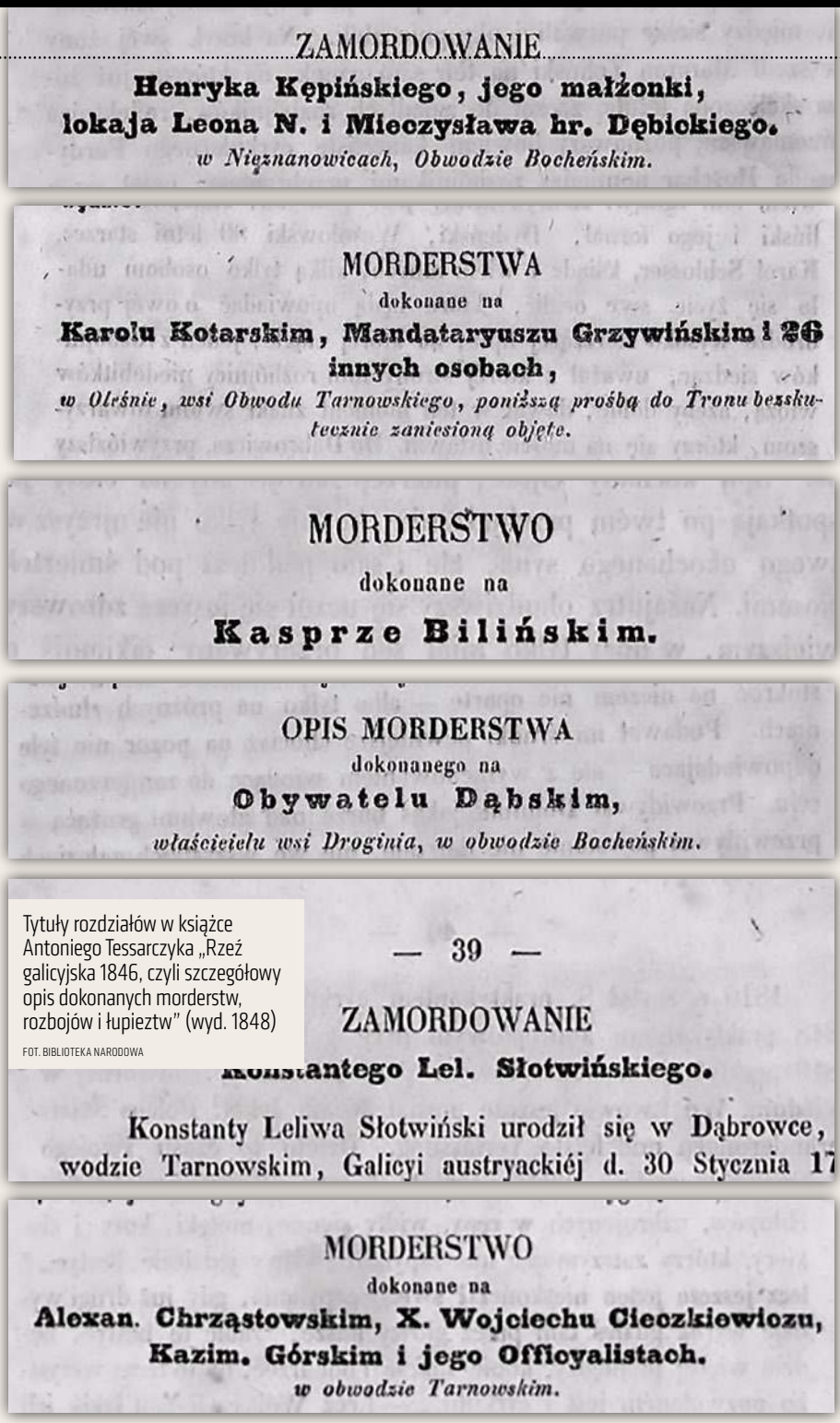
„W niedzielę przed pójściem do kościoła – pisał biograf Szeli, Jakub Traciłowski – musiała klęknąć przed krzyżem, który na ścianie wisiał, i przysięgać, że na innych mężczyzn nie spojrzy, a po powrocie, że przysięgi tej dotrzymała".

Adam Bogusz podawał natomiast bardziej drastyczne szczegóły:

„Tę żonę bardzo lubił i był o nią tak zazdrosny, że ją na krok nie wypuszczał z domu, a swego parobka, którego posądził o miłostki z żoną, tak zbił kijem, że ten na skutek tego ducha wyzionął".

Chorobliwa zazdrość i katowanie żon nie były jednak najpoważniejszymi zarzutami stawianymi Szeli. Podejrzewano, że miał na sumieniu znacznie cięższe przestępstwa:

„Opinia we wsi posądziła Szelę o zabicie Żyda Maślanki, krewnego arendarza [dzierżawcy – przyp. red.] z Siedliska, który w tajemniczy sposób zabity i obrabowany został w lesie Smarowa w chwili, gdy szedł na jarmark do Brzostek. Podejrzenie wzrosło, gdy wkrótce po tem morderstwie przyszedł do pieniędzy, zaczął się porządniej ubierać w długi czarny płaszcz, którym swój ubiór płócienny okrywał, i żył dostatnio".



ZAMORDOWANIE
Henryka Kępińskiego, jego małżonki, lokaja Leona N. i Mieczysława hr. Dębickiego.
w Nieznanowicach, Obwodzie Bocheńskim.

MORDERSTWA
dokonane na
Karolu Kotarskim, Mandataryuszu Grzywińskim i 26 innych osobach,
w Olśnie, wsi Obwodu Tarnowskiego, poniższą prośbą do Tronu bezskutecznie zaniesioną objęte.

MORDERSTWO
dokonane na
Kasprze Bilińskim.

OPIS MORDERSTWA
dokonanego na
Obywatelu Dąbskim,
właścicielu wsi Droginia, w obwodzie Bocheńskim.

— 39 —

ZAMORDOWANIE
Konstantego Lel. Słotwińskiego.

Konstanty Leliwa Słotwiński urodził się w Dąbrowce, wodzie Tarnowskim, Galicyi austryackiéj d. 30 Stycznia 17

MORDERSTWO
dokonane na
Alexan. Chrząstowskim, X. Wojciechu Cieczkiewiczu, Kazim. Górskim i jego Officyalistach.
w obwodzie Tarnowskim.

Tytuły rozdziałów w książce Antoniego Tessarczyka „Rzeź galicyjska 1846, czyli szczegółowy opis dokonanych morderstw, rozbojów i łupieztw" (wyd. 1848)
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zabójstwo starozakonnego nie musiało być jednak jedynym powodem zamożności Szeli. Kołodziej pobierał bowiem od władz austriackich regularną pensję za szpiegowanie właścicieli dworu. Ułatwiał mu to fakt, że mieszkańcy Smarżowej wybrali go na deputowanego wsi, czyli przedstawiciela chłopów w sporach z dworem. W 1845 r. Szela przygotowywał nawet postulaty do władz, proponując uwłaszczenie chłopów.

Na tropie zbrodni

Jako pierwszy gniewu poddanych doświadczył 18 lutego 1846 r. Wiktoryn Bogusz, dziedzic Siedlisk-Bogusz.

eprasa.pl bf9306b6ba



Jakub Szela. Akwarela z lat 1847–1848

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Następnie gromada chłopów udała się do dworu Nikodema Bogusza ze Smarżowej, mordując dziedzica. Natomiast później rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Doświadczył tego dziedzic Gorzejowej, Leopold Pohorecki, którego wcześniej dotkliwie pobito.

„Banda, wracając z Zawadki – wspominał Adam Bogusz – dowiedziawszy się po drodze do Gorzejowy, że żyje jeszcze Podhorecki, zbity w Kamienicy, wpadła do dworu, ażeby go dobić. Tam mordowano go powtórnie w łóżku, a sądząc, że już skonał, wrzucili go na wóz i wieźli do kostnicy kościelnej. Spostrzegłszy po drodze, że drga jeszcze, zrzucono go z wozu i końmi traktowano, a Wojciech Synowiecki wiercił mu nożem w głowie".

Austriacy zezwolili Szeli na swobodę działania przez jedną dobę. I faktycznie po jej upływie zbrodnie na podległym mu obszarze ustały, chociaż dalej plądrowano dwory.

Szela tymczasem udał się do własnej chałupy, gdzie spędzono okoliczne szlachcianki z dziećmi. Wbrew pozorom było to dla nich najbezpieczniejsze miejsce, ponieważ wszędzie dokoła groziłaby im śmierć z rąk zbuntowanych poddanych. Czekały zatem na rozwój wypadków u boku przywódcy zbrodniarzy, on bowiem jako jedyny cieszył się respektem wśród chłopów.

„Jedną z pań Boguszowych zrobili pisarzem grodzkim – wspominała świadek wydarzeń, Marianna Pikuzińska. – Inną znów Szela, największy rozbójnik, wziął pod swoją opiekę, zabiwszy jej męża i synów. Nieszczęśliwa kobieta musiała słuchać opowiadania, gdzie i jakim sposobem kogo zabili".

Szela nie ukrywał, że działa na polecenie władz austriackich. Wymieniał nawet kwoty pieniężne obiecane przez zaborców.

„W czasie strasznej katastrofy – opowiadał jeden ze świadków – kilkakrotnie powtarzał, że przez 24 godzin ma rozkaz zabijać, mordować, rabować – po tym czasie obcinać ręce, nogi i żywcem do cyrkułu przystawiać, że w cyrkule płacono po florenów 10 za zabitego, 8 za aspokaleczonego, 5 za zdrowego – także że starosta powiedział: »to, coście zrabowali, jest wasze«. Gdy Szela kazał nam relację zrobić do cyrkułu, żeby mu wojskową pomoc przysłali, gdyż się sami zabijać o zdobycz będą, na dodanie nasze, że się chłopów mordów dopuścili na szlachcie, skoczył Szela i to słowo szlachta wymazać kazał, mówiąc: »Nie trza o tym wspominać, boby rezolucyi nie było, gdyż cyrkuł kazał szlachtę mordować 24 godzin«".

Nie jeden Szela

Włościanin ze Smarżowej był jednak tylko lokalnym przywódcą i wbrew legendzie nie dowodził zbuntowanym chłopstwem na terenie całej Galicji. Nie byłoby to zresztą możliwe ze względów logistycznych – trwała surowa zima, obieg informacji był utrudniony, a sama rabacja trwała tylko kilka dni. W obiegowej opinii pozostał jednak chłopskim hersztem, przywódcą rzezi polskich ziemian. Dużo w tym „zasługi" Austriaków, przedstawiających Szelę jako wiernego poddanego cesarza, a także doktora Adama Bogusza spisującego po latach tragiczne losy swojej rodziny.

Największe nasilenie chłopskich wystąpień miało miejsce w drugiej połowie lutego 1846 r. Zbrojne bandy w ciągu kilku dni zrabowały i zniszczyły ponad 500 dworów (w okolicach Tarnowa zagładzie uległo ponad 90 proc. dworów). Ofiarami włościan padło ok. 2–3 tys. osób, głównie ziemian i oficjalistów dworskich (zamordowano również kilkudziesięciu księży). Nie atakowano natomiast Żydów, w spokoju pozostawiono również Niemców.

Bez uszczerbku przetrwała rabację rodzina Goetz-Okocimskich i ich nowo uruchomiony browar. Wprawdzie do zakładu wtargnęła grupa kilkuset uzbrojonych chłopów w celu „poszukiwania za bronią" i dla „zrobienia porządku", ale właściciela pozostawiono w spokoju. W jego obronie stanęli zresztą robotnicy zatrudnieni w browarze, twierdząc, że „on daje nam pracę i zarobek, jakiegośmy nigdy nie mieli". Ocalał również właściciel drugiego majątku ziemskiego w Okocimiu Górnym, Julian Kodrębski. Jan Goetz ukrył go w wiklinach nad przepływającą przez Okocim rzeką Uszwicą. Przez 10 dni dostarczano mu tam żywność, dzięki czemu przetrwał.

Austriacy w perfidny sposób wyznaczyli wyższe nagrody za martwych niż żywych powstańców. Oznaczało to wyrok śmierci na ziemian – chłopi mogli bez skrupułów dać folgę sadystycznym skłonnościom. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem, a ulubioną metodą zadawania śmierci stało się odpiłowywanie głów. Brak przepływu informacji spowodował zresztą, że siedziba cyrkułu w Tarnowie stała miejscem dantejskich scen. Dostarczanych żywcem ziemian zabijano na progu starostwa, aby uzyskać wyższe premie. W efekcie pobliskimi ulicami dosłownie płynęła krew mordowanych…

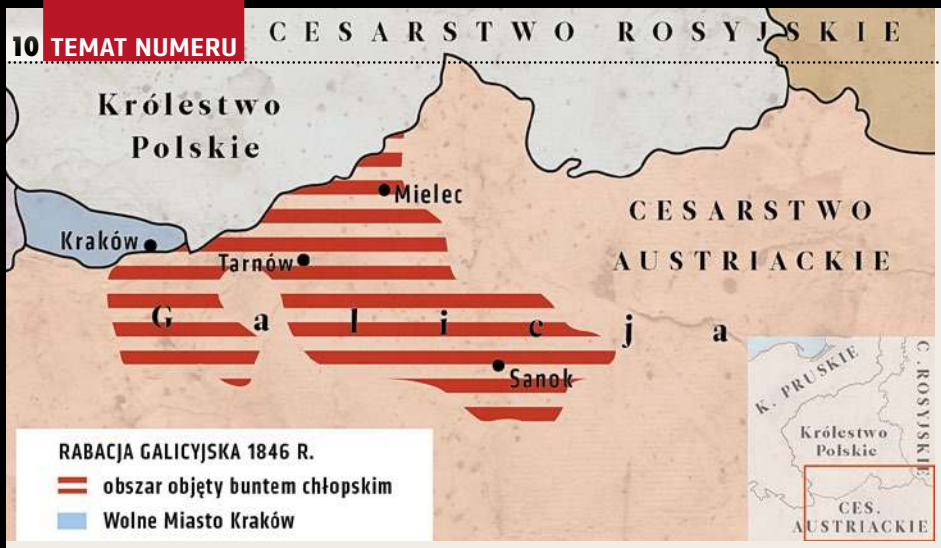


Dom Szelów w Smarżowej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wiele ofiar nie miało nic wspólnego z powstaniem, zbuntowani włościanie nie odróżniali jednak konspiratorów od lojalnych podanych wiedeńskiego dworu. Dla nich każdy ziemianin był „Polakiem" i osobnikiem pasożytującym na ich ciężkiej pracy. Nadszedł dzień sądu i kary, całe pokolenia krzywd

eprasa.pl bf9306b6ba



RYS. MARZENA WŁOCZYK

znalazły ujście w krwawym wybuchu. Czy zresztą chłop – analfabeta, człowiek o horyzontach myślowych sięgających najwyżej gmachu najbliższego cyrkułu – mógł ocenić patriotyczne zaangażowanie własnego dziedzica?

Czy rzeczywiście istniała zależność pomiędzy chłopskimi buntami a propagowanym przez Kościół katolicki ruchem trzeźwości? Pogromy dworów miały miejsce wyłącznie na obszarze, gdzie księża skutecznie zwalczali alkoholizm włościan. Spożycie wódki drastycznie tam spadło, wrogiem alkoholu w swojej gromadzie był również Szela. Czy przypadkiem brak możliwości utopienia krzywd w okowicie nie stał się dodatkowym katalizatorem zbrodni? Trudno bowiem podejrzewać, aby abstynencja wpłynęła na świadomość społeczną zbrodniarzy analfabetów. Raczej wzmogła ich frustracje…

Po stłumieniu powstania krakowskiego Austriacy szybko przywrócili porządek. Pojawiła się cesarska odezwa do chłopów, w której monarcha dziękował włościanom za wierność i nakazywał powrót do obowiązków. Rozczarowany Szela stwierdził, że starosta go oszukał, ponieważ obiecywał, że pańszczyzny więcej już nie będzie.

Nie poddawał się jednak i zagroził, że zabije każdego, kto powróci na dworskie grunty. Cieszył się dużym posłuchem wśród chłopów i władze uznały, że należy się go pozbyć. Zaproponowano mu wyjazd do Wiednia (miał przedstawić swoje postulaty bezpośrednio cesarzowi), a gdy udał się w podróż, internowano go w Tarnowie. Nie mógł jednak narzekać na warunki pobytu, zezwalano mu na spacery po mieście, odznaczono go również złotym medalem honorowym i wielką wstęgą. Szelę oficjalnie przyjmował biskup tarnowski i razem z nim wznosił toasty za zdrowie cesarza!

W odróżnieniu od innych chłopskich przywódców Szela miał jasną wizję przyszłości. Dla niego rabacja nie była wyłącznie odwetem; była rewolucją, która miała zmienić stosunki społeczne w Galicji. Myślał nie tylko o zniesieniu pańszczyzny, lecz także o podziale gruntów dworskich wśród chłopów. Najwyraźniej uznał, że w nowym porządku nie będzie już „panów" i podanych, planował bowiem małżeństwo syna z 10-letnią Boguszanką, córką zamordowanego dziedzica z Siedlisk…



Jan Ewangelista Götz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dla władz austriackich był jednak tylko narzędziem potrzebnym do stłumienia powstania. Po dwóch latach internowania zesłano go na Bukowinę, gdzie dostał 30-morgowe gospodarstwo (dwa razy większe niż to, które miał w Smarżowej) oraz kredyt na budowę domu. Razem z nim wysłano grupę najbardziej aktywnych chłopów, a ich potomkowie zamieszkują Bukowinę do dnia dzisiejszego.

Szela z „Wesela"

Krewni pomordowanych ziemian szukali sprawiedliwości w Wiedniu. Sprawy nie udało się wyciszyć – o rabacji pisała cała europejska prasa. Władze zorganizowały zatem groteskową komisję śledczą mającą odnaleźć i ukarać winnych. Chłopi zostali pouczeni, jak mają składać zeznania, a gdy powiedzieli zbyt wiele, śledczy opuszczali najistotniejsze fragmenty, bo „tak być nie może".

Rodzina Boguszów nie brała udziału w powstaniu, ale członkowie komisji próbowali udowodnić ich nielojalność wobec Wiednia. Dowodem przynależenia do konspiracji miały stać się przechowywanie rewolucyjnej literatury (poezja Mickiewicza), udział krewnych w insurekcji oraz posiadanie dwóch pistoletów z bagnetami zamontowanych przy saniach. Sprawa została umorzona, podobnie jak dziesiątki innych, a w 1848 r. pańszczyzna została zniesiona na terenie monarchii Habsburgów.



Ziemianom pozostała wyłącznie boska sprawiedliwość i faktycznie długo nie musieli na nią czekać. Rok po rabacji przyszła epidemia tyfusu, która znacznie przerzedziła szeregi buntowników. Jeden z nielicznych ocalałych chłopskich przywódców, Jan „Siepacz" Wołowiec, idąc w 1859 r. na wojnę z Francją, jako jedyny okazał skruchę. Zapewne mu to pomogło, ponieważ przeżył i zmarł śmiercią naturalną w 1880 r.

Żadnej skruchy natomiast nigdy nie okazał Szela. Resztę życia spędził w Bukowinie, dwukrotnie odwiedził go syn, przywożąc mu chleb wypieczony na rodzimej ziemi. Zmarł w wieku prawie 80 lat, we względnym dostatku, skarżąc się na niewdzięczność władz austriackich. Nie jest prawdą informacja, że został zamordowany przez złaknionych zemsty galicyjskich ziemian.

Postać chłopskiego przywódcy przez długie lata fascynowała literatów. Domi-

eprasa.pl bf9306b6ba



Grafika zatytułowana „Rabacja na ziemi kozieńskiej”

FOT. DOMENA PUBLICZNA

nowała czarna legenda, imię Szeli na całe dziesięciolecia stało się postrachem polskiego ziemiaństwa. Nawet daleki od idealizowania szlachty Stanisław Wyspiański przedstawił go w „Weselu” jako Upiora, symbol krwawych porachunków chłopstwa i ziemian. Żyli jeszcze ludzie pamiętający krwawe wydarzenia (Dziad) i nawet Pan Młody (Lucjan Rydel), żeniący się właśnie z chłopką, wspominał, że jego „dziadka piłą rżnęli”.

Postać Szeli wprowadził do dramatu „Turoń” Stefan Żeromski, w symboliczny sposób kończąc drogę życiową Rafała Olbromskiego. Jeden z bohaterów „Popiołów”, dzielny żołnierz napoleoński i powstaniec listopadowy, zginął w przededniu powstania narodowego z rąk chłopskiej gromady wypełniającej rozkazy zaborcy. Jego los podzielił przyjaciel, Jan Cedro, w którego dworze rozegrały się tragiczne wypadki.

Inne zdanie mieli autorzy wyznający lewicową ideologię. Bruno Jasieński opublikował w 1926 r. poemat „Słowo o Jakubie Szeli”, przedstawiając chłopskiego herszta jako wykonawcę wyroków. Życie dopisało charakterystyczną puentę do poglądów autora, Jasieński kilkanaście lat później osobiście zapoznał się ze sprawiedliwością ludową – padł ofiarą stalinowskich czystek, niewiele różniących się od metod stosowanych przez Szelę.

Rzeź galicyjska wpłynęła na poglądy polityczne polskiego ziemiaństwa. Lojalizm miejscowych „stańczyków” wobec Habsburgów nie byłby możliwy bez obaw o powtórzenie się masakry, natomiast dla Aleksandra Wielopolskiego rabacja stała się podstawą dogmatu o budowie przyszłości Polaków w oparciu o Rosję. Co zresztą miało doprowadzić do kolejnej tragedii narodowej…

Inflancki epilog

Powstanie styczniowe na Inflantach było krótkie, ale mimo stłumienia go wrzenie w Łatgalii nie mijało. Chłopi uznali bowiem, że pojawiła się okazja do rabowania polskich ziemian, i pod pretekstem poszukiwania ukrytej broni rozpoczęli napady na dwory. Niszczono, palono i rabowano, a właściciele przekazywani byli w ręce władz. Jedną z ofiar był Kazimierz Plater, któremu w Ludwiampolu niemal odrąbano ramię siekierą, wskutek czego zmarł kilka dni później. Obecny podczas napadu rosyjski urzędnik sam wziął udział w grabieży, a gdy nie było już nic do zabrania, miejscowi starowiercy podpalili dwór wraz z okolicznymi zabudowaniami. Splądrowano też majątki Platerów w Kombulu i Krasławiu, a przy okazji aresztowano Eugeniusza Platera i jego brata Michała, których uwięziono w twierdzy dyneburskiej.

Stanisław Mohl został napadnięty w swoim dworze w Wyszkach, dom został splądrowany, a właściciel odstawiony do Dyneburga. Napastnicy chcieli zabić jego żonę, ale któryś z nich uznał, że za żywą dostaną większą nagrodę. Mohla za udział w powstaniu skazano na śmierć przez powieszenie, ale wyrok ostatecznie zamieniono na zesłanie. Po powrocie z Syberii udało mu się nawet wykupić skonfiskowany majątek, co prawdopodobnie zawdzięczał dobrej pamięci Aleksandra II. Car bowiem jako następca tronu dowodził pułkiem huzarów grodzieńskich, w którym służył Mohl, i pamiętał, jak ten podejmował go w Wyszkach.

Polskich ziemian specjalnie nie dziwiło, że w grabieży brali udział starowiercy, gdyż uważali, że „Moskale to rozbójnicy z natury”. Natomiast byli zaskoczeni, że w „ich Łotyszy szatan wstąpił i to najgorszego rodzaju”, i kompletnie nie potrafili zrozumieć ich postępowania.

O włościańskich ochotnikach Rosjanie wypowiadali się z dużym uznaniem. Twierdzono nawet, że chłopi właściwie sami zdusili insurekcję w okolicach Dyneburga, okazując w ten sposób przywiązanie do monarchii Romanowów. Grabież polskich majątków odbiła się jednak głośnym echem w Europie. Działało to na korzyść powstańców, tym bardziej że zainspirowana przez Polaków prasa pisała o rzeziach i gwałceniu kobiet (coś takiego właściwie nie miało miejsca).

Wprawdzie ruchawkę inspirowały rosyjskie władze, ale doniesienia o tym, że żołnierzy przebierano za chłopów, były jednak fantazją. Tym bardziej że włościanom obiecywano różne gratyfikacje w zamian za spacyfikowanie dworów i nie potrzebowali oni dodatkowej zachęty. W końcu jednak nawet Rosjanie uznali, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli, i pohamowali zbuntowanych chłopów.

„Zrabowano i zniszczono kilkadziesiąt dworów – wspominał ks. Leon Plater – i poszłoby to dalej, gdyby się rząd nie opatrzył, widząc, czym to grozi, i wojskiem nie powstrzymał dalszych rozruchów”.



Mogiła ofiar rabacji na cmentarzu w Bochni

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TOPORY

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba

XIX w. / Szał zabijania

Na wozie z trupami



Jan Nepomucen Lewicki, „Rzeź galicyjska”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO



Grzegorz Janiszewski

Opisy rzezi dokonanej przez chłopów na szlachcie to porażająca lektura

Rabacja galicyjska, jak później nazwano te wydarzenia, zaczęła się od napaści chłopskiej bandy na dwór rodziny Boguszów w Siedliskach. Stanisław, senior rodu, był szambelanem Stanisława Augusta i jednym z twórców Konstytucji 3 maja. Z kolei jednym z pańszczyźnianych chłopów w jego majątku był Jakub Szela.

Rodzina Boguszów zebrała się we dworze z okazji imienin żony seniora rodu, Apolonii. Wizyta przeciągnęła się z powodu mrozów i śnieżyc zawiewających drogi. Odcięci od świata uczestnicy nie mieli pojęcia o chłopskiej rebelii. Szela – być może wiedząc o tym – wyruszył tam nocą z 18 na 19 lutego na czele liczącej ok. 500 chłopów bandy. Kiedy nad ranem chłopi dotarli do dworu, Szela kazał im się ukryć, czekając, aż domownicy zbiorą się na obiad. Około południa napastnicy otoczyli dworskie zabudowania. Przy stole siedzieli dwaj synowie Stanisława seniora: Tytus wraz ze swoją żoną i 14-letnim synem Włodzimierzem oraz Stanisław. Oprócz nich we dworze przebywało kilkunastu okolicznych szlachciców i oficjalistów z żonami. Czerń, która wpadła do dworu, najpierw porwała siedzących przy niższym stole Kruczkiewicza, Strzeleckiego, Sobolewskiego i Stradomskiego i wywlekła ich na dziedziniec. Tam bito ich cepami, aż umarli.

Tytus w zamieszaniu wymknął się z sali i ukrył się na strychu. Wkrótce go tam odkryto. Przebity widłami został wyrzucony przez strychowe okno, roztrzaskując się na stosie kamieni leżących na podwórcu. Włodzimierza, którego matka próbowała ukryć w piwnicy, chłopi pobili, a potem rozcięli mu brzuch. Mandatariusz Kalita i komisarz Bieliński zdołali uciec do ogrodu, ale zostali tam złapani i zabici przez wystawione przez Szelę straże. Korzystając z zamieszania, Antoni Terlecki wyniósł 87-letniego Stanisława na strych. Szela znalazł ich tam i zrzucił ze schodów w ręce czerni. Stanisława zabił wójt wsi Gorzejowa, Tomasz Gurzan.

W tym czasie Apolonia przebywała w kościele w Siedliskach z proboszczem

eprasa.pl bf9306b6ba



Stanisław Tadeusz Bogusz, ofiara zbrodni w Siedliskach

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Janem Jurczakiem. Ksiądz widząc nadciągających chłopów, wystawił Najświętszy Sakrament i zaczął śpiewać suplikację. Chłopi widząc to, uklękli i przyłączyli się do śpiewu. Jednak kiedy tylko duchowny skończył, zarzucili mu powróz na szyję i zaczęli ciągnąć na dziedziniec. Życie uratowała mu Apolonia, zrzucając sznury i tłumacząc chłopom, że jeśli zabiją proboszcza, to zostaną skazani na wieczne potępienie. Następnie chłopi ruszyli do pobliskiej Smarżowej, gdzie zabili kolejnego syna Stanisława Bogusza – Nikodema.

Mordy i rabunki w Siedliskach trwały jeszcze kilka dni. Oszczędzono tylko kobiety i dzieci. 24 lutego 19 obdartych ciał pochowano w dole za cmentarzem. Za pochówek Szela wystawił rachunek austriackiej administracji. Apolonia Bogusz wraz dwiema krewnymi i czworgiem dzieci przez trzy dni przebywała w jego chałupie. Szela darował im życie i kazał pisać pisma w swojej „kancelarii" do austriackich urzędników. Co istotne – podczas całej rabacji buntownicy zwykle oszczędzali kobiety i dzieci. Mężczyzn jednak traktowali w myśl zasady „chłop żywemu nie przepuści". Wybitny rzeźbiarz ludowy Władysław Chajec, którego dziadek był świadkiem tych wydarzeń, tak wspominał jego słowa: „Rżnęli dziedzica piłą. Szela mówił – rżnijcie, chłopy, pomaleńku, bo to było dobre panisko".

Na chłopską poniewierkę

Spotkanie z chłopami innego szlachcica, Felicjana Szybalskiego, było równie gwałtowne. 19 lutego na wieść o rozruchach ruszył on wraz ze swoim przyjacielem Aleksandrem Chrząstowskim saniami do sąsiedniej wioski Lichwin. W połowie drogi konie zaczęły zakopywać się w śniegu. Szybalski zsiadł z sań i wszedł na pobliski pagórek, żeby rozejrzeć się za lepszą drogą. Tam usłyszał dźwięki tłuczonego szkła i krzyk: „A bij! Bij! Bij! Tę bestią Polaka! Co nas chciał porżnąć. Bijcie tylko, a bijcie dobrze, żebyście go i zabić mieli, to to nic nie znaczy, bo nam starosta pozwolił i jeszcze zapłacić obiecał, jak go zawieziewa".

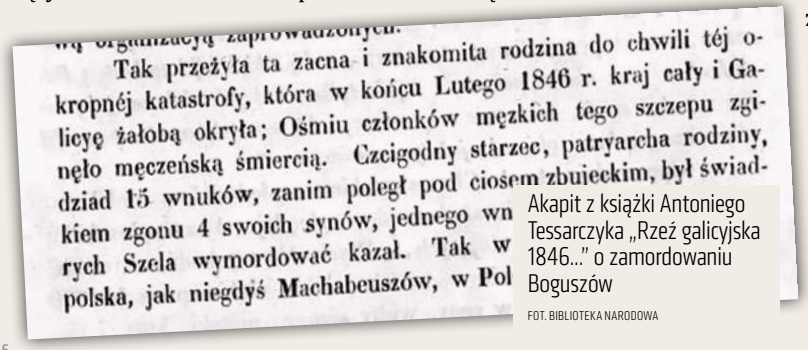
Podróżni zdołali odnaleźć mniej zaśnieżoną drogę, ale kiedy przejeżdżali przed przydrożną karczmą, drogę zagrodziła im grupa kilkuset chłopów uzbrojonych w cepy, widły, kosy i siekiery. Zaczęli wypytywać, dokąd jadą, ale zanim uzyskali odpowiedź, z tłumu podniosły się głosy, żeby od razu ich zabić. Powstrzymał ich dopiero przywódca, każąc nieznajomych przeszukać i uwięzić. Szybalski i Chrząstowski zostali związani razem i pognani przez pola. Chłopi popędzali ich i bili kijami, wyzywając od bestii.

W sali rozgrywał się makabryczny spektakl. Chłopi po kolei mordowali szlachciców, znęcając się przy tym nad nimi

Po doprowadzeniu do jakiejś chałupy chłopi zaczęli się zastanawiać, jakim torturom poddać swoich więźniów. Jedni chcieli im wydłubać oczy, drudzy „członki poobrzynać", a jeszcze inni „ręce i nogi połamać". Uratował ich posłaniec, który z rozkazu wójta kazał ich zaprowadzić do karczmy. Nieszczęśnicy sądzili, że wójt, którego zresztą znali osobiście, każe ich uwolnić. Jednak gdy tylko weszli do karczmy, urzędnik zaczął okładać ich kijem po głowach. Potem kazał ich posadzić w kącie izby. W drugim kącie siedział miejscowy dzierżawca ze swoją służbą. Wszyscy byli tak pobici, że Szybalski ledwo ich rozpoznał.

W sali rozgrywał się makabryczny spektakl. Chłopi po kolei mordowali szlachciców, znęcając się przy tym nad nimi. W końcu po zamordowaniu kilku przyszła kolej na Szybalskiego. Dopadł do niego jakiś chłop i grożąc siekierą, zapytał, co ma przy sobie. Szybalski zaoferował mu zegarek, mając nadzieje, że się nim wykupi. Chłop sam zerwał mu go z piersi, krzycząc: „Ja go teraz nakręcać będę!". Drugi przeszukał mu kieszenie i okradł go z pieniędzy. Szybalski, ciągle mając nadzieję, że wykupi się od śmierci, zaczął wołać na cały głos, żeby pieniądze oddał wójtowi. Tym zwrócił jego uwagę. Jednak urzędnik zaczął bić go pałką po głowie, a potem wyciągnął na środek izby, gdzie chłopi przystąpili do okładania go cepami. Szybalski nie mogąc wytrzymać bicia, ukląkł przed chłopem trzymającym siekierę i zaczął błagać, żeby ten go zabił i skrócił męki. Chłopi bili go nadal, więc w końcu padł na ziemię, charcząc, i zaczął udawać nieżywego. Wtedy napastnicy przestali pastwić się nad nim i zaczęli bić Chrząstowskiego, który też padł w błoto klepiska, jęcząc przy tym. Gdy na ziemi leżeli już prawie wszyscy więźniowie, oprawcy zaczęli ich młócić cepami jak snopki. Któryś z nich zachęcał do tego, krzycząc: „Młóćwa, bo oni nam zawsze powiadali, żeby do ziarnka wymłacać!". W końcu chłopi wyszli. Zostało ich tylko kilku na warcie.

Pół godziny później wrócili, prowadząc ze sobą miejscowego księdza Wojciecha Czeczkiewicza, którego złapali w wiejskiej chałupie; duchowny ukrywał się



Tak przeżyła ta zacna i znakomita rodzina do chwili téj okropnéj katastrofy, która w końcu Lutego 1846 r. kraj cały i Galicyę żałobą okryła; Ośmiu członków męzkich tego szczepu zgięło męczeńską śmiercią. Czcigodny starzec, patryarcha rodziny, dziad 15 wnuków, zanim poległ pod ciosem zbuieckim, był świadkiem zgonu 4 swoich synów, jednego wn
rych Szela wymordować kazał. Tak w
polska, jak niegdyś Machabeuszów, w Pol

Akapit z książki Antoniego Tessarczyka „Rzeź galicyjska 1846..." o zamordowaniu Boguszów

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl bf9306b6ba



Kaplica Boguszów w Mielcu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KROTON

tam, mając na sobie chłopską sukmanę, a w dłoni dzierżąc dubeltówkę. Chłopi zaczęli szydzić z księdza i bić go, aż stracił przytomność.

Nad ranem chłopi usłyszeli, że mają się przygotować do wyjazdu do Tarnowa. Więźniowie zaczęli już dziękować Bogu, sądząc, że zostaną ocaleni, gdy nagle do karczmy wpadł jakiś chłop, pytając, dlaczego wszyscy nie zostali zabici. Powiedział, że zezwolił na to starosta w Tarnowie. A poza tym wolno też niszczyć i rozkradać dwory. Starosta obiecał również nagrody za dostarczenie żywych albo martwych panów. Chłop policzył szlachciców obecnych w izbie: sześciu martwych i pięciu żywych.

Pałką po głowie

Chłopi zajęli się następnie piciem. Szybalski razem z Chrząstowskim niepostrzeżenie schowali się wtedy w kącie za piecem. Znalazł ich tam jednak pewien starzec, który oznajmił im po niemiecku, że zna ich obu i że chce im pomóc uciec. Chrząstowski przystał na to. Bardziej podejrzliwy Szybalski nie ufał nieznajomemu, ale przywiązany do swojego towarzysza musiał ruszyć za nim. Kiedy tylko wyszli z karczmy, rzuciła się na nich zgraja chłopów, jednak starzec ich powstrzymał. Następnie wyprowadził ich na ganek jakiegoś domu, gdzie zaczął bić Chrząstowskiego pałką po głowie. Szybalski chwycił starca za pas i mocno go popchnął, aż obaj spadli. Szlachcic przywiązany do swojego towarzysza zwisał teraz z ganku, okładany przez chłopów, którzy zbiegli się, słysząc zamieszanie. W końcu sznur się urwał i nieszczęśnik spadł na ziemię. Chrząstowski dalej był bity przez chłopów.

Od dalszego bicia ocalił ich rozkaz wyjazdu do Tarnowa. Żądni nagród chłopi powsiadali na wozy, a z braku miejsca dla szlachciców chcieli ich ciągnąć na postronkach za wozami. W końcu jednak na wezwania księdza, który odwoływał się do ich chrześcijańskich uczuć, posłali po jeszcze jeden wóz.

Kawalkada przejeżdżając przez pobliskie Pleszno, została napadnięta przez zgraję chłopów, wśród których były też kobiety i dzieci. Jadący jako pierwszy wóz z Szybalskim i Chrząstowskim zdążył im się szczęśliwie wymknąć. Wiezieni na następnych wozach szlachcice dostali jednak solidne razy. Pierwszy wóz został szybko zatrzymany przez następną chłopską bandę, a jego szlacheccy pasażerowie pobici. Szybalski zaczął udawać zmarłego i robił to tak skutecznie, że chłopi dali mu spokój, skupiając się na Chrząstowskim. Ten, przeczuwając, co



Joseph Breinl, starosta tarnowski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

się z nim stanie, chwycił swojego towarzysza za rękę, szepcząc: „Żegnam cię, bywaj zdrów, jeżeli się ocalić potrafisz". Zaraz potem umarł. Wkrótce dojechały pozostałe wozy. Chłopi przerzucili z nich trupy na wóz Szybalskiego. Sami zaś poszli pić do karczmy.

Kiedy zniknęli, ze stosu trupów podniósł się ksiądz i zaczął łajać woźnicę, że ten chciał go zabić. Zlękniony furman padł przed duchownym na kolana, wypierając się winy, ale kiedy tylko ksiądz zaczął uciekać, woźnica pobiegł do karczmy po chłopów. Duchowny rzucił się w bród do płynącej nieopodal rzeki Białej, szukając ratunku. Wtedy dogonił go jeden z chłopów, jadący na koniu. Przyprowadził kapłana pod karczmę, gdzie chłopi zaczęli bić go cepami po całym ciele. Wkrótce wyzionął ducha.

Podejrzewając, że na wozie może być więcej takich niedobitków, chłopi wywrócili go, wyrzucając ciała na ziemię. Szybalski znalazł się na wierzchu sterty. Jeden z oprawców położył mu rękę na sercu i odkrył, że ofiara żyje. Od niechybnej śmierci ocalił go chłop, który przygalopował na koniu, krzycząc: „Prędzej! Prędzej! Bo jadą i okrutnie dużo ich jedzie!". Chłopi zadali leżącym jeszcze po kilka ciosów cepami, a potem pobiegli szukać nowych ofiar.

Wóz załadowany ciałami ruszył dalej w stronę Tarnowa. Na jego rogatkach woźnicę zatrzymał austriacki urzędnik, pytając, co wiezie. Zapisał liczbę zabitych w notesie i kazał jechać dalej. W końcu wóz się zatrzymał, a chłopom kazano wyrzucić z niego ofiary. Leżący na spodzie Szybalski bał się, że zostanie wrzucony z martwymi do grobu, więc krzyknął po niemiecku, żeby go wydobyć. Słysząc to, jakiś chłop dobrał się do niego i zaczął okładać go po głowie. W końcu nieszczęśnika uratował austriacki kapelan wojskowy, który zabronił dalszych mordów, kazał wydobyć Szybalskiego spod trupów i wysłał go do szpitala wojskowego. Po wyleczeniu Szybalski musiał jeszcze odsiedzieć 18 miesięcy w austriackim więzieniu, ale ocalił życie.

Zdziwieni

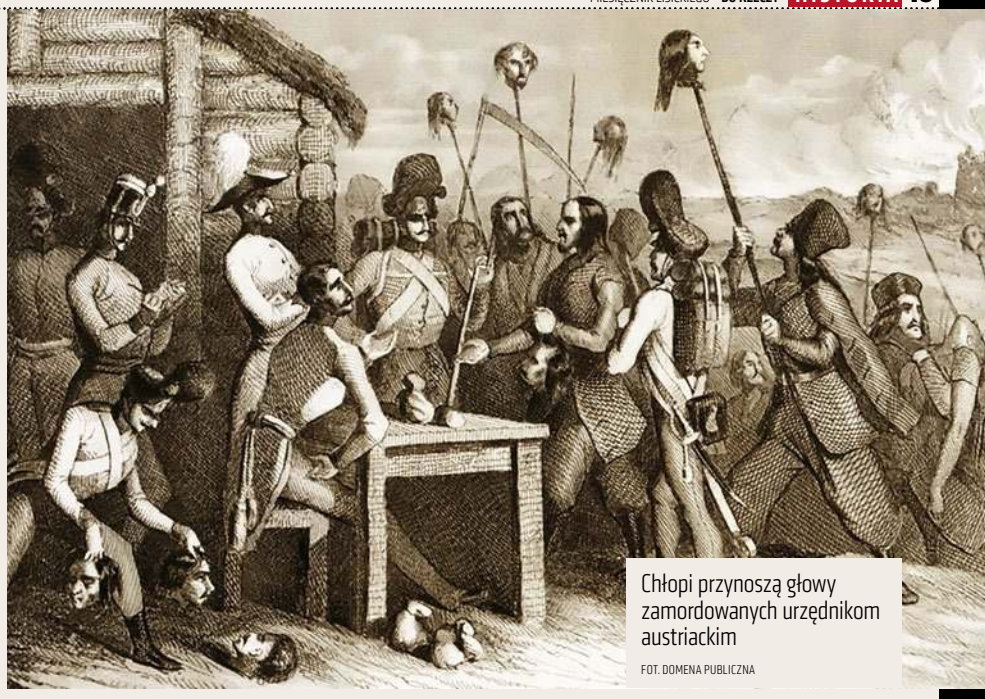
Szlachta była bardzo zdziwiona i zaskoczona zachowaniem swoich

eprasa.pl bf9306b6ba

poddanych. Jędrzej Rogojski, właściciel Lubowli koło Jasła, tak opisał w liście do brata wydarzenia podczas rabacji: „Tymczasem drudzy wpakowali się do pokojów, porozbijali wszystkie zamknięcia i co tylko wódki, wina, kiełbas, szynek w momencie konsumowali, co się zaś tyczy bielizny, sukien itd. dużo pozabierali. Trwał ten rozgardiasz dobre dwie godziny […]. Kto by się spodziewał, że chłop nasz taki dziki i krwiożerczy? Księżom także nie darowali, każden zrabowany, religia w pośmiewisku, pytają się, czy Pan Bóg słomiany czy drewniany, trafiało się, że w kościele fajki palili".

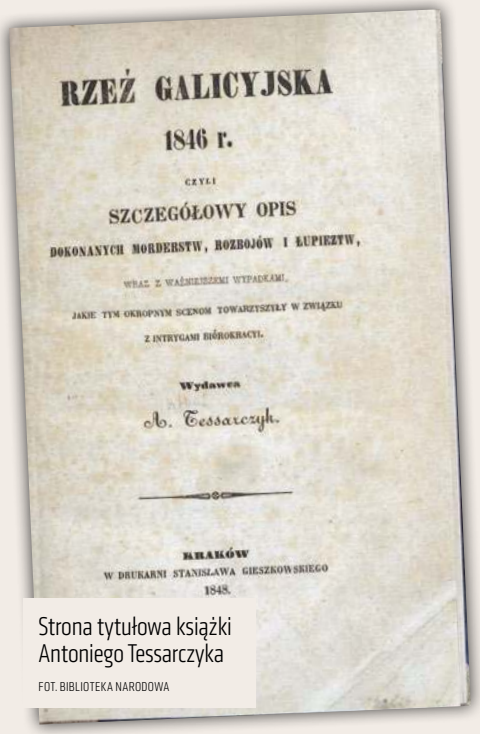
Sprzyjał temu fakt, że wśród buntowników dużo było urlopowanych przez Austriaków żołnierzy, nawykłych do wojaczki i zabijania. Niepoślednią rolę odgrywały hektolitry alkoholu pochodzącego z rabowanych dworów i rozbijanych karczm. Ponadto chłopi często atakowali sąsiednie dwory, żeby nie mordować i nie grabić swoich dziedziców. Wielu z nich nie miało wcale zamiaru przyłączać się do rebelii, a nawet udzielało schronienia swoim dziedzicom i oficjantom albo pomagało im w ucieczce.

Tak było w Bistuszowej w powiecie tarnowskim. Urząd wójta sprawował tam Michał Witalis. Młody, ale powszechnie lubiany i szanowany stolarz. Widząc chłopskie przygotowania, wywiózł swoim wozem miejscową rodzinę Bossowskich do swojej ziemianki, a do dworu zwołał buntowników. Kazał tam ubić dworskiego świniaka i wytoczyć z piwnicy beczkę wina. Pozwolił chłopom się gościć, przykazując przy tym, żeby pilnowali dworu przed bandami z innych wsi. Sam zaś wywiózł rodzinę dziedzica w bezpieczne miejsce. Potem uratował też rodzinę Rychterów, wywożąc ich swoim wozem z dworu. Chłopom powiedział, że odstawia ich do cyrkułu w Tarnowie. Po rabacji Witalis kandydował do Sejmu Galicyjskiego, wygrywając nawet ze znanym księciem Sanguszką z Tarnowa. W 1861 r. udała mu się nie lada sztuka – zdobył mandat do austriackiego parlamentu, gdzie był jedynym chłopskim parlamentarzystą z Galicji.



Chłopi przynoszą głowy zamordowanych urzędnikom austriackim

FOT. DOMENA PUBLICZNA



RZEŹ GALICYJSKA

1846 r.

CZYLI

SZCZEGÓŁOWY OPIS

DOKONANYCH MORDERSTW, ROZBOJÓW I ŁUPIEŻTW,

WRAZ Z WAŻNIEJSZEMI WYPADKAMI,

JAKIE TYM OKROPNYM SCENOM TOWARZYSZYŁY W ZWIĄZKU

Z INTRYGAMI BIUROKRACYI.

Wydawca

A. Tessarczyk.

KRAKÓW

W DRUKARNI STANISŁAWA GIESZKOWSKIEGO

1848.

Strona tytułowa książki Antoniego Tessarczyka

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Pany i chamy

Z biegiem czasu chłopów biorących udział w rabacji zaczął spotykać ostracyzm, nawet w swoich wsiach. Tak też było z Szelą, obrosłym jednoznaczną, czarną legendą. O rabacji i jej przywódcy nie dawało się jednak łatwo zapomnieć. Jej echa słychać było zarówno w powstaniu styczniowym, które zaczęło się od proklamacji uwłaszczenia chłopów, jak i w późniejszej pracy u podstaw prowadzonej wśród chłopów.

Wincenty Witos, który oficjalne nie chciał brać Szeli na sztandary ludowców, kiedy przemawiał w 1912 r. do ziemiańskich delegatów na Sejm Krajowy we Lwowie, mówiąc o rabacji przekonywał: „Z waszej strony doprowadzono do tego przez wiekowe zaniedbania wychowania powierzonego sobie ludu, przez krzywdy najstraszniejsze i nadużycia na nim dokonywane. Bo panami życia i śmierci wy byliście przecież, wyście szkolili – a chłop zdał egzamin". W „Weselu Wyspiańskiego zjawa Szeli w chamski sposób żąda wpuszczenia na zabawę, przekonując: „Dajcie, bracie, kubeł wody: ręce myć, nogi myć, suknie prać, nie będzie [krwi] znać", ale zostaje wyrzucona.

W przedziwnej polskiej dialektyce, która zaczyna się od obrzucania najgorszymi kalumniami, wyzyskiwania, okradania, oskarżania o narodową zdradę, a nawet mordowania, a kończy wzajemnym obściskiwaniem i deklaracją „kochajmy się", Szela odegrał swoją rolę.

Cham co prawda nie został wpuszczony na salony, ale pan musiał ustąpić. Zwyciężyła napoleońsko-powstańcza idea braterstwa i równości. To prawda, że w zetknięciu z brutalną rzeczywistością okazała się naiwnością – tak jak ówczesna inteligencka wiara w prosty lud. Jednak o wiele lepiej nadawała się do tworzenia narodu niż stanowe egoizmy, pogarda szlachty i okrucieństwo chłopów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Tomasz Stańczyk

Pod koniec kwietnia 1846 r. do wsi w obwodach sądeckim, tarnowskim i bocheńskim wyruszyli księża Karol Bołoz Antoniewicz i Ignacy Skrocki. Ludzi winnych zbrodniom i rabunkom wzywali do żałowania za grzechy i pokuty – ich misja przyniosła bardzo dobre owoce



Karol Bołoz Antoniewicz

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, PRACA ANTOINE'A MAURINA

1846 r. / Misja jezuitów po rabacji

Zbrodnia i skrucha

W Wielkanoc jezuici wyjechali z Nowego Sączą do Bobowej i Brzan. „Czułem wielkość i ważność mojego posłannictwa i tak słabe, niedołężne siły moje – zwierzał się ksiądz Karol Bołoz Antoniewicz w swoich »Wspomnieniach misyjnych z roku 1846«. – Niemałe to zadanie lud rozhukany i rozpasany na wszelkie zbrodnie, powrócić do Boga, poruszyć do żalu i skruchy, do poznania niegodziwości przywieść […]”.

Miał on wówczas 39 lat. Stan duchowny nie był jego pierwszym powołaniem. Urodził się w 1807 r. w Skwarzawie na ziemi lwowskiej, w ormiańskiego pochodzenia rodzinie adwokata. Podążył śladem ojca, gdyż zapisał się na studia prawnicze na uniwersytecie we Lwowie. W czasie powstania listopadowego walczył w korpusie gen. Dwernickiego. Profesor Franciszek Ziejka w artykule „Karol Bołoz Antoniewicz: Kapłan-misjonarz-poeta” przywołał epizod z tamtego okresu. Patrol, którego członkiem był Bołoz Antoniewicz, zagubił się w lasach wołyńskich. Wieśniacy poproszeni o wskazanie drogi zaprowadzili powstańców do obozu wojsk rosyjskich, gdzie zostali oni rozstrzelani. Bołoz Antoniewicz uniknął śmierci, gdyż zasnął na koniu i odłączył się od patrolu. „Epizod ten można tłuma-

eprasa.pl bf9306b6ba

czyć sobie na różne sposoby. Najprostsze wydaje się oczywiste: widocznie Opatrzność wyznaczyła młodzieńcowi określone zadanie i dlatego uratowała go przed śmiercią" – pisał Ziejka.

Bołoz Antoniewicz przeżył podczas powstania dramat. Poległ bowiem wtedy jego nieodłączny towarzysz, którego kiedyś spotkał we Lwowie jako kilkuletniego chłopca przymierającego z głodu i zaopiekował się nim. W 1833 r. Bołoz Antoniewicz ożenił się z Zofią Nikorowiczówną. Małżeństwo było szczęśliwe, ale spotkała je tragedia. Pięcioro dzieci zmarło w wieku niemowlęcym, a wkrótce podążyła za nimi matka. Zaraz po jej śmierci, w 1839 r., Bołoz Antoniewicz sprzedał majątek i wstąpił do nowicjatu jezuitów w Nowym Sączu; śluby zakonne złożył w 1841 r., a rok później znalazł swoje miejsce w kolegium jezuickim w tym mieście. I stamtąd rozpoczął swoją misję na terenach, na których niedawno szalała chłopska rabacja.



Karol Bołoz Antoniewicz przed wstąpieniem do zakonu jezuitów

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Rozhukane chłopstwo"

Pierwszą miejscowością, do której przyjechali jezuici, była Bobowa. Bołoz Antoniewicz nazwał ją najnędzniejszym między najnędzniejszymi miasteczkami polskimi, zamieszkanym przez Żydów i szewców, pogrążonym w pijaństwie i złodziejstwie. Podczas rabacji Bobowa trzy razy była szturmowana przez „rozhukane chłopstwo na krwi i łupiestwie zaprawione". Mieszczanie zaprzestali oporu po otrzymaniu zapewnienia, że chłopi splądrują tylko zamek (dzierżawca z rodziną uciekli). Doszło jednak do morderstw. „Napadają budynki dworskie i urzędników miejskich, niszczą takowe z równą zapalczywością, a ci, co nie mieli sposobności schronienia się, krwią swoją skropili rozwalone gruzy". Chłopi napadli też na budynek probostwa, w którym schronił się pan S., zapewne ziemianin. „Poznany, znieważony najsromotniej, okropną męczeńską w tejże izbie ginie śmiercią. Wywleczony trup na podwórze, staje się przedmiotem pastwienia się zwierzęcego, strzelają do trupa, oczy mu wypalają".

Podczas pierwszego kazania na nieszporach, gdy ks. Bołoz Antoniewicz mówił o mordercach, zauważył, że jeden ze słuchających, który „zuchwale" nie spuszczał z niego oczu, nagle pobladł i bliski omdlenia został wyniesiony z kościoła. „Co się nie raz jeden w czasie misyi i na różnych wydarzyło miejscach" – skomentował ksiądz. Obecni w świątyni ludzie poznali w tym człowieku jednego z morderców.

Z Bobowej ks. Bołoz Antoniewicz pojechał do Brzan. Tamtejszy młody dziedzic na wieść o napadach pozostał na miejscu, gdyż – jak uważał – był przez chłopów lubiany i poważany. Został jednak napadnięty we dworze, wywleczony za zewnątrz, ciężko pobity i pozostawiony na śniegu. Po odzyskaniu przytomności dowlekł się do chaty grabarza. Napastnicy dowiedzieli się jednak, że dziedzic żyje i powrócili, by go dobić. Zdarli z ziemianina medalik z wizerunkiem Matki Boskiej i zamordowali go.

Gdy do zebranych w karczmie Bołoz Antoniewicz odezwał się słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", chłopi odpowiedzieli mu ponuro, niechętnie i mało który nich zdjął czapkę. Przedmiotem nauki jezuity było miłosierdzie Boże dla pokutujących grzeszników. Jezuita, który przebywał w Brzanach osiem dni, zauważył u chłopów objawy skruchy i chęć wyspowiadania się.

„Nie raz, gdym im opisywał zbrodnie, których się dopuszczali i żywem opisaniem jakby kładąc przed oczy, westchnienia żałosne powstawały". Mieszkańcy Brzan byli pod wrażeniem słów księdza, nie chcieli go wręcz wypuścić od siebie.

Po powrocie do Bobowej kapłan kontynuował swoją misję. „Rozjątrzenie umysłów było jeszcze wielkie, zbrodnia wydawała owoce swoje, chociaż mieszkańce tego miasta do przelania krwi się nie przyczynili, jednak w rabunku udział mieli, co połączone z uczuciem zagnieżdżonem, zaciemniało umysły, zatwardzało serca". Ksiądz Antoniewicz zauważał dwoistość postaw mieszkańców Bobowej. Z jednej strony pokazywali oni „bezczelne zuchwalstwo", z drugiej jednak wstyd wynikający z popełnionych podłości. Wbrew obawom duchownego na Msze i nauki stawiło się wielu mieszkańców Bobowej i okolicznych wsi. Wykazywali skruchę, jednak nie mogli oddać zrabowanych w dworach rzeczy, gdyż chłopscy rabusie sprzedali łup handlarzom żydowskim.



Kościół w Gromniku, jednej z miejscowości, w której ks. Karol Bołoz Antoniewicz prowadził misję

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HENRYK BIELAMOWICZ

Złość i miłosierdzie

Niełatwe były także początki misji w Bruśnikach. „Gdyśmy do Bruśnik wjeżdżali, lud bardzo jeszcze był niespokojny, tak, że musiano o wojsko prosić, dla zapobieżenia dalszym bezprawiom". Ksiądz zauważył ruiny

eprasa.pl bf9306b6ba



Panorama Rożnowa, ze starym zamkiem i nowym, splądrowanym podczas rabacji. Akwarela z XIX w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

spalonego dworu; pijani chłopi zabili w nim pięć osób. Jeden z ocalałych, mocno poraniony, opowiadał jezuicie, że pytał jednego z prześladowców, dlaczego go skatowali. Ten odrzekł, że nie kierował się zemstą za zło uczynione, gdyż takiego nie doznał, a przeciwnie – wiele zawdzięcza swojej ofierze. „Ja nie wiem, co się ze mną stało" – powiedział. Takie wyznania ze strony uczestników rabacji powtarzały się niejednokrotnie. Ksiądz Antoniewicz z radością pisał: „Pan Bóg na tem miejscu dziwnie pobłogosławił pracy naszej" (jego towarzysz, ks. Skrocki, udał się na misję do pobliskiej wsi Siekierczyna).

Nie obyło się jednak bez wrogiej agitacji, najpewniej ze strony niedawnych morderców i rabusiów, którzy przekonywali chłopów, że to nie księża przyjechali do nich, ale szlachcice przebrani za duchownych. Mimo to kościół był jednak pełen. Podczas nauk ksiądz przypominał chłopom o popełnionych bezprawiach, ale mówił również o „powinnościach włościan ku panom" (obowiązywała wciąż pańszczyzna). Chłopi brali udział w nabożeństwach, śpiewali na kolanach pieśń „Przed twoje oczy, Panie", a ksiądz zastanawiał się, „czy podobna, pomimowolnie ta myśl przechodziła, czy podobna, aby ten lud tak skruszony, korzący się przed Bogiem swoim, był tym ludem, co przed parą miesiącami broczył we krwi bratniej, znieważał i bluźnił Boga swego? Cóż go w jednej chwili tak złym uczyniło, cóż go tak prędko do poznania przywiodło? Pierwszego złość ludzka, ludu za narzędzie ślepe używając, drugiego miłosierdzie Boskie było przyczyną!".

Kolejnym etapem misji były Cięszkowice (obecnie Ciężkowice), w których wprawdzie nie doszło do morderstw, ale chłopi sprofanowali i splądrowali tamtejszy kościół parafialny. Ponadto mieszkańcy Cięszkowic skorzystali na napadach, skupując rzeczy zrabowane z rozgromionych dworów. Bołoz Antoniewicz zauważył, że spowiadano się najczęściej z całego życia. „Nauki dawane, głębokie uczyniły wrażenie, co się szczególniej przy spowiedziach okazało, szczególniejsze okazał Bóg zlitowanie się nad tym miasteczkiem" – wspominał. Napisał też, że jeden z morderców, „gdy lud z kościoła wychodzi, publicznie się na mnie odgrażał, ale tejże samej nocy apopleksją tchnięty, życia dokonał, co niemałe na wszystkich uczyniło wrażenie".

Gdy ks. Antoniewicz przyjechał do Lipnicy, miejscowy duchowny opowiedział mu, że chłopi wywlekli z probostwa jego gości, ziemianina i dzierżawcę, zaproszonych na obiad po chrzcie dziecka jednego z nich. Chłopi mówili, że zamierzają ich odstawić do cyrkułu w Nowym Sączu. Nie ujechali jednak z zabranymi z probostwa daleko. „Jeden z motłochu występuje i mówi: Gdzie się mamy z nimi wozić, lepiej zaraz ubić, i to mówiąc, pierwsze cięcie zadaje siekierą, pada młody P.Z. na ziemię i ginie pod siekierami i ciosami oprawców […]. W czasie mordowania P.Z. udało się P.K. umknąć z rąk zbójeckich, byłby się może ucieczką wyratował, ale przebywając potok, o kamień zawadził i upadł; dopędzony od tych, co za nim w pogoń ruszyli, nożami na żerdziach osadzonymi skłuty został, a matka i żona stały w oknie, widząc i słysząc wszystko, co się działo". Zabito także kilku ludzi pracujących w majątku i oczywiście nie obeszło się bez obrabowania dworu.

Misja w Lipnicy nie zaczęła się najlepiej. „Po pierwszej nauce lud głośno szemrać począł, mówiąc, że my od panów przekupieni". Gdy ks. Antoniewicz dowiedział się, że niektórzy odgrażali się mu, powiedział z ambony, iż nie jest przysłany wraz z towarzyszem ani od szlachty, ani od cesarza, a przywiódł ich tu sam Bóg. „Na koniec dodałem, jeśli wam nie dosyć zbrodni, jeśli jeszcze pragniecie zmazać ręce wasze we krwi niewinnej, chodźcie, nie przelęknę się ani cepów, ani noży waszych, bo mi nie idzie o życie moje, ale zbawienie wasze i umierając jeszcze wołać będę: Bracia, nawróćcie się do Boga waszego".

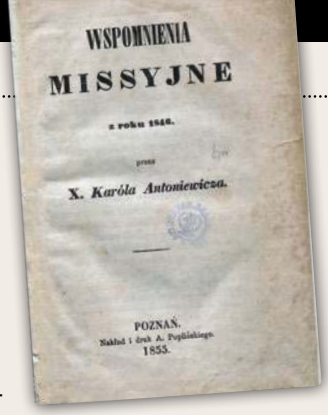
Słowa te zrobiły wielkie wrażenie na zgromadzonych w kościele, chłopi słuchali ich w absolutnej ciszy i zaczęli przepraszać misjonarza za groźby rzucane pod jego adresem. A jeden z morderców, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, postanowił oddać się w ręce władz, aby ponieść karę za popełnioną zbrodnię. Spowiadano się tak tłumnie, że trudno było kaznodziei wyjść z konfesjonału.

Lud rożnowski

W Gromniku ksiądz przypomniał zebranym w kościele chłopom zbrodnię popełnioną w sąsiedniej wsi Hojnik na dziedzicu i jego bracie. Chłopi wtargnęli do dworu pod pretekstem szukania ukrytej broni rzekomych powstańców, lecz w rzeczywistości zamierzali zamordować ziemian. W kościele obecna była żona jednej z ofiar, pani D. Jej czarny strój kontrastował z białymi sukmanami chłopów. „Uniesiony uczuciem boleści, ze łzami w oczach przedstawiłem ludowi okropną zbrodnię, której się dopuścił, tak żywo i dobitnie, że rozumiał i po raz pierwszy poznał niegodziwość swoją, z której dotychczas zdawał się chełpić i wynosić. A gdym im wskazał na P.D., które wdową i na te dzieci, które sierotami uczynił, zlodowaciałe roztajały serca. Łzy i westchnienia posępną przerywały ciszę". Również w Gromniku i w okolicznych wsiach chłopi masowo przystępowali do spowiedzi; najpewniej byli wśród nich także mordercy.

Jednym z chwalebnych wyjątków podczas rabacji była postawa mieszkańców wsi Rożnów. Pod wpływem

eprasa.pl bf9306b6ba


WSPOMNIENIA
MISSYJNE
z roku 1846.
przez
X. Karóla Antoniewicza.
POZNAŃ.
Nakład i druk A. Popielskiego.
1855.

Strona tytułowa książki Karola Bołoza Antoniewicza

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

tamtejszego proboszcza „[miejscowy lud] nie tylko krwią rąk swoich nie mazał, ale przeciwnie – stanął w obronie mienia Pana swego. Cała wieś pod bronią we dnie w noce czuwała, aby obce bandy nie wtargnęły w granice rożnowskie, promy poodcinano, a gdy jedna horda gwałtem chciała napaść zamek rożnowski, przyszło do bitwy, w której kliku chłopów padło, kilku pojmanych zostało".

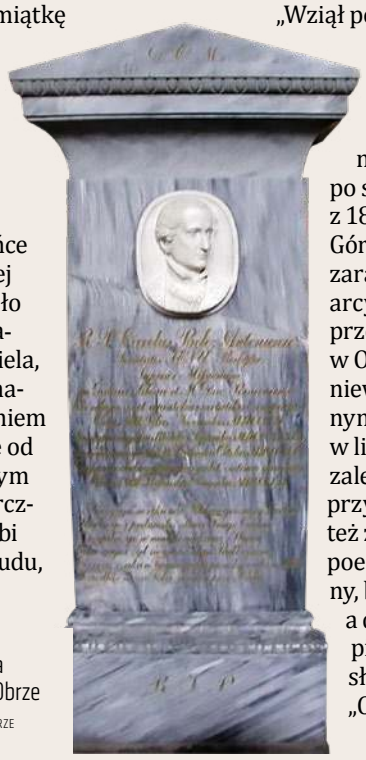
Jednak w Rożnowie doszło do pewnego incydentu. Do kościoła przybyli chłopi spoza tej wsi i gdy ksiądz miał rozpocząć Mszę, rozległ się krzyk: „Polacy rżną, uciekajcie!". Polscy chłopi nie utożsamiali się z Polakami. Dla nich Polak oznaczał szlachcica. Proboszcz opowiadał ks. Antoniewiczowi: „W jednej chwili lud się rozpierzchł, a ludzie nieznani zaczynają rabować kościół, ten postrach od nich zdradziecko rzucony był, aby lud miejscowy, spokojny, rozproszyć".

Przeciwieństwem Rożnowa była wieś Berezznica. „Wsławiła się w tych czasach zawziętością i zajadłością mieszkańców swoich, którzy spustoszywszy las, zrabowawszy dworskie budynki, podpaliwszy sterty i stogi, rozbiegli się przy wszystkich drogach do Bochni wiodących, napadali, mocowali, kaleczyli przejezdnych chcących się ratować, a zabitych i rannych zwozili do urzędu obwodowego". Oszczędzili wprawdzie miejscowego proboszcza, staruszka nieopuszczającego łóżka, lecz księdza wikariusza, który ukrył się na cmentarzu, dopadli i ciężko pobili. „Lud berezznicki dziki, zuchwały nie okazał najmniejszej radości z przybycia naszego, mało na nauki, a jeszcze mniej do spowiedzi uczęszczając". Pociechą dla ks. Antoniewicza było to, że do miejscowego kościoła przybyło wielu ludzi z okolicznych wsi. To właśnie oni, gdy jezuita schodził z ambony, padali mu do nóg, całowali po rękach, dziękowali i błogosławili.

Mieszkańcom Berezznicy w bestialstwie dorównywali chłopi ze wsi Nagoszyn (ks. Antoniewiczowi i jego towarzyszowi odradzano wyjazd w tamte strony). „Okrucieństwem swojem tak się odznaczyli, że samo imię postrach w całej okolicy rzuciło. Ztąd bowiem po rzezi pilzneńskiej rozpoczęły się krwawe mordy, wskutek których o kilkanaście mil dokoła, śmierci nie uszedł, kto za wczasu ucieczką się nie ratował. W Nagoszynie obficie krew płynęła, między innymi zamordowano księdza Bazylianina, który dla prześladowania tu się był schronił". Gdy jednak przybył ks. Antoniewicz, chłopi licznie stawili się, by wysłuchać nauk, ze skruchą i żalem – jak zauważał duchowny – przystępowali do spowiedzi i zwracali do dworu zrabowane rzeczy, a nawet prosili miejscową dziedziczkę o wybaczenie. Dziwił się ksiądz, że mieszkańcy Nagoszyna, bardzo złą sławą owiani, „tak potulnymi, cichymi i skruszonymi się okazali".

Promień na krzyżu

Niedaleko Wiewiórki, kolejnego celu misji ks. Antoniewicza i jego towarzysza, znajdowała się karczma na rozstajach dróg, gdzie chłopi zamordowali 24 osoby. Ksiądz postanowił ustawić przy niej krzyż misyjny na pamiątkę zbrodni. Z Wiewiórki wyszła ogromna procesja z krzyżem niesionym przez chłopów. „Poświęcony zwykłem poświęceniem krzyż wzniósł się nagle w górę, a w tej chwili słońce zachodzące z poza czarnej wyzierając chmury, rzuciło ostatnie promienie na blaszany wizerunek Zbawiciela, co wszyscy obecni z niemałym dostrzegli podziwieniem i uszanowaniem, a odbite od krzyża promienie ognistym blaskiem spłynęły na karczmę [...]. Wzruszony w głębi duszy, przemówiłem do ludu, wskazując mu karczmę, przypomniałem zbrodnie jego, opowiadałem miłosierdzie Boga dla tych, którzy przez płacz, pokutę i poprawę tego miłosierdzia godnymi się staną. Jakby iskra elektryczna przeszła wszystkie serca, cisza, która w całem zgromadzeniu panowała, przeszła w jęki, stłumione łzy i westchnienia".



Nagrobek Karola Bołoza Antoniewicza w kościele w Obrze

FOT. WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE W OBRZE

Bardzo możliwe, że był to najradośniejszy moment dla ks. Antoniewicza, ukoronowanie niełatwej, a jednak przynoszącej dobre owoce misji. Kaznodzieja, który trafił do serc niedawnych zbrodniarzy i ich pomocników, wyrażał nadzieję: „Oby ta krew i te łzy wypłaciły długi grzechów nie tylko naszych, ale i przeszłych pokoleń, które ściągnęły gniew Boski na tę ziemię! Oby to odpuszczenie krzywd wyjednało nam odpuszczenie przewinień naszych u Boga, a tem samem ściągnęło na nas miłosierdzie Boskie. Oby wszyscy, lud i Panowie wzajem krzywdy i urazy puszczając w zapomnienie, podali sobie dłonie, i jedność, zgoda i miłość, jak kwiat nadziei lepszej przyszłości zakwitła na niwach naszych".

Mimo wielkich zasług jezuitów dla uspokojenia nastrojów na galicyjskiej wsi rząd austriacki dwa lata później rozwiązał zakon. Ksiądz Bołoz Antoniewicz nie porzucił pracy kaznodziejskiej. „Wziął podróżny kij i wyruszył na podbój dusz" – pisał o nim Franciszek Ziejka. Ksiądz Antoniewicz krzepił na duchu mieszkańców Krakowa po straszliwym pożarze z 1850 r., prowadził misje na Górnym Śląsku i w objętej zarazą Wielkopolsce. Gdy arcybiskup gnieźnieński przekazał jezuitom kościół w Obrze, ks. Bołoz Antoniewicz został przełożonym klasztoru, lecz zmarł w listopadzie 1852 r., po zaledwie kilku dniach po przybyciu do Obry, i tam też został pochowany. Jego poezja ma charakter religijny, bardzo często maryjny, a do dziś śpiewana jest pieśń skomponowana do słów Bołoza Antoniewicza „Chwalcie łąki umajone".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba

Wieki XIX–XX / Ze szkockiej biedy na Piątą Aleję

Stalowy filantrop



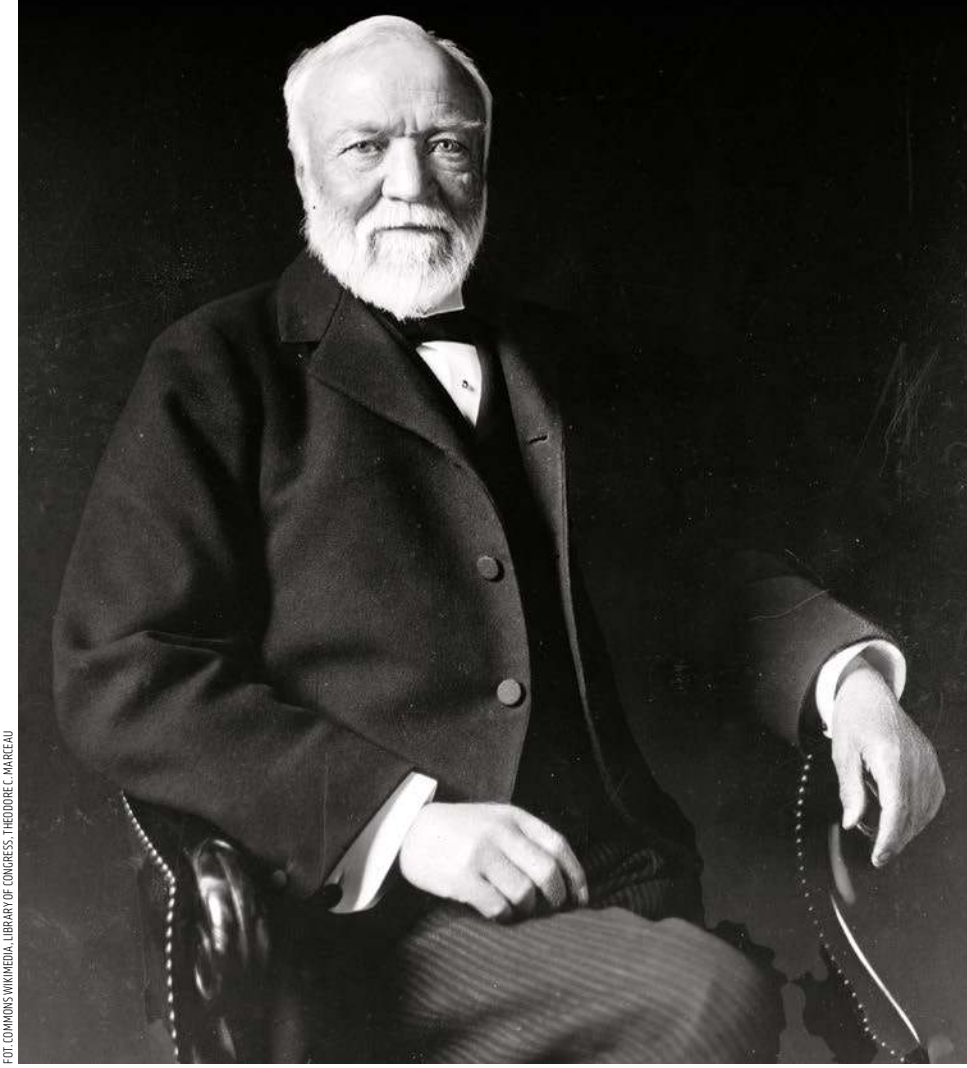
Jakub Wozinski

Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Amerykański bogacz odegrał też pewną rolę w promowaniu sprawy polskiej

„Człowiek, który umiera bogaty, umiera w hańbie" – napisał w swoim słynnym manifeście „Ewangelia bogactwa" (1889) założyciel Carnegie Steel. Ku powszechnemu zdumieniu Andrew Carnegie w pełni zrealizował swoją zapowiedź. Córce Margaret zapisał wprawdzie w spadku kilka milionów dolarów, które wystarczyły jej na bardzo dostatnie życie, a żonie Louise zapewnił dożywotnią rentę, lecz kwoty te stanowiły tylko niewielki ułamek fortuny, którą zgromadził w czasie swojego długiego życia.

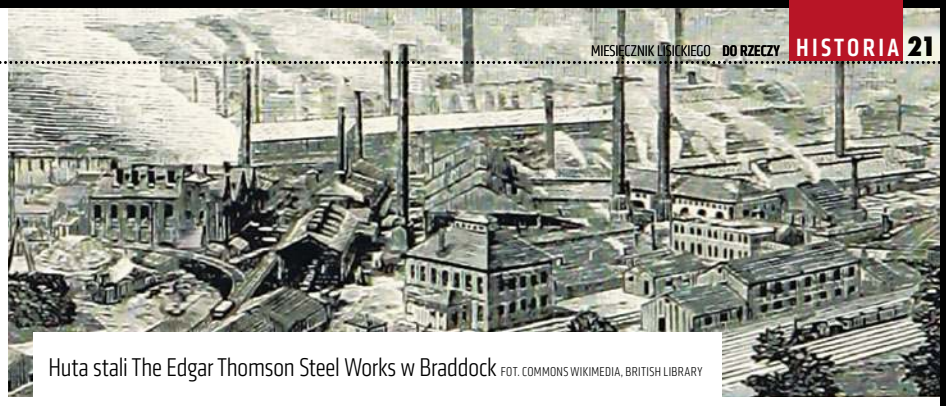
„Król stali", skądinąd słusznie, uważał, że bogactwo nie tylko było jego osobistą zasługą, lecz także wynikało z okoliczności, które zostały wypracowane przez całe społeczeństwo. Dlatego właśnie bogaty powinien dzielić się swoim majątkiem ze wszystkimi wokoło – nie w sensie dosłownym, lecz finansując instytucje użyteczności publicznej. Jako młody chłopak z ubogiej rodziny Carnegie często korzystał z publicznych bibliotek. Gdy zgromadził wielki majątek, przeznaczył łącznie 41 mln dol. (ok. 1,4 mld dol. według obecnego kursu) na aż 1689 publicznych bibliotek w samych tylko Stanach Zjednoczonych. Łącznie na całym świecie zbudował i wyposażył ich blisko 3 tys.

Współcześnie nazwisko Carnegie bywa najczęściej przywoływane w związku z nowojorską Carnegie Hall, salą słynącą nie tylko ze świetnej akustyki, lecz także z ogromnego prestiżu. Bogacz polecił wybudować ją w latach 1889–1891, a na otwarcie zaprosił Piotra



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.LIBRARY OF CONGRESS, THEODORE C. MARCEAU

eprasa.pl bf9306b6ba



Huta stali The Edgar Thomson Steel Works w Braddock FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

Czajkowskiego. Kilka miesięcy później w Carnegie Hall pojawił się także Ignacy Jan Paderewski, który od tamtej pory był tam stałym bywalcem. Słynny Polak utrzymywał z Andrew i Louise Carnegie bardzo zażyłe relacje towarzyskie i często gościł na prywatnych koncertach w ich domu przy Piątej Alei. Dzięki tej znajomości Paderewski zyskał później w Carnegiem ważnego sojusznika, a nawet sponsora sprawy polskiej. Poparcie dla odzyskania przez Polskę niepodległości przez samego „Króla Stali" było ważniejsze, niż mogłoby się współcześnie wydawać, ponieważ z jego zdaniem liczono się na całym świecie, a w szczególności w Waszyngtonie.

To wszystko jednak nie znaczy, że Carnegie był niepoprawnym idealistą, walczącym o lepszy świat i bezgranicznie oddanym służbie innym ludziom. „Król Stali" potrafił wygłaszać najbardziej wzniosłe deklaracje na temat praw pracowniczych, a jednocześnie gnębił wielu swoich pracowników i latami nie dawał im podwyżek. Podając się za pacyfistę i wroga wszelkich wojen, wspierał mocarstwowe dążenia państw anglosaskich. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że Carnegie przekupywał ludzi swoją działalnością filantropijną, aby zapomniano mu jego liczne przejawy cwaniactwa i małostkowości.

Awans za awansem

Cechami charakterystycznymi przyszłego „Króla Stali" były niski wzrost i przysadzista sylwetka. Obracający się przez większość życia wśród arystokratów Carnegie zdradzał swoim wyglądem pospolite pochodzenie. Na świat przyszedł 25 listopada 1835 r. w Dunfermline w Szkocji, w rodzinie mającej do dyspozycji zaledwie jedną izbę. Ojciec, Andrew, był tkaczem, któremu nie powodziło się w życiu. Dużo bardziej przedsiębiorcza była za to matka, po której przyszły przemysłowiec odziedziczył imponującą życiową energię.

To właśnie Margaret Carnegie starała się o poprawę warunków bytowych rodziny. Gdy w 1847 r. wybuchł w Szkocji kryzys, rodzina postanowiła sprzedać wszystko, co miała, i kupić bilet na statek do Stanów Zjednoczonych. W ten właśnie sposób państwo Carnegie trafili do Allegheny w Pensylwanii, które obecnie stanowi dzielnicę Pittsburgha. Na miejscu żyło już wielu Szkotów; Andrew i jego ojciec znaleźli pracę w warsztatach tkackich należących do jednego z nich.

Mimo że jeszcze w Szkocji przyszły potentat często odwiedzał biblioteki i dużo rozmawiał ze swoim zaangażowanym politycznie wujem, w Ameryce przyszło mu poznać smak ciężkiej pracy, polegającej na wymianie szpuli w maszynie tkackiej. Zaangażowanie młodzieńca nie uszło uwagi innego z przemysłowców, Johna Haya, który wkrótce dał mu awans i powierzył maczanie szpuli w specjalnym oleju.

Pomimo trudnych początków Carnegie wierzył, że pisana jest mu lepsza przyszłość, dlatego zapisał się na wieczorowy kurs księgowości. Wkrótce spotkał go kolejny awans i w wieku 14 lat został chłopcem na posyłki w firmie telegraficznej w Pittsburghu. Co ciekawe, nauczył się wówczas rozpoznawania sygnałów telegraficznych po dźwięku. Ów rzadki talent, a także świetna pamięć sprawiały, że chłopak szybko awansował. Wkrótce Andrew pracował już na stanowisku specjalisty obsługującego telegraf, a wieku 18 lat dostał angaż na tym samym stanowisku w linii kolejowej Pennsylvania Railroad. Już wtedy był głównym żywicielem całej rodziny.

Prawdziwy przełom w życiu młodziana ze Szkocji nastąpił w październiku 1855 r. Carnegie tak opisał później w swojej autobiografii to wydarzenie: „Do moich drzwi zapukał Fortunatus, czyli Pan Scott, który spytał mnie, czy mam pięćset dolarów. Jeśli tak, to chętnie dokona dla mnie pewnej inwestycji". Carnegie oczywiście nie miał tyle pieniędzy, więc zapożyczył się u wspomnianego Thomasa Scotta, a gdy później nadszedł moment spłaty, zastawił całą rodzinną nieruchomość z Allegheny. Podjął znaczne ryzyko, ale opłaciło mu się to, gdyż całość długu spłacił później z dywidend spółek, których akcje kupił.

Wspomnianą inwestycją, która stała się fundamentem wszystkich jego późniejszych sukcesów, był pakiet udziałów w spółce Adams Express, zajmującej się przewozem paczek. Okazję do ich nabycia stworzyła nagła śmierć



Most Eads Brigde (1874) na Missisipi, stal pochodziła z fabryki Carnegiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl bf9306b6ba

pewnego Szkota, którego żona musiała pospiesznie zdobyć gotówkę. Spółka Adams Express dostała kilka miesięcy wcześniej kontrakt na przewóz przesyłek z Filadelfii do Pittsburgha, dlatego jej dochodowość znacznie wzrosła. Młody Carnegie wygrał swój los na loterii, choć wiele wskazuje na to, że wspomniany już Thomas Scott dostrzegł w swoim młodszym koledze bystrego partnera do robienia interesów.

Dzięki papierom wartościowym Carnegie poznał już smak wzbogacenia się, lecz nadal musiał ciężko pracować jako zwykły robotnik. Scott załatwił mu posadę nadzorcy ruchu w firmie Pennsylvania Railroad, a w niedługim czasie wybuchła wojna secesyjna. Gdy w 1864 r. początkujący biznesmen dostał wezwanie do wojska, zapłacił pewnemu młodemu Irlandczykowi, by zajął jego miejsce. W tym czasie Carnegie był już zaprzątnięty swoimi własnymi biznesami, których wciąż przybywało. Niemal wszystkie zarobione środki lokował w zakup akcji kolejnych spółek. Pod koniec wojny posiadał już udziały w firmach przewozowych, kopalniach, hutach żelaza, liniach kolejowych oraz w firmach naftowych. Region Pittsburgha, w którym rezydował, był jednym z głównych zagłębi przemysłowych w całym kraju, a powstające niczym grzyby po deszczu spółki oferowały wysokie dywidendy. Posiadając wystarczająco dużo kontaktów i wiedzy na temat lokalnego biznesu, Carnegie potrafił idealnie skorzystać



Karykatura przedstawiająca filatropijną działalność Andrew Carnegiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LOUIS DALRYMPLE

z fali wznoszącej, na której znajdowała się amerykańska gospodarka.

Cła GOP

Początkowo mogło się wydawać, że Carnegie skupi się na rynku naftowym. Wspólnie ze znajomym wykupił nawet w samym szczycie gorączki wydobywczej wiele roponośnych gruntów, lecz zrobił to tylko po to, aby sprzedać je później z zyskiem, gdy pozostałe źródła były na wyczerpaniu. Przemysłowiec z Allegheny przewidywał jednak, że dużo lepszy interes zrobi, angażując się w rynek produkcji stali. Przyglądając się dynamicznie rozwijającej się kolei oraz wydarzeniom związanym z wojną secesyjną, postawił z czasem wszystko na jedną kartę.



Carnegie Library w Pittsburghu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SHIZZY9989

Strategia Carnegiego miała sens, ponieważ zwycięstwo jankesów zwiastowało triumf polityki protekcjonizmu i nastanie szczególnie korzystnych warunków dla amerykańskiego przemysłu. Wystarczyło jedynie uruchomić w Stanach Zjednoczonych produkcję stali, która znajdowała coraz więcej zastosowań w całej gospodarce. Carnegie zaczął regularnie odwiedzać rodzinne Wyspy Brytyjskie i z uwagą podglądał tamtejszych producentów, stosujących metodę Bessemera, a następnie piece martenowskie. Swoje doświadczenia wdrażał później w kolejnych spółkach.

Carnegie posiadał udziały w wielu przedsięwzięciach, ale pierwszą firmą, w której sprawował władzę absolutną, była założona w 1865 r. Keystone Bridge Company. Jej specjalnością była budowa mostów kolejowych (produkowanych jeszcze z żelaza). Prawdziwy fundament pod przyszłe imperium stalowe został położony nieco później, w 1875 r., gdy uruchomiono hutę stali Edgar Thomson Works w Braddock. Sukces tego przedsięwzięcia był ogromny, ponieważ Carnegie zdołał wprowadzić wiele usprawnień, osiągając dużo lepsze rezultaty niż inni producenci. Dzięki temu już w 1883 r. przejął najważniejszego konkurenta, Homestead Steel Works, i stanął na czele największego w kraju kompleksu produkującego stal.

Carnegie od początku swojej kariery przyjaźnił się z politykami Partii Republikańskiej i utrzymywał zażyłe relacje z niemal każdym kolejnym sekretarzem skarbu, a niekiedy także z prezydentami z Grand Old Party. Republikanie byli bardzo wdzięcznymi partnerami dla wielkiego biznesu, ponieważ chronili amerykański przemysł wysokimi cłami, bronili interesów bankierów, sprzeciwiając się przywróceniu srebra jako pieniądza, oraz unikali podejmowania działań przeciwko kartelom. Silna pozycja Carnegiego wynikała zaś w znacznej mierze z funkcjonowania specyficznego kartelu pionowego, w którym porozumienie między przedsiębiorcami z różnych szczebli produkcji uniemożliwia nowym podmiotom wejście na rynek i obniżenie cen.

Carnegie chwalił się zawsze, że jego taktyka polegała na tym, aby za wszelką cenę zwiększać produkcję bez względu na okoliczności. Zgodnie z jego prze-

eprasa.pl bf9306b6ba



Carnegie Hall w Nowym Jorku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, OTTOKLEMPERER1885

widywaniami budzący się amerykański gigant potrzebował nieprzebranej ilości stali i dlatego sens miała ciągła ekspansja. Podczas gdy inne firmy z branży silnie odczuwały skutki kryzysów (choćby z 1893 r.), imperium Carnegiego wciąż się rozwijało. Jego huty, które w latach 80. XIX w. produkowały głównie tory kolejowe, w kolejnym dziesięcioleciu dostarczały niezliczonej ilości stali potrzebnej m.in. do konstrukcji drapaczy chmur. Stany Zjednoczone pięły się w górę, a wraz z nimi fortuna przemysłowca.

Światowa kariera

Potentat przeniósł się już w tym czasie do Nowego Jorku, stając się jednym z jego najbardziej znanych mieszkańców. Wzniósł Carnegie Hall, zaczął fundować budowę bibliotek oraz udzielał niezliczonych wywiadów dla prasy. Co roku wyjeżdżał na kilka miesięcy do Europy, gdzie spotykał się z głowami państw, arystokracją, bankierami, przemysłowcami i wiodącymi politykami. W pierwszych latach swojej kariery zabierał do Londynu pewną ilość papierów wartościowych, występując nawet na tamtejszej giełdzie w roli brokera. Przy okazji oddawał się licznym spekulacjom, choć później zarzekał się, że nigdy nie miał z tym nic wspólnego.

Produkując pod koniec XIX w. ok. połowy amerykańskiej stali, Andrew Carnegie znajdował się u szczytu swojej kariery. Już wtedy coraz więcej czasu poświęcał na działalność pisarską, gdyż zawsze chciał uchodzić za mędrca. Szczególną czcią otaczał zwolennika ewolucjonizmu społecznego Herberta Spencera, w którego poglądach odnalazł teoretyczne uzasadnienie dla swoich poczynań. Z czasem Spencer zaczął nawet nieco unikać swojego amerykańskiego fana, który wręcz narzucał mu się w kłopotliwy sposób.

Carnegie nie zdobył nigdy wykształcenia na wyższej uczelni, ale za to pokusił się o sformułowanie własnych zasad dobrego życia. We wspomnianym już tekście pt. „Ewangelia bogactwa" przekonywał m.in., że dawanie jałmużny jest błędem, skupienie bogactwa w rękach nielicznych jest naturalne i korzystne, lecz milionerzy są zobowiązani do finansowania rozmaitych przedsięwzięć służących społeczeństwu. Przyjaźniący się z nim Mark Twain mówił później z przekąsem: „Carnegie poucza biednych, jak żyć cnotliwie, rozdając im biblioteki, w których nie mogą czytać, bo muszą pracować po 12 godzin dziennie".

Kulminacyjny moment w życiu Andrew Carnegiego nadszedł w 1901 r. Próbując zainwestować w fabrykę wytwarzającą rurociągi, wyraźnie naruszył strefę wpływów najpotężniejszego bankiera ówczesnego świata, Johna Pierponta Morgana. Obaj milionerzy znali się od lat, lecz Carnegie nigdy wcześniej nie ośmielił się z nim otwarcie konfrontować. Król Wall Street uznał, że nadszedł czas, aby w całości wykupić Carnegie Company, i przedstawił swoją ofertę przez podległego mu przemysłowca.

Carnegie nie namyślał się długo i w zamian za 304 mln dol. (dziś byłoby to ok. 10 mld dol.) sprzedał swoją firmę, przechodząc w ten sposób na biznesową emeryturę. Autor „Ewangelii bogactwa" twierdził później, że i tak od dłuższego czasu zamierzał to zrobić, lecz dla wszystkich było oczywiste, że Morgan nie chciał dłużej tolerować konkurencji. Powstała w ten sposób US Steel Corporation stała się największą firmą w całym kraju i największym producentem stali na świecie. Dzięki niej imperium Morgana zyskało ważne koło zamachowe do dalszego rozwoju.

Resztę życia Andrew Carnegie spędził na pisaniu, podróżach, odczytach, wywiadach i oczywiście finansowaniu kolejnych bibliotek, fundacji i towarzystw. W 1902 r. ufundował Carnegie Institution, która formalnie miała być instytutem badawczym, lecz w skład jej rady wchodziło liczne grono polityków. Tego rodzaju przedsięwzięcia pokazywały, że choć Carnegie zostawił na boku biznes, to wciąż miał ogromny apetyt na wpływanie na losy kraju i świata.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat życia przemysłowiec podejmował kolejne inicjatywy, które jego zdaniem miały uczynić świat lepszym. Prowadził kampanię na rzecz uproszczenia języka angielskiego, tak aby stał się on jeszcze łatwiej przyswajalny na całym świecie, i w tym celu ufundował Radę Uproszczonej Wymowy. Działał na rzecz połączenia USA z Wielką Brytanią w jeden organizm polityczny, twierdząc, że odłączenie amerykańskich kolonii było bardzo niefortunnym wydarzeniem. W odnowionej unii to jednak Brytyjczycy mieli wyrzec się swojej monarchii parlamentarnej i uznać wyższość demokracji.

Uczeń Buffett

W okresie przedwojennym i już po wybuchu pierwszej wojny światowej Carnegie poświęcił się agitacji na rzecz pokoju i idei pacyfistycznych. W 1913 r. przeznaczył nawet 1,5 mln dol. na budowę Pałacu Pokoju w Hadze, gdzie obecnie swoją siedzibę ma Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości.

Jednak szczególnie wyraźne piętno Carnegie odcisnął na całym amerykańskim świecie naukowym. Począwszy od 1905 r., poprzez swoją Carnegie Foundation for the Advancement of Teaching, zaczął on sponsorować kadrze naukowej emerytury, stypendia, a w końcu także granty. Z czasem to wsparcie naukowców przekształciło się w najbardziej prestiżowy system akredytacji i klasyfikacji amerykańskich uczelni, funkcjonujący zresztą do dziś.

Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Mimo że jego fortuna została ostatecznie w ogromnej większości rozdysponowana, a jego rodzina nie prowadzi już stalowego biznesu, nazwisko Carnegie zostało utrwalone w imponującej sieci instytucji i fundacji. Wszyscy współcześni filantropi, tacy jak Bill i Melinda Gates, Warren Buffett, Charles Koch czy też George Soros, są tak naprawdę uczniami Carnegiego. W największym stopniu jest nim jednak Buffett, który wzorem „króla stali" zobowiązał się przekazać na cele społeczne cały swój majątek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Józef Peszka, „Śmierć Bolesława Krzywoustego”
FOT. DOMENA PUBLICZNA

XII w. / Piastowski podział Polski

Sekrety „Testamentu Krzywoustego”



Leszek Lubicki

Podział państwa dokonany przez Bolesława Krzywoustego obrósł wieloma mitami. W rzeczywistości takie uregulowanie kwestii spadkowej nie było w tamtych czasach niczym niezwykłym

Dzięki swojej rzutkiej aktywności, rozpoczętej już za czasów dziecięcych, książę Bolesław III pozostawił spadkobiercom Polskę suwerenną, zjednoczoną pod jednym władcą, z własną metropolią kościelną obronioną przed zakusami arcybiskupów magdeburskich. Kontrowersje jednak do dziś budzi tzw. testament Krzywoustego. Pomimo że do jednowładztwa doszedł w sposób okrutny, oślepiając przyrodniego brata Zbigniewa, a mówiąc wprost – dokonując zbrodni bratobójstwa, to jednak w dalszym rozrachunku czyn ten nie jest aż tak rażący, ponieważ było to działanie zgodne z polską racją stanu. Książę odbył obowiązkową pokutę. Takie były wówczas czasy, że wydłubanie oczu zdrajcom, którzy bratali się z obcymi państwami dla uzyskania władzy (w tym przypadku oznaczało to rozdrobienie władzy), było rzeczą normalną. Jak pisał celnie czeski kronikarz Kosmas: „Dwa kocury schwytane do jednego wora nie mogą być razem”. I został jeden, ten lepszy, który na zawsze pozostanie w pamięci kolejnych pokoleń Polaków.

Już w 1107 r. podporządkował sobie Pomorze, łącznie z Kołobrzegiem. Gdy król niemiecki Henryk V zażądał oddania Zbigniewowi połowy królestwa, płacenia mu trybutu 300 grzywien i zagroził wojną, polski książę był na tyle pewny siebie, że odpowiedział: „Bacz, komu grozisz: jeśli zaczniesz wojnę, znajdziesz ją!”. Uważano bowiem, „że Polska podlega władcom Rzeszy Niemieckiej zarówno wtedy, gdy noszą koronę cesarską, jak i wówczas, gdy tylko niemiecką. Postrzegano Polskę jako księstwo podległe Niemcom, a nawet jako część Rzeszy” (Rosik, „Poczet”, 2007). To wówczas odbyła się słynna skuteczna obrona Głogowa, gdy wojska niemieckie wraz z Czechami podczas rozejmu wzięły dzieci obrońców jako zakładników, a później pomimo złożonej przysięgi nie zwróciły ich, zamiast tego przywiązując je do maszyn oblężniczych jako żywe tarcze.

Żony i dzieci

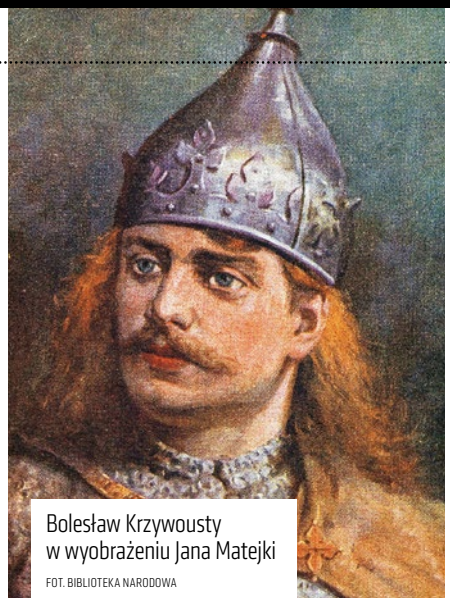
W roku 1103, mając lat 18, nasz bohater spogląda w stronę Rusi, by stworzyć silne przymierze przeciwko Zbigniewowi. Najlepiej uczynić to poprzez małżeństwo i właśnie tam, na Wschodzie, znajduje swoją wybrankę. O Zbysławie

eprasa.pl bf9306b6ba

wiemy bardzo mało, ale możemy uznać, że pochodziła z ważnego rodu – dynastii Rurykowiczów. Nie obeszło się jednak bez kłopotów. Zbysława była córką księcia kijowskiego Świętopełka i siostrą księcia wołyńskiego Jarosława. Wystąpiły tu problemy dynastyczne, ale kłopotem było także prawo kanoniczne. „Przypuszcza się, że jej babką była cesarzówna bizantyjska, a jej pradziadkiem Mieszko II. Małżonkowie byli więc dalekimi krewnymi, stąd też, aby zawrzeć małżeństwo, musieli zabiegać o odpowiednie zezwolenie (dyspensę) w Rzymie u papieża Paschalisa II" (Rosik, „Poczet", 2007).

Małżeństwo zapewniało dobre stosunki ze wschodnimi silnymi książętami. Zbysława jednak umarła ok. 1114 r. Urodziła Bolesławowi syna Władysława (1105), późniejszego pierwszego princepsa, znanego nam z historii pod przydomkiem Wygnaniec. Rok po jej śmierci Krzywousty w poszukiwaniu kolejnej małżonki spogląda w drugą stronę – na zachód. Po wyeliminowaniu Zbigniewa normują się stosunki z Cesarstwem, a także z Czechami. „Ich władcy przyjęli śmierć Bolesławowego brata z wyraźną ulgą, tym bardziej że obrona jego praw nie dawała im dotąd żadnych wymiernych korzyści. Dość łatwo zgodzili się więc na unormowanie wzajemnych stosunków z Bolesławem" (Urbański, 2006).

Nową wybranką polskiego księcia zostaje Salomea, córka hrabiego Bergu ze Szwabii. Mimo że był to związek dynastyczny, można dopatrywać się tutaj miłości, stanu rzadko spotykanego w tego rodzaju związkach małżeńskich. Salomea urodziła prawdopodobnie 12 dzieci, w tym sześciu chłopców. Dwóch z nich, Leszek i Kazimierz, zmarło jeszcze za życia ojca. Trzech z nich – Bolesław (Kędzierzawy), Mieszko (Stary) i Kazimierz (Sprawiedliwy) – zasiadało później na wielkoksiążęcym tronie w Krakowie. Tylko jeden, Henryk (Sandomierski), nie był zainteresowany jakąkolwiek formą władzy; był rycerzem z krwi i kości, uczestniczył nawet w wyprawie krzyżowej. Z córek najbardziej znana jest najmłodsza Agnieszka, która została wielką księżną kijowską jako żona Mścisława II. To ona urodziła Romana Halickiego – księcia, który później napadnie na Polskę i polegnie w bitwie pod Zawichostem, walcząc przeciwko wojskom Leszka



Bolesław Krzywousty w wyobrażeniu Jana Matejki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Białego i Konrada Mazowieckiego, a więc swoich kuzynów.

Braterski konflikt

Salomea przeżyje męża o sześć lat i będzie później ważną personą w trakcie konfliktu jej synów z ich przyrodnim bratem Władysławem. Także jej odprawa wdowia, prawdopodobnie ziemia łęczycka i być może sieradzka, po jej śmierci stanie się przedmiotem sporu pomiędzy najstarszym synem Krzywoustego z pierwszego małżeństwa a juniorami, jej rodzonymi synami. Nieustanne konflikty trwały również pomiędzy Salomeą a żoną Władysława, Agnieszką, jako lepiej urodzoną. Po śmierci Bolesława księżna wdowa ignorowała princepsa i jego małżonkę. Ważny był w tym kontekście zjazd w Łęczycy z 1141 r. zwołany przez Salomeę, w którym uczestniczyli jej synowie i sprzyjający jej możni, ale nie zaproszono na niego seniora. Radzono tam, co zrobić z kilkuletnią wtedy Agnieszką – czy wydać ją za mąż czy też oddać do klasztoru, gdyż wówczas innej drogi dla książęcej córki nie przewidywano. I to ważne postanowienie zostaje podjęte bez udziału księcia zwierzchniego Polski, Władysława.

„Decyzja ta była wyraźnym rzuceniem wyzwania i być może miała na celu sprowokowanie Władysława II do czynnego wystąpienia przeciwko jej stronnictwu […]. Przed śmiercią prawdopodobnie zobowiązała możnych świeckich i duchownych, aby przysięgą potwierdzili, że będą popierać i bronić interesów młodszych książąt" (Snoch, 1987). Inny uczony także dostrzega w Salomei silną osobowość, „zdolną podejmować samodzielne działania polityczne (zwołała zjazd w Łęczycy), a zwłaszcza stabilizować dom tak rozrośnięty przed kryzysami wewnętrznymi. Udawało jej się już po śmierci męża uśmierzyć narastający konflikt między jej synami a pasierbem" (Rosik, 2013).

Niemniej zauważyć należy, że zjazd zwołany w Łęczycy bez zaproszenia princepsa Władysława z pewnością nie sprzyjał stabilizacji. A jak się rzuca wyzwanie, to należy spodziewać się reakcji. Doszło do niej bardzo szybko, ale już po śmierci Salomei, która zmarła w 1144 r., przebywając w Polsce prawie 30 lat. Synowie pochowali ją obok męża w płockiej katedrze. I wówczas zaczęła się decydująca faza konfliktu pomiędzy seniorem a juniorami. Chodziło o ziemię pozostawioną przez Salomeę. Komu powinna ona przypaść w udziale? Młodsi Piastowice uznali, że majątek po ich matce powinien przejść w ich ręce. Senior nie mógł zgodzić się na takie rozwiązanie, gdyż była to część dzielnicy senioralnej. „Wojska Władysława poniosły jednak klęskę w bitwie nad Pilicą. Dopiero wtargnięcie do Polski oddziałów Wszewołoda [Władysław poprosił go o pomoc – przyp. red.] doprowadziło do pozytywnego dla Władysława rozstrzygnięcia sporu. Książę kijowski spotkał się z juniorami »pośrodku polskiej ziemi«..." (A. Marzec, „Leksykon", 1999). Ale oczywiście nie był



Brakteat protekcyjny Bolesława Krzywoustego

FOT. WMUZEACH.PL

eprasa.pl bf9306b6ba

to koniec konfliktu seniora z juniorami. Zabrakło Krzywoustego i zaczęły się konflikty wewnętrzne.

Testament Krzywoustego

Gdy mówimy o rozbiciu Polski na dzielnice, to od razu przychodzą nam na myśl Bolesław Krzywousty i jego ustawa sukcesyjna. „Powszechnie obwinia się Krzywoustego, że w testamencie podzielił Polskę między swych synów i w ten sposób zapoczątkował tzw. rozbicie dzielnicowe naszego kraju. Jest w tym zdaniu dość dużo nieporozumienia. Przez »rozbicie« rozumie się bowiem zniszczenie jakiejś całości przez jej pokawałkowanie. A tymczasem ówczesna Polska wcale nie była monolitem, lecz zespołem ziem powoli zrastających się w jedną całość" (Mitkowski, 1981). Otóż to! Zaraz po śmierci Władysława Hermana Bolesław musiał dziedzictwem dzielić się ze Zbigniewem, bo taka była wola ojca. Być może starszy przyrodni brat został wyznaczony na księcia zwierzchniego, a nawet jeśli stary książę uznał ich w swoim testamencie za równych, to także nic dobrego to nie wróżyło, o czym już wiemy. Każdy z książąt miał przecież swoich zwolenników. Krzywousty natomiast chciał, aby po jego śmierci nie było bratobójczych walk o władzę, czego doświadczył osobiście.



Salomea z Bergu. Grafika z XIX w.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA.

Często w literaturze przedmiotu spotykamy się z następującym stwierdzeniem: „Testament Krzywoustego z roku 1034…", co wprost sugeruje, że książę „dyktował" go niejako na łożu śmierci. Nikt nigdy owego testamentu nie widział na oczy i nie znamy jego szczegółowej treści, ale zapewne na takie późniejsze interpretacje miał wypływ Wincenty Kadłubek, który ponad 60 lat po śmierci Krzywoustego w swojej „Kronice" napisał, iż gdy Bolesław „poczuł, że [los] żąda już od niego śmiertelnej powinności, poleca spisać dokumenty testamentowe. Przekazuje w nich w spadku czterem synom i to, co osiągnięte zasługami przodków, i następstwo w królestwie, wyznaczając stałe granice czterech dzielnic w ten sposób, że w ręku najstarszego miało pozostać i księstwo dzielnicy krakowskiej, i władza zwierzchnia".

Mówiąc ściśle, co zresztą ustalono dużo później na podstawie różnych źródeł, w pierwszym podziale uczestniczyło trzech synów. Henryk był bowiem wówczas dziecięciem pod opieką matki, a Kazimierza być może jeszcze nie było na świecie – przypuszcza się, że był pogrobowcem. I tak najstarszy Władysław dostał Śląsk i ziemię opolsko-raciborską, Bolesław Mazowsze, a Mieszko Wielkopolskę. Została także „wyznaczona dzielnica centralna, której stolicą był Kraków. W jej skład wchodziła ziemia krakowska, a także Pomorze Gdańskie […]. Najprawdopodobniej należała do niej również wschodnia Wielkopolska z Gnieznem, może ponadto jeszcze jakieś inne ziemie. Centralną dzielnicą miał rządzić najstarszy z żyjących potomków Bolesława. Miał on również sprawować zwierzchnią władzę nad braćmi i nad całą Polską […]. Statut był bardzo dobrze skonstruowany. Przynajmniej w pokoleniu synów Krzywoustego centralna dzielnica zapewniała każdemu księciu



RYS. MARZENA WŁOCZYK

eprasa.pl bf9306b6ba

zwierzchniemu przewagę nad pozostałymi. Na pierwszego z książąt zwierzchnich, zapewne z tytułem wielkiego księcia, został wyznaczony najstarszy Władysław. Miał on wielką przewagę nad braćmi. Poza Śląskiem miała mu przypaść cała dzielnica senioralna. Zapewne zarządzał też dzielnicą sandomierską, w przyszłości przewidzianą dla Henryka" (Barański, 2005).

Kiedy mogły powstać założenia statutu sukcesyjnego? „Bolesław Krzywousty wcześniej pomyślał o tym, jak zapobiec wojnie domowej po swojej śmierci, i wysunął najpewniej niedługo po urodzeniu Bolesława Kędzierzawego zasadę senioratu, zaprzysiężoną przez możnych polskiego państwa. Teraz jednak, kiedy miał już wielu synów: pierworodnego, legalnego spadkobiercę Władysława oraz grupę juniorów wraz z matką – musiał jeszcze z większą troską i dbałością o szczegóły swego testamentu pomyśleć o przyszłości swego dziedzictwa" (Nowak, 2014).

Istnieje także hipoteza, że pomysł napisania statutu wykuł się ok. 1117 r., po urodzeniu się Leszka, drugiego syna spłodzonego z Salomeą. Wiąże się ten rok z buntem wojewody Skarbimira, który odmówił złożenia przysięgi, że owe założenia będzie akceptował. Pomimo że był on od dawna bardzo bliskim współpracownikiem Krzywoustego, książę kazał wydłubać mu oko. Dodajmy – drugie oko, bo jedno stracił już wcześniej w bitwach. Możni zatem „mieli zaprzysiąc, że starszy – a potem zawsze najstarszy w rodzie – będzie przez nich uznawany za władcę najwyższego. I basta. Żadnego wybierania, który mądrzejszy, lepszy, lepiej do sprawowania tak odpowiedzialnej godności przygotowany, albo i który wygodniejszy dla interesów możnych" (Nowak, 2015).

Podział państwa przez władcę nie był w tamtych czasach niczym nowym. „Był karkołomną próbą pogodzenia zasady podziału państwa między członków panującej dynastii z utrzymaniem jego jedności, [a także] był wyrazem panującego jeszcze w tamtej epoce zwyczaju traktowania państwa jako osobistego dziedzictwa (patrymonium), które można dzielić na podobieństwo rodowego majątku. Bolesław Krzywousty nie był pierwszy. Z podziałem patrymonialnej



Sarkofag Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego w katedrze płockiej FOT. COMMONS WIKIMEIDIA, PLOCKIFAN

monarchii piastowskiej mamy do czynienia regularnie od czasów Mieszka I" (Kucharczyk, 2025).

Powrót Mieszka

Przypomnijmy zatem, że Mieszko I podzielił kraj pomiędzy trzech synów. Następnie za czasów Mieszka II także doszło do rozczłonkowania państwa między niego samego, Ottona i Dytryka. W kolejnych latach Bolesław Śmiały musiał podzielić się ziemiami z bratem Władysławem Hermanem, a bohater tej opowieści przez pewien czas musiał zadowolić się swoją częścią (nad resztą państwa sprawowali kontrolę jego ojciec oraz Zbigniew). Jak zatem widzimy, podział Polski dokonany przez Bolesława III sprawił, że przewaga pierworodnego Władysława, jeżeli chodzi o zasobność jego ziem i wielkość mieszkającej na nich populacji, była wielka (poza tym jako



Synowie Krzywoustego: Władysław II Wygnaniec, Bolesław IV Kędzierzawy, Mieszko Stary, Kazimierz II Sprawiedliwy FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, RYS. JAN MATEJKO

starszy był siłą rzeczy bardziej doświadczony). Powinien zatem dać sobie radę w przypadku buntu nawet połączonych sił juniorów. A jednak nie dał rady. Do pierwszego upadku „Testamentu Krzywoustego" doszło już po ośmiu latach od śmierci Krzywoustego. Wojska Bolesława i Mieszka, wspierane przez możnowładców, pokonały siły Władysława i wówczas wygnano z Polski pierwszego princepsa. Nigdy już do ojczyzny nie wrócił. Powrócili jednak jego synowie, ale to już inna opowieść.

Później w Polsce realizowano już wolę Krzywoustego – najpierw rządził najstarszy Bolesław Kędzierzawy, po nim Mieszko III Stary, ale... do czasu. Niestety, ponownie doszło do upadku idei Krzywoustego. Z tronu krakowskiego możni małopolscy przegonili Mieszka, osadzając na nim najmłodszego z synów – Kazimierza. Po tym, gdy zakończył (w tajemniczy sposób) swój żywot, sędziwy już Mieszko powrócił na tron krakowski i dzierżył go aż do śmierci. Zauważmy przy tym, że przez 64 lata, czyli od śmierci Krzywoustego (1138) do śmierci ostatniego jego z synów, sędziwego już Mieszka (1202), na tronie senioralnym w Krakowie zasiadało tylko czterech władców, synów Bolesława III, a dla przykładu na sąsiedniej Rusi rządziło kilkudziesięciu książąt.

Do wielkiego rozdrobnienia Polski na dzielnice, prowincje, księstwa i księstewka doszło dopiero później, wraz z rozrośnięciem się dynastii piastowskiej. Ale to wcale nie znaczy, że kraj się nie rozwijał. Przeciwnie, wielu władców owych księstw dbało o ich rozwój. Nie było już princepsa, dzielnica senioralna została podzielona (według testamentu nie wolno było tego robić), ale i tak Polska przetrwała niemal dwa stulecia rozbicia dzielnicowego, by za kolejne 300 lat stać się niesamowitą potęgą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce"****, Warszawa 2005; Kucharczyk G.,* ***„Monarchia polska"****, Kraków 2025; Mitkowski J.,* ***„Bolesław Krzywousty"****, Warszawa 1981; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Pr. zb.,* ***„Piastowie. Leksykon biograficzny"****, Kraków 1999; Rosik S.,* ***„Bolesław Krzywousty"****, Wrocław 2013; Rosik S., Wiszewski P.,* ***„Wielki poczet polskich królów i książąt"****, Wrocław 2007; Snoch B.,* ***„Synowie Krzywoustego"****, Warszawa 1987; Urbański M.,* ***„Poczet królowych i żon władców polskich"****, Warszawa 2006.*

eprasa.pl bf9306b6ba



1940 r. / Koniec świata rodziny Kulonów

Sosnowe świadectwo



Piotr Włoczyk

Prace prof. Kulona pokazują w mikroskali tragedię jednej polskiej rodziny deportowanej w czeluści Związku Sowieckiego. Rzeźbiarz pozostawił po sobie dzieła, które krzyczą

Przekroczenie progu pracowni prof. Stanisława Kulona, legendarnego wykładowcy Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, było niczym wejście do świata kilkunastoletniego chłopca rzuconego na „nieludzką ziemię". W pracach prof. Kulona wciąż widać było żywy ból, który nawet po 70 latach rozdzierał jego serce. Ból po stracie trojga rodzeństwa i rodziców, którzy na zawsze pozostali na Uralu. Trzydzieści trzy płaskorzeźby, na których artysta pokazał losy swojej rodziny, tak bardzo poruszają ludzi, bo pokazują właśnie perspektywę małego chłopca, który został wyrwany przez NKWD ze swojego małego „raju" – wiejskiego domku na Kresach II RP – i wywieziony tysiące kilometrów na barbarzyński, czerwony Wschód, gdzie życie ludzkie nic już nie znaczyło. Nie brak głosów, że ten cykl płaskorzeźb, zatytułowany „Świadectwo 1939–1946", to opus vitae profesora.

– Jestem ostatnim żyjącym członkiem rodziny Kulonów, który przeżył deportację. Opowiadanie o tamtym świecie traktuję po prostu jako święty obowiązek wobec moich bliskich leżących w uralskiej ziemi – usłyszałem od profesora przed laty, gdy pokazywał mi swoje prace. Widząc zaangażowanie, z jakim ten ujmująco skromny staruszek opowiadał o swojej rodzinie, nie miałem wątpliwości, że nawet zwykły wywiad prasowy był dla niego częścią niezwykle ważnej misji.

Piec z chlebami

Trzydzieści trzy płaskorzeźby wykonane zostały w sosnowym drewnie. Wy-

eprasa.pl bf9306b6ba



Stanisław Kulon
FOT. MARCIN KMIECIŃSKI/PAP

bór takiego materiału nie był przypadkiem. Jak podkreślał w rozmowie ze mną prof. Kulon, z jego domu bardzo blisko jest do Puszczy Kampinoskiej.

– Mam tam swoje miejsca, gdzie wśród sosen czuję się tak, jakbym stał nad grobami najbliższych. Las uralski jest bowiem sosnowy, a oni wszyscy pochowani zostali właśnie wśród tych drzew. Chodzę w te miejsca właściwie co niedzielę, jestem też w lesie obowiązkowo każdego 10 lutego. Modlę się tam za wszystkich po kolei – mówił artysta.

Rodzina państwa Kulonów została wyrzucona ze swojego domu 10 lutego 1940 r., podczas pierwszej deportacji Polaków do ZSRS. Sowieci wygnali wtedy z jego rodzinnego domu osiem osób, ale – jak podkreślał prof. Kulon – w rzeczywistości była ich już dziewiątka – mama była wtedy w ciąży, oczekując siódmego dziecka.

– Około czwartej nad ranem usłyszeliśmy stukanie bagnetami w okno i krzyk: „Matuszka, otwieraj!". Zanim ojciec wstał i otworzył drzwi, dwóch sowieckich żołnierzy wywaliło je kolbami i weszło do środka. Kazali nam się ubierać i dali nam na to 15 minut. Powiedzieli, że niczego nie musimy ze sobą brać, ponieważ wszystko jest dla nas przygotowane tam, gdzie jedziemy. Mój najstarszy, 20-letni brat Władek na szczęście ich nie posłuchał. Wszedł na strych i odsypał do worka 20–30 kg mąki – mówił prof. Kulon. – Naszą jedyną „zbrodnią" było to, że mój ojciec był legionistą. Opowiadał nam wieczorami, jak trzy razy brał udział w wyzwalaniu Lwowa, jak bił się pod Radzyminem. Za służbę w wojsku dostał na Kresach 2,5 ha działki.

Państwo Kulonowie mieszkali w osadzie Sobiesko w województwie tarnopolskim. Rzeźbiarz pierwszą pracę z cyklu „Świadectwo 1939–1946" poświęcił rodzinnemu domowi. Widzimy na niej główną izbę drewnianego domku z piecem, bawiącymi się na podłodze dziećmi, matką siedzącą przy stole i świętymi obrazami wiszącymi na ścianach. Rodzina została wywieziona z Sobieska ostatnimi saniami. Jak wspominał rzeźbiarz, przed nimi ciągnął się cały łańcuszek furmanek z zesłańcami wiezionymi do Podhajec, gdzie Sowieci podstawili pociąg, który miał wywieźć Polaków na Wschód. Te sceny również znajdziemy w opus vitae profesora.

Opowiadając o wyrzuceniu z domu, oazy spokojnego rodzinnego życia, prof. Kulon wspominał o chlebie. Pysznym wiejskim chlebie, którego tak brakować będzie rodzinie w Sowietach.

– W domu zostawiliśmy piec pełen chlebów. Na Kresach był bowiem zwyczaj, że w piątek co dwa tygodnie pieczono chleby. U nas mama piekła 16 bochenków; po jednym na każdy dzień i dwa na pożyczenie innym – podkreślał mój rozmówca. Dzięki przezorności brata, który zabrał ze sobą mąkę, rodzina mogła w czasie transportu pociągiem piec placki, którymi dzieliła się z innymi deportowanymi.

Komandir urządził zasadzkę i złapał brata przy dojeniu. Strasznie go wtedy pobili. Ledwo z tego wyszedł

Mleko komandira

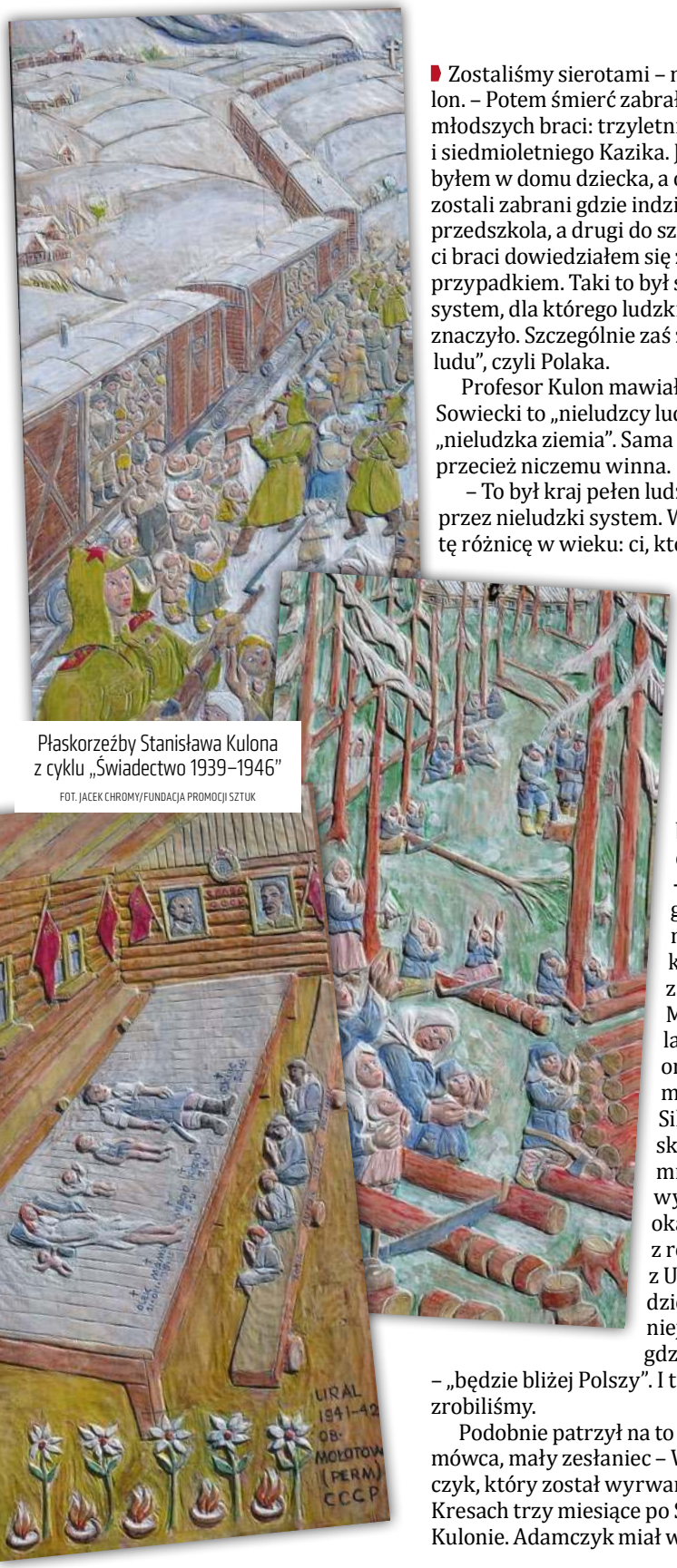
Niedługo po dotarciu na Ural matka urodziła chłopca – Olusia. I on jako pierwszy z rodziny Kulonów stracił życie. Zaledwie dwa tygodnie po urodzeniu leżał już w uralskiej ziemi.

– To była taka radość, jak się urodził! Szybko zaczął się jednak dramat – mama była niedożywiona i nie miała pokarmu... Skąd wziąć mleko dla dziecka w środku uralskiego lasu? W całej naszej „osadzie" była tylko jedna krówka. Należała do komandira. Ten człowiek miał kamienne serce i odmówił Olusiowi mleka – opowiadał profesor. – Starszy brat Józek wkradał się więc do szopy z krówką i przez kilka dni „nielegalnie" ją doił. Widać było, jak dzięki mleku Oluś zmienił się na lepsze: zarumienił się, mniej płakał, lepiej spał. Żona komandira zorientowała się jednak, że krowa daje za mało mleka... Komandir urządził zasadzkę i złapał brata przy dojeniu. Strasznie go wtedy pobili. Ledwo z tego wyszedł. To był koniec – braciszek Oluś niedługo potem zmarł z głodu. Mama zgarbiła się, łzy nie przestawały jej lecieć z oczu, prawie nic nie mówiła. Ojciec zdążył ochrzcić Olusia wodą z pobliskiej rzeki. To był bardzo wzruszający moment, wszyscy modliliśmy się za najmniejszego z nas.

Również ta scena – chrzest wycieńczonego niemowlaka – znalazła się na jednej z 33 płaskorzeźb profesora. Kolejną śmiertelną ofiarą był ojciec, który pracował na zesłaniu m.in. przy ostrzeniu pił i jako kołodziej. Podczas pędzenia rodziny z jednej osady do drugiej 52-latek był już tak wycieńczony, że nie był w stanie iść z resztą, usiadł na zwalonym drzewie i nikt go już potem nie widział... Moment ten uwieczniony został przez autora na płaskorzeźbie nr 25, a na kolejnej widać już matkę leżącą na łożu śmierci.

– Umarła z wycieńczenia. Mój najstarszy brat zadbał, by została pochowana w trumnie, zbił też krzyż z jej imieniem.

eprasa.pl bf9306b6ba



Płaskorzeźby Stanisława Kulona z cyklu „Świadectwo 1939–1946”

FOT. JACEK CHROMY/FUNDACJA PROMOCJI SZTUK

Zostaliśmy sierotami – mówił prof. Kulon. – Potem śmierć zabrała moich młodszych braci: trzyletniego Miecia i siedmioletniego Kazika. Ja już wtedy byłem w domu dziecka, a obaj bracia zostali zabrani gdzie indziej: jeden do przedszkola, a drugi do szpitala. O śmierci braci dowiedziałem się zupełnym przypadkiem. Taki to był sowiecki system, dla którego ludzkie życie nic nie znaczyło. Szczególnie zaś życie „wroga ludu”, czyli Polaka.

Profesor Kulon mawiał, że Związek Sowiecki to „nieludzcy ludzie”, a nie „nieludzka ziemia”. Sama ziemia nie była przecież niczemu winna.

– To był kraj pełen ludzi zniszczonych przez nieludzki system. Widać było tę różnicę w wieku: ci, którzy wyrośli w carskiej Rosji, byli częściej przyzwoici niż ci, którzy nie pamiętali świata przed rewolucją – mówił rzeźbiarz. – Nigdy bym się nie wydostał z diet-domu na Uralu, gdyby nie moja nauczycielka, Rosjanka z Leningradu. Miała ok. 70 lat. To właśnie ona powiedziała mi o umowie Sikorski-Majski. Namawiała mnie, żebym wykorzystał okazję i uciekał z rodzeństwem z Uralu, do domów dziecka w zachodniej części ZSRS, gdzie – jak to ujęła – „będzie bliżej Polszy”. I tak właśnie zrobiliśmy.

Podobnie patrzył na to inny mój rozmówca, mały zesłaniec – Wiesław Adamczyk, który został wyrwany z domu na Kresach trzy miesiące po Stanisławie Kulonie. Adamczyk miał wówczas siedem lat. Również on widział różnicę w zachowaniu starszych i młodszych Rosjan.

Po południu psy zawsze czekały przy stołówce, gdzie kucharki wyrzucały pozostałości po obiedzie. My też tam czekaliśmy. Biliśmy się potem z psami o jedzenie

– W Semioziersku zamieszkaliśmy w domu należącym do starego rosyjskiego małżeństwa, państwa Pietrowiczów. Pan Iwan był bardzo dobrym człowiekiem. Szczerze nienawidził komunistów, ale jednocześnie bardzo się ich bał. Dzięki niemu mieliśmy ryby – łowiliśmy z nim karpie w leżącym koło naszej chałupy stawie – opowiadał w rozmowie ze mną Wiesław Adamczyk. – Pani Pietrowicz wyglądała na osobę, która straciła zmysły – miała nieobecny wzrok. Jak wyjaśnił nam jej mąż, wszystko przez to, że komuniści wymordowali jej całą rodzinę. Pan Pietrowicz nie wspominał dobrze czasów caratu, ale mówił, że żyło się im wtedy lepiej niż za bolszewików. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliśmy.

Pamiętny but

Zdaniem prof. Kulona największym bestialstwem wykazywali się tzw. dziesiątnicy – strażnicy odpowiedzialni za pilnowanie 10 zesłańców.

– To byli zwyrodnialcy, którym zależało tylko na wyrabianiu normy. Przypominali nam cały czas: „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”. Zostaliśmy zesłani na męczeńską pracę w głodzie i chłodzie, na wyniszczenie, a oni byli naszymi katami. Przed śmiercią państwo sowieckie chciało nas wykorzystać do końca – mówił prof. Kulon. – Nigdy nie zapomnę, jak mama źle się czuła po śmierci braciszka, ale i tak musiała piłować drzewo na paliwo dla aut. Mało kto dziś pamięta,

eprasa.pl bf9306b6ba



że wielkie sowieckie ciężarówki jeździły na gazie drzewnym. Za produkcję tego paliwa odpowiadały kobiety i dzieci. Mama już ledwo żyła i poprosiła mnie do pomocy. Miałem 11 lat, ale mama mi dopisała rok, żebym mógł zgodnie z sowieckim „prawem" pracować. Któregoś razu mama już ostatkiem sił piłowała drzewo. Dziesiatnik zobaczył to, doskoczył do mamy i zaczął ją kopać. Skoczyłem na niego w obronie mamy, ale on od razu wyciągnął nagana i krzyknął: „Ubiju kak sobaku". Ten dziesiatnik miał najwyżej 20 lat i mógł ze mną zrobić wszystko. Mama jednak jakoś wybłagała, żeby mnie nie zabijał. To był typowy homo sovieticus, który nie pamiętał czasów carskich.

Pierwszym wspomnieniem mojego rozmówcy z diet-domu był atak ze strony innych dzieci, które rzuciły się na małych Polaków i wyrwały im chleb – ich pierwszy posiłek w nowej placówce.

– Nie byliśmy przyzwyczajeni do takiego zachowania. Potem już wiedzieliśmy, że trzeba mocno trzymać swój kawałek chleba. W diet-domie głód był codziennością. Musiałem się wkradać do kuchni, gdzie wybierałem ze śmietnika największe obierki i opiekałem je w piecu. Uchodziło to za rarytas – mówił prof. Kulon. – Po południu psy zawsze czekały przy stołówce, gdzie kucharki wyrzucały pozostałości po obiedzie. My też tam czekaliśmy. Biliśmy się potem z psami o jedzenie. Mieliśmy jednak przewagę nad nimi, ponieważ mieliśmy patyki. To była cała perfidia sowieckiego systemu. Tłumaczono nam, że jesteśmy wyjątkowymi szczęściarzami, ponieważ żyjemy w Związku Sowieckim pod opieką Stalina. My tymczasem w tym sowieckim „raju" walczyliśmy z psami o jedzenie...

To właśnie wtedy mały Stasio Kulon odkrył w sobie talent rzeźbiarski. Sytuacja ta miała miejsce na przełomie lat 1944 i 1945 w domu dziecka w Rostowie nad Donem.

– Miasto było potwornie zniszczone, my mieliśmy odbudować diet-dom. Tarliśmy bloki kredy na miał do tynkowania. Któregoś dnia z nudów zacząłem rzeźbić z kredy... swój but. Kierownik nakrył mnie na tym. Nakrzyczał na mnie, zarekwirował mój kredowy but i nazwał mnie sabotażystą! Myślałem, że będę miał duże problemy – opowiadał rzeźbiarz. – Po dwóch dniach przyszedł do mnie i... poprosił mnie o zrobienie drugiego buta, bo bardzo się to spodobało jego żonie (śmiech). Tak się zaczęła moja rzeźbiarska pasja.

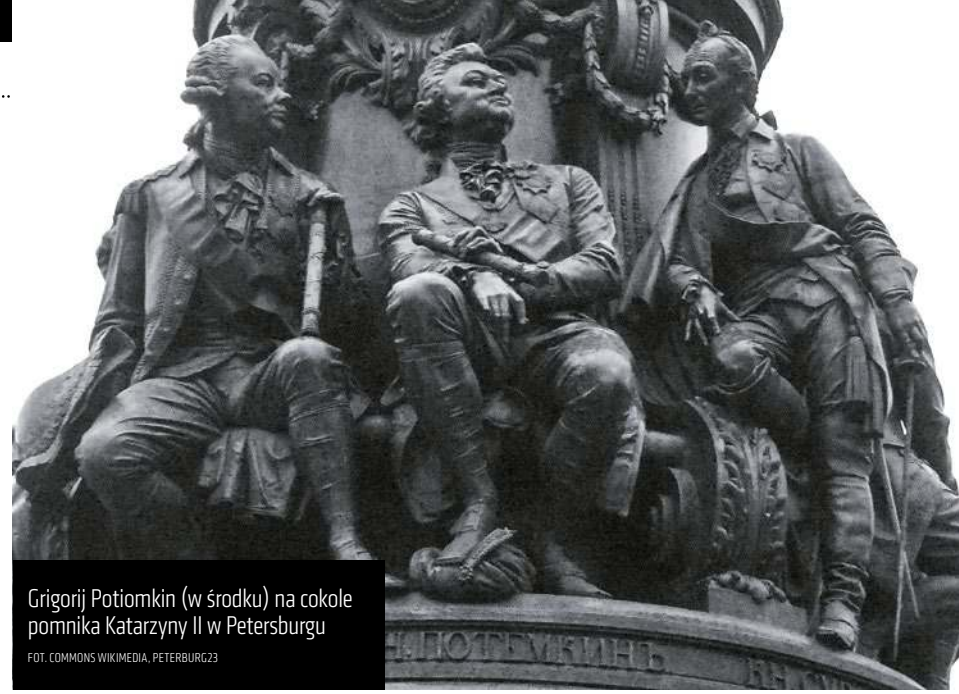
Profesor Stanisław Kulon, strażnik pamięci o dramacie swojej rodziny rzuconej na uralskie bezludzia, zmarł 15 maja 2022 r. w wieku 92 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl bf9306b6ba



Grigorij Potiomkin (w środku) na cokole pomnika Katarzyny II w Petersburgu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PETERBURG23

XVIII w. / Niezwykła kariera kochanka Katarzyny II

Potiomkinowskie wioski i pałace



Mikołaj Iwanow

Grigorij Potiomkin był przez wiele lat drugim najpotężniejszym człowiekiem w Rosji. Caryca do końca była pod wrażeniem jego przedziwnego uroku

Wykorzystując zaskoczenie i swą przytłaczającą przewagę na południowym odcinku frontu, armia rosyjska 3 marca 2022 r. zajęła Chersoń. Było to jedyne miasto obwodowe, które Moskwie udało się opanować w trakcie tej odsłony wojny Rosji przeciwko Ukrainie. Euforia Rosjan z powodu tego sukcesu nie trwała jednak długo. Już w listopadzie 2022 r. Chersoń znów kontrolowali Ukraińcy. Armia agresora wycofywała się w pośpiechu, pozostawiając na prawym brzegu Dniepru mnóstwo sprzętu. Jednak pospiech nie przeszkodził Rosjanom wywieźć z chersońskiego soboru św. Katarzyny rzecz dla nich najważniejszą: szczątków Grigorija Potiomkina, jednego z najsłynniejszych XVIII-wiecznych rosyjskich działaczy politycznych. Dlaczego do dziś Potiomkin ma tak duże znaczenie symboliczne w polityce Putina?

Grigorij Potiomkin symbolizuje rzekomą niepodzielność losów Ukrainy i Rosji. To on był założycielem Floty Czarnomorskiej, jej pierwszym głównodowodzącym, a także generałem feldmarszałkiem, który nadzorował aneksję Krymu i początek integrowania półwyspu z Imperium Rosyjskim. Był on założycielem wielu miast na południu dzisiejszej Ukrainy, m.in. Jekaterynosławia (obecnie Dniepr), Chersonia, Sewastopola i Mikołajowa. Posiadał olbrzymie majątki ziemskie na podbitych terenach, był również faktycznym władcą Księstwa Mołdawskiego w latach 1790–1791. Jego działalność ma potwierdzać rzekome prawo Rosji do powrotu na te ziemie.

Buntownik

Grigorij Aleksandrowicz Potiomkin-Tawriczeski urodził się 30 września 1739 r. na ziemiach byłej I Rzeczypospolitej – we wsi Czyżów niedaleko Smoleńska. Jego ojciec był zawodowym wojskowym, który nie zrobił jednak wielkiej kariery w armii rosyjskiej; odszedł ze służby w randze majora. Jego jedyny syn Grigorij wyróżniał się niezwykłymi umiejętnościami. Studiował na Uniwersytecie Moskiewskim, jednocześnie robiąc karierę w wojsku w pułku Gwardii Konnej. W lipcu 1757 r. znalazł się w gronie 12 najlepszych studentów wysłanych do Petersburga i przedstawionych cesarzowej Elżbiecie, córce Piotra I.

Udział Potiomkina w przewrocie pałacowym w 1762 r., który wprowadził na tron Katarzynę II, przyciągnął uwagę carycy, jednak początek osobistych relacji Potiomkina z władczynią to dopiero 1773 r. Ten bohater wojny z Turcją, świeżo upieczony generał, otrzymał wówczas list od cesarzowej, w którym ta prosiła

eprasa.pl bf9306b6ba

go, aby „nie narażał się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo w wojnie". Po zawarciu pokoju z Turcją Potiomkin otrzymał tytuł hrabiego imperium rosyjskiego i zbliżył się do cesarzowej. Zostali kochankami, gdy Grigorij miał 34 lata, a Katarzyna była od niego o 10 lat starsza. Ku zaskoczeniu wszystkich stali się nierozłączni.

Zachowały się listy Katarzyny do Potiomkina. „Griszenko, witaj – pisała. – Cokolwiek powiesz, bardzo cię kocham". Caryca używała wobec niego różnych słów: „Milusieńki", „Griszeńka", „Griszonoczek". Ale były też o wiele ciekawsze przydomki: „Złoty Bażant" czy „Indyk Kogut". Z kolei Potiomkin nazywał ją niekiedy… „Matką".

Maniery Potiomkina zawstydzały cały dwór – paradował w szlafroku lub futrze nałożonym na gołe ciało, a także potrafił chodzić boso, i to niezależnie od pogody. Często przegryzał jabłka, rzepę, rzodkiewki albo czosnek, rzucając ogryzki na podłogę. Publicznie dłubał w zębach i obgryzał paznokcie. Uchodziło mu to na sucho; Katarzyna uwielbiała nawet jego niedoskonałości.

Najprawdopodobniej 8 czerwca 1774 r. Katarzyna i Grigorij potajemnie pobrali się w cerkwi św. Samsona w Petersburgu. Niektóre źródła podają z kolei, że miało to miejsce w 1775 r. w Moskwie. Nie ma jednak na to żadnych dowodów poza listami, w których ona czasami podpisywała się jako żona, a on jako mąż. W co najmniej 28 listach Katarzyna zwraca się do Potiomkina jako „mąż", a siebie czterokrotnie nazywa „żoną". Czasami pisała te słowa w całości, a czasami używała inicjałów. Niekiedy dostawiała do nich przymiotniki: „drogi mąż", „słodki mąż", „czuły mąż", „bezcenny mąż" czy „mój własny mąż". „Griszeńku, bezcenny, niezrównany i najsłodszy na świecie, kocham Cię niezmiernie i bez pamięci, mój drogi przyjacielu, całuję Cię i ściskam całą duszą i ciałem, mój drogi mężu" – pisała caryca w jednym z listów.

W tym samym okresie Katarzyna napisała specjalnie dla Potiomkina „Szczerą spowiedź", w której opowiedziała o swoich dawnych romansach i oświadczyła, że jest przeznaczona do opieki nad rodzinnym ogniskiem. Oprócz silnych uczuć, jakie para żywiła do siebie, pewną rolę w kwestii zawarcia małżeństwa odgrywał prawdopodobnie fakt, że Katarzyna zaszła z Potiomkinem w ciążę. Po urodzeniu Elżbiety Potiomkin przekazał córkę swojej siostrze.



Rysunek medalu upamiętniającego zajęcie Krymu i Kubania przez Potiomkina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CALATOG.SHM.RU



Sojusz miłosny

Potiomkin nie był pierwszym kochankiem Katarzyny. Zastąpił w alkowie władczyni Aleksandra Wasilczikowa, stając się trzecim oficjalnym faworytem carycy (po Griguriju Orłowie).

Idylla we wzajemnych stosunkach małżonków nie trwała długo. Zima 1776 r. była najbardziej intensywnym okresem ich związku. Kochali się, uważali się za męża i żonę, ale czuli, że oddalają się od siebie, i starali się znaleźć sposób, by pozostać razem na zawsze. Jednak już w końcu lipca 1776 r. nastąpił pierwszy poważny kryzys. Jego powodem był charakter Potiomkina i fakt, że caryca wciągnęła ukochanego w wielką politykę; Katarzyna pomogła mu stać się mężem stanu, rozwijając jego potencjał. Oboje mieli silne osobowości, co sprawiało, że coraz trudniej było im wytrzymać



Grigorij Potiomkin i Szachin Girej, ostatni władca Chanatu Krymskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DLIB.RSL.RU

eprasa.pl bf9306b6ba

ze sobą. Katarzyna zdawała sobie z tego sprawę. „Kłócimy się o władzę, nie o miłość" – napisała w swym dzienniku i zaczęła się oddalać od niego jako kobieta, utrzymując jednocześnie polityczne powiązania. Potiomkin był zazdrosny, zmuszał ją do znoszenia upokorzeń w obecności obcych i był niezwykle przytłoczony potrzebą podporządkowania się cesarzowej.

Ich romans trwał do listopada 1776 r., kiedy to Katarzyna, podczas jego „wizyty gospodarskiej" w guberni nowogrodzkiej, zwróciła uwagę na mężczyznę „cichszego i łagodniejszego" – Piotra Zawadowskiego. Jednak już w następnym roku Zawadowski, który dołączył do stronnictwa Orłowa i zaczął występować przeciwko Potiomkinowi, stracił względy u carycy.

Pomimo rozłamu w życiu osobistym Potiomkin, dzięki swoim zdolnościom, zachował przyjaźń i szacunek Katarzyny i aż do swojej śmierci pozostał drugim najpotężniejszym człowiekiem w państwie. Pod tym względem stanowi on wyjątek wśród wszystkich dwudziestu kilku kochanków cesarzowej: nikomu, nawet ostatniemu z faworytów, młodemu Platonowi Zubowowi, caryca nie oddała tak wiele ze swojej władzy jak Potiomkinowi.

Książę nie szczędził wysiłków w celu zagospodarowania rozległych, nowo zdobytych terytoriów na południu kraju. Zakładał nowe miasta i wsie

Romans Potiomkina i Katarzyny przerodził się z czasem w trwały sojusz. On i ona potrzebowali siebie nawzajem. Cesarzowa najprawdopodobniej nigdy nie wyrzekła się całkowicie intymności z mężczyzną, którego nazywała mężem. Pokoje Potiomkina w pałacu carskim były nadal połączone z apartamentami władczyni; miał on prawo wejść bez zapowiedzi, a aktualny faworyt mógł w każdej chwili zostać wyproszony.



Portret Grigorija Potiomkina namalowany przez Jana Chrzciciela Lampiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ERMITAŻ

Katarzyna i Potiomkin zawarli niewypowiedziane porozumienie: każdy kolejny faworyt musiał tolerować księcia. Caryca wymagała od swoich kochanków bezwzględnego posłuszeństwa Potiomkinowi, a każde naruszenie tej zasady skutkowało ich usunięciem. Ulubieńcami carycy byli przeważnie młodzi mężczyźni bez majątku i wpływowych krewnych, którzy zawdzięczali swój awans wyłącznie Potiomkinowi i Katarzynie. Mimo problemów starzy kochankowie dobrze się uzupełniali: książę marzyciel potrafił popaść w rozpacz i melancholię, podczas gdy twardo stąpająca po ziemi Katarzyna zachowywała spokój w każdej sytuacji.

Flota księcia

Po ochłodzeniu wzajemnych uczuć Potiomkin ułożył swoje życie osobiste w sposób dość oryginalny – otoczył się córkami swej siostry Jeleny Engelhardt. Tworzyły one, jak zauważyli zszokowani zagraniczni dyplomaci, swoisty „harem" księcia. „Sposób, w jaki książę Potiomkin patronuje swoim siostrzenicom – pisał francuski poseł – daje nam wyobrażenie o stanie moralności w Rosji".

Miejsce Potiomkina w XVIII-wiecznym imperium rosyjskim można porównać z rolą premiera w systemie, gdzie prezydent skupia w swoich rękach władzę (np. w dzisiejszej Francji). Potiomkin utrzymywał ciągły kontakt z cesarzową, przez jego ręce przechodziły najważniejsze dokumenty państwowe, jego podróże były uświetnione wielkimi honorami – wszyscy wiedzieli, że ten człowiek jest prawą ręką carycy. Czasami nazywano go nawet „współwładcą".

Jego plany podbojów były niezwykle ambitne. To Potiomkin opracował tzw. grecki projekt, który zakładał zniszczenie Turcji i stworzenie nowego Cesarstwa Bizantyjskiego. Był on również jednym z architektów rozbiorów Polski.

W sprawach wojskowych Potiomkin wprowadził kilka ważnych reform, zwłaszcza po otrzymaniu tytułu feldmarszałka (w 1784 r.). Najważniejszym przedsięwzięciem Potiomkina było utworzenie floty na Morzu Czarnym.

Książę nie szczędził wysiłków w celu zagospodarowania rozległych, nowo zdobytych terytoriów na południu kraju. Zakładał nowe miasta i wsie. Potiomkin planował otwarcie w Jekaterynosławiu uniwersytetu, konserwatorium muzycznego i dziesiątek fabryk. Bardzo wiele oficjalnych dokumentów i listów z kancelarii Potiomkina ujawnia wielowymiarowy zakres jego działań w rządzeniu południową Rosją. Jednocześnie widać, jak bardzo był niecierpliwy, a przy tym zbyt pewny siebie i nie zawsze patrzył na rzeczywistość w realistyczny sposób. Zapraszanie kolonistów, zakładanie miast, sadzenie lasów i winnic, budowanie szkół, fabryk, drukarni i stoczni – wszystko to robił na niezwykle ambitną



Popiersie Katarzyny II wykonane przez Marie-Anne Collot

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ERMITAŻ

eprasa.pl bf9306b6ba

skalę, nie szczędząc przy tym pieniędzy. Wiele projektów porzucił jednak na wczesnym etapie realizacji, a część z nich nigdy nie wyszła poza stadium koncepcji. Tylko niewielki procent jego śmiałych projektów został zrealizowany.

W 1787 r. Katarzyna odbyła podróż na Krym, co Potiomkin postanowił wykorzystać, by zaprezentować się w jak najlepszym świetle. Wzdłuż trasy przejazdu carycy powstawały tzw. wioski potiomkinowskie, mające świadczyć o zasobności tych ziem. Dekoracje wyglądały jednak tak dobrze, że siłą rzeczy musiały wzbudzać podejrzenia. Być może jednak makiety wiosek nie były pomysłem samego Potiomkina – w końcu Katarzynie towarzyszył cesarz austriacki Józef II i carycy siłą rzeczy zależało, by jak najlepiej zaprezentować swój kraj...



Sobór św. Katarzyny w Chersoniu, gdzie do 2022 r. znajdował się grób Potiomkina

FOT. COMMONS WIKIEMDIA, NATALIA SZESTAKOWA

W objęciach siostrzenicy

Pod koniec lat 80. XVIII w. 50-letni Potiomkin był u szczytu swej potęgi i sławy. Po kilku błyskotliwych zwycięstwach w wojnie z Turcją książę w grudniu 1788 r. powraca do Petersburga, gdzie odbiera liczne odznaczenia. Katarzyna w swych notatkach zapisała: „Sądząc po wyglądzie feldmarszałka, można by pomyśleć, że zdobią go zwycięstwa i sukcesy. Wrócił z wojska piękny jak dzień, wesoły jak ptak, promienny jak słońce, dowcipniejszy niż kiedykolwiek".

Potiomkin prowadzi rozmowy z cesarzową na temat spraw zagranicznych. Proponuje prowadzenie przyjaznej polityki wobec Szwecji i Prus. W 1790 r. Potiomkin otrzymał tytuł wielkiego hetmana wojsk kozackich jekaterynosławskich i czarnomorskich. Swą siedzibę na południu zbudował w Jassach (w Mołdawii). Mieszkał otoczony azjatyckim luksusem, stale korespondował z Petersburgiem i ze swoimi licznymi agentami w Rosji i za granicą. Śmiało możemy założyć, że o żadnej istotnej sprawie dotyczącej imperium rosyjskiego nie decydowano bez jego udziału. Nic nie zapowiadało tragicznego zakończenia jego błyskotliwej kariery.

Jesienią 1791 r. Potiomkin prowadził rozmowy pokojowe z Turcją. Niespodziewanie poczuł się źle i musiał przerwać negocjacje. Był pewien, że wkrótce wyzdrowieje i wróci do rozmów z Turkami. W Jassach jego styl życia nie uległ zmianie: korzystał z wszelkich uciech w rytm wesołej muzyki. Wierząc w szybkie ozdrowienie, postanowił wyruszyć w podróż z Jassów do Mikołajowa. Po drodze książę zaniemógł i jego świta zawróciła do Jassów. Na ratunek było już jednak za późno. Książę zmarł 5 października 1791 r. na mołdawskiej prowincji.

I tu pojawia się bardzo ciekawy aspekt jego życia. Potiomkin zmarł w ramionach hrabiny Aleksandry Branickiej, żony hetmana wielkiego koronnego Franciszka Ksawerego Branickiego, przeciwnika reform Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 maja. W czasie insurekcji kościuszkowskiej uważany był on za wielkiego zdrajcę i skazany „in effigie" na karę śmierci.

Aleksandra Branicka (z domu Engelhardt) była ulubioną siostrzenicą feldmarszałka, córką jego ukochanej siostry Jeleny. Z Aleksandrą wiązały go prawdopodobnie nieco bardziej osobiste stosunki niż tylko rodzinne. Kiedy zachorował, wezwał ją do Jassów, gdzie stale czuwała przy jego łóżku. Po jego śmierci to ona zamknęła mu oczy. Sekretarz Potiomkina opisał scenę, która rozegrała w jego obecności po śmierci księcia: „Hrabina Branicka, rzucając się na niego, próbowała zapewnić siebie i wszystkich, że żyje, próbując ogrzać jego zimne usta swoim oddechem...".

Hrabina, przy wsparciu Katarzyny II, otrzymała większość spadku po księciu. W związku z rolą, którą Potiomkin odegrał w jej życiu, Branicka postanowiła stworzyć w swej posiadłości w Białej Cerkwi (na terenie dzisiejszej Ukrainy) park poświęcony jego pamięci, a także wybudować na tym terenie mauzoleum Potiomkina. Park istnieje do dziś i nazywa się Aleksandria, mauzoleum jednak nigdy nie powstało.

Caryca była głęboko poruszona śmiercią Potiomkina. W swym dzienniku napisała: „Znowu uderzył mnie straszliwy cios, niczym cios w głowę. Mój uczeń, mój przyjaciel, można by rzec, mój idol, książę Potiomkin-Tawriczeski, zmarł w Mołdawii na chorobę, która trwała cały miesiąc. Nie możecie sobie wyobrazić, jak bardzo jestem smutna". Żal Katarzyny był bardzo głęboki. Caryca powtarzała swojemu sekretarzowi: „Któż może zastąpić takiego człowieka? Ja i wszyscy jesteśmy teraz jak ślimaki, które boją się wystawić głowy ze skorupy".

Potiomkin był jednym najwybitniejszych polityków epoki Katarzyny Wielkiej, zdolnym administratorem, człowiekiem aktywnym i energicznym, lecz ewidentnie rozpieszczonym przez carycę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Koronacja Konstantyna VII Porfirogenety

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA NACIONAL DE ESPAÑA, MADRID SKYLITZES



Anna Szczepańska

X w. / Intrygi nad Bosforem

Bizantyńskie gry o porfirową komnatę

Konstantynopolem wstrząsały coraz to nowe spiski, zdrady i zabójstwa na szczytach władzy. Dziesiąte stulecie przeszło tam do historii jako wyjątkowo burzliwy okres

Konstantyn uwielbiał przesiadywać w bibliotece, otoczony starymi księgami i rękopisami. Był tam w swoim żywiole. Zgłębiał dawne pisma, analizował mapy i dopisywał własne rozdziały do historii Bizancjum i świata. Nosił przydomek Porfirogeneta, co znaczy „zrodzony w purpurze", a dokładnie w specjalnej, ozdobionej porfirem komnacie, gdzie przychodziły na świat cesarskie dzieci.

Był jedynym synem cesarza Leona VI zwanego Filozofem (bardzo możliwe, że zamiłowanie do ksiąg Konstantyn odziedziczył właśnie po nim), ale pochodził z nieprawego łoża. Po śmierci ojca sześcioletni Konstantyn został zepchnięty na dalszy plan przez stryja, który przejął rządy w Konstantynopolu. Gdyby nowy władca po cichu pozbawił życia małoletniego bratanka, oburzenie pewnie nie trwałoby zbyt długo. Ale jednak nie zrobił tego, nie widząc w dziecku zagrożenia. A Konstantyn, mimo upływu lat, rzeczywiście nie pchał się do pierwszego szeregu. W tamtym czasie jego przydomek – Zrodzony w Purpurze – podkreślający prawo do tronu, zdawał się groteskowy. Ale taki stan rzeczy mu nie przeszkadzał. Chłonął wiedzę, spędzał czas z książkami, pisał. Cieszył się świętym spokojem. Za drzwiami biblioteki świat był dużo bardziej skomplikowany i brutalny.

Nietypowe losy Konstantyna VII sprawiły, że został on jednym z najbardziej znanych cesarzy bizantyńskich. Choć nie miał wielkich zdolności politycznych ani militarnych, to można go uznać za postać nietuzinkową. Historiografia przestała być dzięki niemu domeną Kościoła – to właśnie jemu przypisuje się stworzenie nowoczesnego, zawodowego pisarstwa. Z inspiracji Konstantyna zajmowali się

eprasa.pl bf9306b6ba



Zdobycie Adrianopola przez Bułgarów w 914 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA NACIONAL DE ESPAÑA, MADRID SKYLITZES

nim świeccy uczeni i urzędnicy. Konstantyn przez większość swego życia, zwłaszcza kiedy w końcu zaczął rządzić, inicjował wielkie projekty naukowe. Chciał, aby polityka bizantyńska zyskała ramy intelektualne. W późniejszych latach napisał dzieła: „O temach", „O ceremoniach dworu cesarskiego" czy „O zarządzaniu cesarstwem". To ostatnie skierowane było do jego syna, Romana. Konstantyn był także autorem lub współautorem wielu innych prac oraz listów, lecz większość z nich nie zachowała się do naszych czasów.

Cztery żony i problem

Po śmierci trzeciej żony cesarz Leon VI Filozof, syn Bazylego I Macedończyka, stanął przed poważnym problem związanym z sukcesją. Patriarchat nie zezwalał na czwarte małżeństwo, a tymczasem Leon nie miał syna, który mógłby objąć po nim władzę. Jego konkubiną została Zoe Karbonopsina, o czarnych niczym węgiel oczach, które – jak mówiono – „płonęły jak żar". Zoe urodziła troje dzieci: dwie córki i syna. Aby ich cesarskie pochodzenie zostało zalegitymizowane, przyszły one na świat w purpurowej komnacie zarezerwowanej tylko dla władców.

Rok po urodzeniu syna, Konstantyna Porfirogenety, Zoe została wyniesiona do najwyższej godności zarezerwowanej w Bizancjum dla kobiet, otrzymując tytuł augusty. Leon postanowił w końcu wziąć z nią ślub. To jednak doprowadziło do gwałtownego sprzeciwu patriarchy Mikołaja Mistyka. Leon zwrócił się wtedy o poparcie do papieża, który uznał jego czwarty związek małżeński za legalny. Dostojnicy kościelni w Bizancjum podzielili się na dwie frakcje. Doszło do schizmy zwanej „schizmą czterech wesel". Konflikt nie trwał jednak długo, gdyż w 912 r. Leon zmarł. Po jego śmierci władzę objął jego brat Aleksander, który od razu zesłał Zoe do klasztoru, nie chcąc, by rościła sobie prawo do regencji w czasie małoletności Konstantyna, którego Leon VI zdążył jeszcze przed śmiercią ogłosić swym następcą i doprowadzić do jego koronacji cesarskiej.

Aleksander miał jeszcze mniejsze predyspozycje do rządzenia państwem niż jego starszy brat. Za jego krótkiego, trwającego zaledwie rok panowania dochodziło do coraz częstszych ataków Arabów oraz Bułgarów na ziemie bizantyńskie.

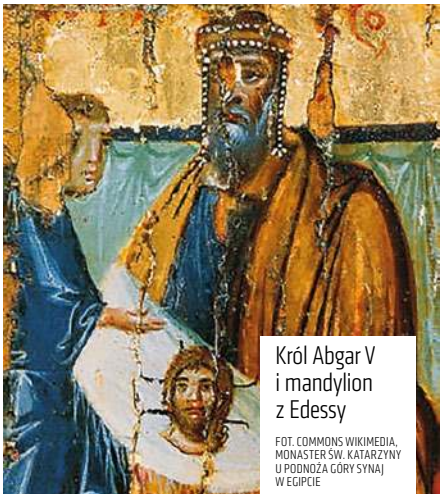
Aleksander zmarł w 913 r. Siedmioletni Konstantyn po raz kolejny został wyznaczony na następcę tronu, tym razem przez stryja. Do Konstantynopola wróciła jego matka, która objęła w jego imieniu władzę. Choć sprawowanie regencji przez kobiety nie było w Cesarstwie Bizantyńskim niczym nadzwyczajnym, to jednak regentki rządziły najczęściej w towarzystwie mężczyzn, głównie za względu na to, że władca był zarazem wodzem wojskowym. Nie inaczej było i tym razem. Nieformalnym współwładcą u boku Zoe został dowódca Leon Fokas. Nie był to jednak szczęśliwy wybór. Wkrótce Leon poniósł wiele klęsk w walkach z Bułgarami, na których czele stał Symeon I, pierwszy car Bułgarii, wywodzący się z rodu chana Kruma.

Symeon poważnie dał się we znaki Bizantyńczykom w kolejnych latach. Był wielkim wodzem, człowiekiem wszechstronnie wykształconym i miłośnikiem sztuki. Za jego panowania Bułgaria stała się potęgą i bez kompleksów konkurowała ze wszystkimi sąsiadami, w tym z Bizancjum. Presław, stolica carstwa, olśniewała wszystkich gości bogactwem.

Symeon kilka razy stawał z wojskami pod Murami Teodozjusza, chcąc triumfalnie wkroczyć do Konstantynopola. Wychowany i wykształcony w stolicy Bizancjum (był nawet nazywany pół-Grekiem) bułgarski car marzył o pokonaniu władców bizantyńskich i własnej koronacji cesarskiej, licząc na zjednoczenie pod swoim berłem Greków i Słowian. Jego plan był prosty: zamierzał wydać swą córkę za Konstantyna Porfirogenetę, a potem przejąć władzę w imieniu młodego zięcia.

W 913 r., gdy Bułgarzy oblegali Konstantynopol, cesarski współregent, patriarcha Mikołaj Mistyk, skłonił Symeona, aby odstąpił od dalszego prowadzenia wojny (inna rzecz, że miasto było dobrze przygotowane do obrony). Aby udobruchać Symeona, zaprosił go na ucztę, w trakcie której nałożył na niego własny omoforion (szatę liturgiczną), nazywając cara „basileusem". Obiecał mu też, że mężem jego córki zostanie młody Konstantyn. Car czuł, że jest blisko upragnionego celu, i wycofał swoje wojska.

Bizantyńczyków nie interesowało jednak, jak wspaniałym władcą mógłby być Symeon. Klęski w starciach z Bułgarami nie stawały się przez to mniej gorzkie. Czarę goryczy przelały gesty Mikołaja Mistyka względem Symeona. Za winnego porażek uznano Leona Fokasa i wreszcie wśród wojskowych doszło do buntu. Na jego czele stanął Roman Lekapen, zdolny dowódca cesarskiej floty. Leon został schwytany i oślepiony, a przed nieznanym szerzej Romanem otworem stanęła droga do bizantyńskiego tronu.



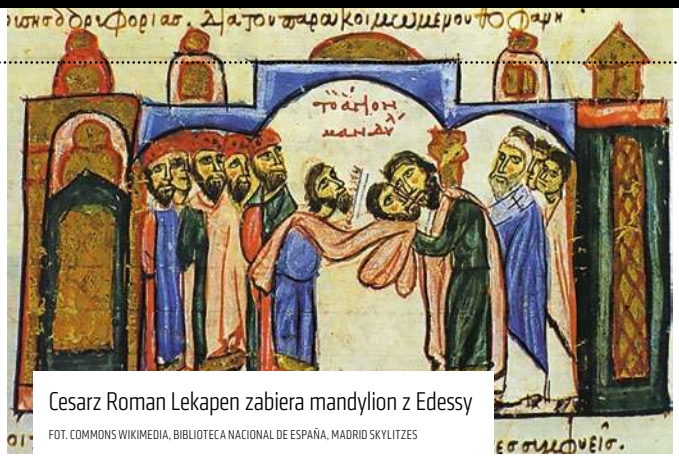
Król Abgar V i mandylion z Edessy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MONASTER ŚW. KATARZYNY U PODNÓŻA GÓRY SYNAJ W EGIPCIE

Samokreacja Romana

Był rok 919. Regenci Konstantyna Porfirogenety stali pod ścianą: Zoe nie miała już nic do powiedzenia, a Leon został okaleczony, co eliminowało go jako osobę, która może sprawować władzę (zgodnie z bizantyńskim zwyczajem

eprasa.pl bf9306b6ba



Cesarz Roman Lekapen zabiera mandylion z Edessy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA NACIONAL DE ESPAÑA, MADRID SKYLITZES

władca miał być przecież nieskazitelny, również jeżeli chodzi o ciało).

Na scenie dziejów pojawił się wtedy wspomniany Roman Lekapen, błyskotliwy żołnierz pochodzący z chłopskiej rodziny z Armenii, który przeszedł wszystkie szczeble wojskowej kariery. Roman, jak się wkrótce okazało, był także przebiegłym politykiem i zdolnym dyplomatą.

Po przybyciu do stolicy cesarstwa Roman został ogłoszony regentem. Od razu przystąpił do układania swego otoczenia: Zoe Karbonopsinę odesłał do klasztoru, gdzie wkrótce zmarła, Konstantyna Porfirogenetę ożenił ze swoją córką Heleną i skłonił go, aby ogłosił go współcesarzem. W niedługim czasie, wykorzystując małoletność Porfirogenety oraz własną silną pozycję, sam siebie ogłosił cesarzem, a swoich synów – Krzysztofa, Konstantyna i Stefana – współcesarzami. Samego Konstantyna, prawowitego władcę, zdegradował natomiast do roli współcesarza, który jednak z roku na rok tracił znaczenie.

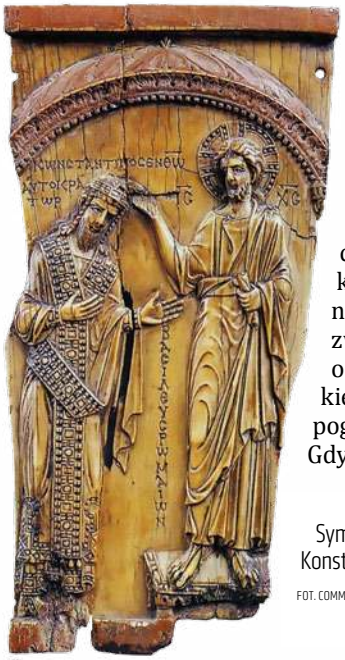
Kiedy informacja o ślubie Porfirogenety z córką Romana Lekapena dotarła do Presławia, Symeon wpadł w furię. Obiecywano mu przecież, że bizantyński władca weźmie za żonę jego córkę. Kolejna wyprawa wojenna przeciwko Bizancjum była zatem tylko kwestią czasu. Bułgarzy porozumieli się z Arabami i zaczęli podburzać przeciwko Bizantyńczykom plemiona słowiańskie. Cesarstwo miało być osaczone z kilku stron, ale Symeonowi także tym razem nie udało się zająć murów Konstantynopola.

Roman Lekapen zdawał sobie jednak sprawę z tego, że Symeon się nie podda. W 924 r. osobiście spotkał się z bułgarskim carem i uznał jego tytuł, choć odmówił jakichkolwiek cesji terytorialnych. Symeon nie atakował już stolicy, ale rywalizacja z Bizancjum nie ustała. Obydwa państwa walczyły o wpływy w Serbii i w Chorwacji. Ostatecznie Symeon zdołał włączyć Serbię w granice Bułgarii, a Bizantyńczycy umieścili swojego człowieka na chorwackim tronie. Roman Lekapen, a wraz z nim całe Bizancjum, musiał pogodzić się z faktem, że tuż obok istnieje potężne carstwo bułgarskie.

Symeon do końca życia używał tytułu cesarza Bułgarów i Romajów, co mierziło Bizantyńczyków. Kiedy w 927 r. nad Konstantynopolem zawisło widmo kolejnej wojny z Symeonem, do stolicy dotarła wieść, że bułgarski car nie żyje. Wielu w Bizancjum odetchnęło wtedy z ulgą.

Odwrócenie ról

Chociaż Symeon nie żył, to Bizancjum nie zaznało spokoju. Roman Lekapen prowadził kolejne wyprawy wojenne, m.in. przeciwko Arabom i Rusinom. Do najsłynniejszych wydarzeń doszło pod Edessą, kiedy Roman, w zamian za odstąpienie od oblężenia, zażądał oddania mandylionu, cudownego wizerunku Jezusa odbitego na chuście. Mandylion związany był z Edessą od początku I w. n.e., kiedy miastem władał pogański król Abgar V. Gdy zachorował, miał doznać uleczenia, wpatrując się w materiał, na którym sam Jezus odcisnął wizerunek swej twarzy. Od tamtej pory relikwia przechowywana była w mieście. W 944 r. Roman Lekapen w uroczystej procesji wprowadził mandylion do Konstantynopola. Opisał to (choć jego autorstwo bywa kwestionowane) Konstantyn Porfirogeneta w dziele „Opowieść o wizerunku z Edessy".



Symboliczna scena koronacji Konstantyna VII przez Chrystusa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM PUSZKINA W MOSKWIE, GHIRLANDAJO

W 931 r. zmarł Krzysztof, najstarszy syn Romana Lekapena, który miał zostać następcą tronu. Mijały lata, a cesarz nie kwapił się do wyznaczenia kogoś na jego miejsce. Zniecierpliwieni młodsi synowie w grudniu 944 r. uknuli spisek i kazali aresztować ojca, po czym zesłali go na Wyspy Książęce na Morzu Marmara, gdzie jeszcze przez kilka lat żył on jako mnich. Konstantyn i Krzysztof przeszacowali jednak swoje siły. Po zesłaniu Romana na pierwszy plan wysunął się nagle Konstantyn Porfirogeneta, który przez dwie i pół dekady pozostawał w cieniu. Niemal zapomniany władca, którzy przeżył już kilku regentów, wiele knowań i wojen, poczuł, że w końcu nadszedł jego czas.

Do władzy popchnęli Konstantyna VII ci, którzy sami mieli dość wszechwładzy Lekapenów. Nie ulega wątpliwości, że na cesarskim dworze wiele osób czekało na odejście Romana. Gdy tylko zyskali sposobność, stanęli murem za Konstantynem VII Porfirogenetą, broniąc jego przyrodzonego prawa do tronu (przy okazji mając oczywiście nadzieję, że zyskają na zmianie układu sił).

Konstantyn VII kazał pojmać swych spiskujących szwagrów i wygnał ich z miasta. Niedługo później obaj zginęli, być może z rozkazu cesarza. Pierwsze skrzypce na cesarskim dworze zaczęła grać rodzina Fokasów, na czele z Bardasem Fokasem, który został głównodowodzącym armią. W późniejszym okresie spore sukcesy na polach bitew w walkach z (głównie) Arabami odnosili Nicefor Fokas i Jan Tzimiskes. Konstantyn VII, bardziej historyk niż polityk, sprawdzał się jako dyplomata. Za jego panowania Cesarstwo Bizantyńskie prowadziło ożywione kontakty dyplomatyczne z kalifatem Kordoby i królestwem Niemiec.

eprasa.pl bf9306b6ba



Konstantyn VII Porfirogeneta z matką uwolnioną z wygnania

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA NACIONAL DE ESPAÑA, MADRID SKYLITZES

Próbowano też chrystianizować Madziarów (Węgrów) i Rusinów. Najbardziej doniosłe wydarzenie miało miejsce po przybyciu do Konstantynopola księżnej kijowskiej Olgi, która pojawiła się w stolicy Bizancjum jesienią 957 r., gdzie została ochrzczona, przyjmując imię Helena. To, co nie udało się na Nizinie Węgierskiej (Madziarzy weszli w orbitę wpływów papiestwa), powiodło się na Rusi, która od tamtej pory należy do świata chrześcijaństwa wschodniego.

Krwawa cesarzowa

Konstantyn VII Porfirogeneta zmarł w 959 r. Następcą tronu został jego syn, Roman II, koronowany kilka lat wcześniej przez ojca na współcesarza. Młody władca nie cieszył się popularnością na dworze z powodu swej żony. Teofano pochodziła z niskiego stanu (jej ojciec prowadził gospodę), ale była ponoć bardzo piękna i Roman zakochał się w niej bez pamięci. Konstantyn nie był zadowolony z wyboru syna, lecz nie mógł mu odmówić, gdyż wcześniej już przyrzekł mu, że Roman sam wybierze sobie żonę.

Teofano nie była lubiana na dworze, dlatego też trudno z perspektywy czasu ocenić, ile informacji na jej temat, zwłaszcza tych najbardziej krytycznych, jest prawdą, a ile spośród nich to wynik złośliwych plotek. Żonę Romana II oskarżono m.in. o podanie trucizny teściowi, choć nie ma dowodów, aby zmarł w podejrzanych okolicznościach. Teofano miała jednak bezsprzecznie wielki wpływ na męża, który notabene nie był zbyt bystry. Za jej namową Roman usunął z dworu swą matkę i pięć sióstr, a także doradców wiernych jego ojcu. Otoczył się nowymi ludźmi, na szczęście całkiem zdolnymi.

Roman II nie cieszył się długo koroną. Zmarł po czterech latach rządów, w wieku zaledwie 25 lat, co znów rzuciło cień podejrzeń na Teofano. Czy otruła własnego męża, aby rządzić jako regentka w imieniu ich dwóch małoletnich synów? Wielu Bizantyńczyków było przekonanych, że tak właśnie było.

Sama Teofano, która zaledwie dwa dni przed śmiercią Romana urodziła córkę (Anna została później żoną Włodzimierza Wielkiego), nawet jeśli przyłożyła rękę do śmierci męża, musiała sobie zdawać sprawę z tego, że jej pozycja na dworze nie jest wcale pewna. Jej synowie, Bazyli oraz Konstantyn, mieli odpowiednio pięć lat i trzy lata. Do czasu ich pełnoletności regencja Teofano mogła zostać podważona. Pochodzącej z ludu młodej cesarzowej, którą podejrzewano o trucicielstwo, łatwo byłoby się pozbyć z pałacu.

Teofano szybko przystąpiła zatem do działania. Potrzebowała protektora, najlepiej zdolnego wojskowego. Najlepszym kandydatem był w tamtym czasie Nicefor Fokas. Teofano zaproponowała mu ślub oraz tron w zamian za opiekę. Nicefor, który został już ogłoszony cesarzem przez swoje wojsko, ruszył do Konstantynopola, gdzie w sierpniu 963 r. wziął ślub z cesarzową wdową i został koronowany na cesarza. Związek ten wywołał sprzeciw patriarchy Konstantynopola, Polieuktosa, który zarzucił Niceforowi, że wziął za żonę matkę swych chrześniaków. Impas na linii patriarcha – pałac cesarski trwał dłuższy czas – dopóty, dopóki nie ustalono, że Nicefor nie był jednak chrzestnym Bazylego i Konstantyna. Polieuktos pozostał mimo to nieufny, zwłaszcza wobec Teofano.

Przymioty, które sprawiły, że Nicefor był świetnym wodzem, nie okazały się atutem w polityce i dworskich intrygach. Nowy cesarz był coraz mniej popularny. W końcu odwróciła się od niego także Teofano, która zrozumiała zapewne, że trwanie przy słabym władcy nie wyjdzie na dobre ani jej, ani jej dzieciom. Za plecami Nicefora nie tylko romansowała, lecz także „politycznie" porozumiała się z jego siostrzeńcem, innym zdolnym wodzem, Janem Tzimiskesem. W nocy z 10 na 11 grudnia 969 r. Teofano po cichu opuściła cesarską sypialnię, zostawiając otwarte drzwi, po czym pomogła swemu kochankowi dostać się do środka. Jan Tzimiskes obudził śpiącego Nicefora i zadał mu śmiertelny cios. Następnego ranka to on mógł ogłosić się cesarzem Romajów.

Jan Tzimiskes okazał się jednak bardziej przebiegły niż sądziła Teofano. Kiedy zabił Nicefora Fokasa, postanowił pozbyć się skompromitowanej cesarzowej. Zrobił to bez większego żalu, tym bardziej że Polieuktos grzmiał, iż jeśli nie odeśle „krwawej cesarzowej", to nie będzie żadnej cesarskiej koronacji. Teofano została zesłana na Wyspy Książęce, a zabójca Nicefora poślubił córkę Konstantyna Porfirogenety – Teodorę.

Jan Tzimiskes okazał się bardzo sprawnym władcą, pozostając jednocześnie skutecznym wojskowym. Poprowadził wiele kampanii przeciwko Arabom, Rusinom i Bułgarom. Pobił księcia kijowskiego Światosława I, cara Bułgarii Borysa II, zajął sporą część Ziemi Świętej i Mezopotamii. Zmarł nagle w 967 r. Cesarski tron przekazał swemu podopiecznemu, synowi Teofano i Romana II, Bazylemu II, który w kolejnych latach zyskał wiele mówiące miano Bułgarobójcy. Nowy cesarz oceniany jest przez niektórych znawców tematu jako najlepszy władca w dziejach Cesarstwa Bizantyńskiego.



Solid z wizerunkami Konstantyna VII Porfirogenety i jego matki Zoe

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NUMISBIDS/CNG

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Jakub Gierszał jako Karol Grabowski. Kadr z filmu „Pojedynek" Łukasza Palkowskiego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film a rzeczywistość / Rzecz o ludziach uodpornionych na komunizm

Kozielska wojna nerwów



Jakub Ostromęcki

Film „Pojedynek" pokazuje, jak Sowieci starali się pozyskać agenturę wśród polskich jeńców. Zważywszy na skalę podjętych działań, „urobek" enkawudzistów był dosyć mizerny

Zatwardziali i niepoprawni wrogowie władzy sowieckiej". Tak polskich oficerów, funkcjonariuszy i urzędników określił w marcu 1940 r. Ławrientij Beria, wnioskując do sowieckiego politbiura o rozstrzelanie ich. Film „Pojedynek" Łukasza Palkowskiego pokazuje, jak bardzo trafna była diagnoza jenieckich poglądów postawiona przez przebiegłego szefa NKWD.

Pomimo kilku ubarwień film stawia bardzo prawdziwą tezę: w 1940 r. polscy oficerowie, z wyjątkiem garstki, nie dali zrobić z siebie posłusznych wykonawców woli Sowietów, nie zmienili swojego stosunku do bolszewizmu i pozostali wierni państwu, które przysięgali bronić. Nie udało się ich zwerbować jako agentów, czy po prostu urobić propagandowo za pomocą kina i prymitywnych pogadanek. Zapłacili za to najwyższą cenę, do ostatniej chwili nie wiedząc, jaki los zgotowali im Beria i Stalin.

Wbrew promocyjnemu plakatowi „Pojedynek" nie jest filmem batalistycznym. Scenę walki oglądamy tylko na początku i należy ją traktować bardzo metaforycznie, jako skrót wydarzeń poprzedzających uwięzienie, a nie relację z pola bitwy. Polski punkt dowodzenia ostrzeliwany jest nagle przez artylerię (lub jest bombardowany z powietrza) i od razu pojawia się w nim sowiecka tyraliera wspierana przez czołgi. W rzeczywistości zmasakrowany punkt dowodzenia, z reguły znajdujący się przecież w pewnej odległości od frontu, nie zostałby zajęty tak szybko przez wrogie wojska.

Grabowski vel Grzybowski

Nadchodzi jesień 1939 r. Za murami obozu jenieckiego w Kozielsku rozgrywa się między Karolem Grabowskim a Wasilijem Zarubinem pojedynek umysłów i charakterów. Grabowski to z zawodu

eprasa.pl bf9306b6ba



pianista, a z powinności podporucznik rezerwy służący w czasie kampanii wrześniowej na wschodzie Rzeczypospolitej, gdzie został pochwycony przez Sowietów. Zarubin to z kolei wysoki funkcjonariusz NKWD, fachowiec w każdym calu, próbujący zrobić z Grabowskiego wykonawcę sowieckich planów.

Pierwowzorem Grabowskiego był Zbigniew Sylwan Grzybowski. Z pochodzenia Kresowiak, którego przodkowie ucierpieli z rąk Rosjan za udział w powstaniu listopadowym. W 1937 r. był finalistą III edycji Konkursu Chopinowskiego. Wiosną 1939 r., jak wielu innych artystów, wcielono go do szkoły podchorążych. Świeżo upieczony ppor. Grzybowski został przydzielony do wojsk łączności i po agresji sowieckiej dostał się do niewoli w okolicach Włodzimierza Wołyńskiego. Tak trafił do Kozielska przed oblicze Zarubina.

Filmowa kreacja oficera pianisty różni się nieco od pierwowzoru. Polskich bohaterów „Pojedynku" Palkowski przepuścił bowiem przez filtr współczesnej obyczajowości. Grabowski wyszedł z niego jako wyluzowany łobuziak szukający okazji do podrywu nawet za murami sowieckiego obozu. Inne były też losy obu postaci po opuszczeniu Kozielska. W filmie Grabowski zostaje zamordowany w Katyniu wraz z resztą bohaterów, natomiast Grzybowski do piwnic NKWD nigdy nie trafił. Znalazł się w gronie kilkuset Polaków, których Sowieci – posługując się nie do końca jasnymi kryteriami – oszczędzili i wywieźli do obozu w Griazowcu w nadziei na pozyskanie ich w charakterze agentów. Grzybowski nie przeszedł jednak na stronę wroga i unikając więzienia, szczęśliwie doczekał inwazji Niemiec na Sowiety, a następnie powstania armii Andersa. Filmową postać z historycznym Grzybowskim łączy pryncypialny antykomunizm. Żyjący po wojnie na emigracji pianista nie chciał pogodzić się z utratą wschodnich ziem II RP, a na obecność w Radiu Wolna Europa byłych członków PPR i PZPR reagował alergicznie.

Uwspółcześniona jest również Janina Lewandowska, pilot pojmana przez Sowietów na Podolu. Filmowa Lewandowska (grana przez Julię Pietruchę), poirytowana na Grabowskiego za pełne podtekstów zaczepki, rzuca w końcu do niego: „Nie możesz po prostu normalnie pogadać?". Takie rozmowy widzimy dziś na siłowniach, uczelniach, imprezach, ale w tamtej epoce w tak bezpośredni sposób nie rozmawiano.

Uciekający pianista

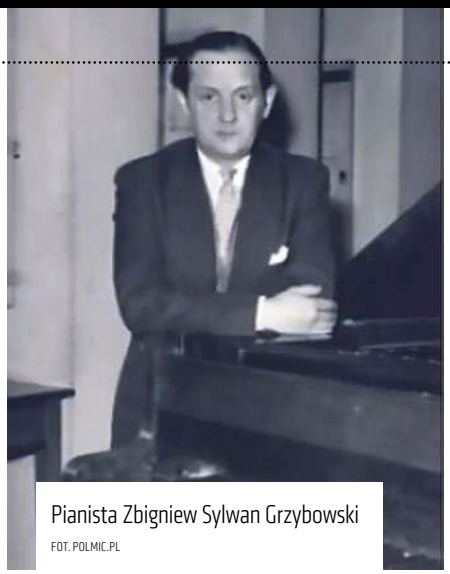
Grabowski próbuje uciec z obozu. W tym celu dogaduje się z pracującym w Kozielsku zaopatrzeniowcem, także represjonowanym kiedyś przez system, i schowany w beczce łajna wyjeżdża na wolność. Gdy próbuje się ukryć w lesie, dostrzega go jadąca na wozie mała dziewczynka. Nie jest to spojrzenie przyjazne... Grabowski zostaje schwytany, pobity przez strażników, ale udaje mu się przeżyć. Jest to daleko posunięta heroizacja jego postaci.

W prawdziwym Kozielsku dochodziło do prób ucieczek, ale nikomu ze śmiałków nie udało się dotrzeć dalej niż do muru obozu. Ucieczka pozornie była łatwa – w pierwszych miesiącach system ochrony obozu był dziurawy, pełen martwych pól. Do środka wchodzili okoliczni wieśniacy, by sprzedawać pokątnie chleb lub machorkę, więc można było od nich kupić cywilne ubranie. Przy bramie strażnicy nie sprawdzali przepustek, a jedynie przyglądali się człowiekowi. Nie było też liczenia jeńców na porannych i wieczornych apelach.

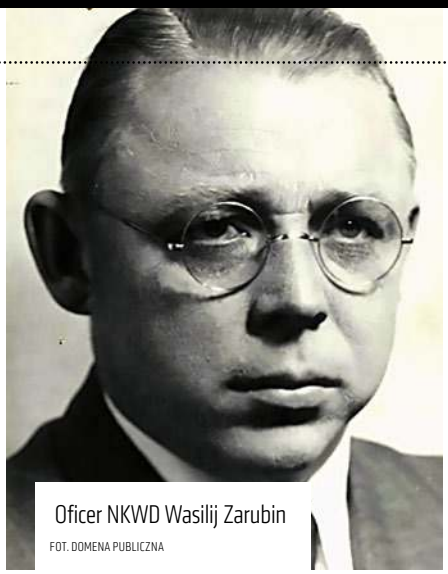
Pierwszymi, którzy spróbowali szczęścia, byli Julian Michniewicz, Zenon Rymaszewski i Antoni Balulis. Zrobili zapas sucharów, cywilnych ubrań oraz rubli i zaplanowali ucieczkę na noc z 7 na 8 grudnia 1939 r. Zgubiła ich jednak niedyskrecja. Balulis opowiedział o ucieczce swojemu koledze, a ten wypaplał wszystko wartownikowi, być może mając nadzieję na lepszy posiłek lub pryczę. Wartownik zaczaił się zatem obok planowanego miejsca ucieczki i pojmał całą trójkę. Co ciekawe, skończyło się jedynie na dyscyplinarce – żołnierze byli wszak jeńcami, nie łagiernikami. Balulis przetrwał Kozielsk. Jako rodowity Wilnianin zadeklarował narodowość litewską, a że wówczas Litwa była jeszcze (przez chwilę) państwem niepodległym, to przeniesiono go do obozu w Juchnowie, gdzie doczekał sformowania armii Andersa. Kilka tygodni później innym zadenuncjowanym uciekinierem okazał się Jan Rodziewicz, u którego znaleziono podejrzanie dużo rubli.

16 marca szczęścia spróbowała kolejna grupka. Pięciu śmiałków wyposażonych w zapas sucharów i białe kombinezony planowało ucieczkę z mniejszej części obozu zwanej Skitem. Chcieli oni wykorzystać nieobecność komendanta i szefa oddziału specjalnego, którzy pojechali do Moskwy. Jeniec Waldemar Hejbert zdobył skądś dwa przewody, za pomocą których zamierzał wywołać zwarcie w sieci elektrycznej i pogrążyć obóz w ciemności. W nocy światło w obozie faktycznie zgasło na pół godziny, ale mógł być to zbieg okoliczności – obozowy elektryk skarżył się potem na kiepskiej jakości paliwo do generatora prądu. Wspomniana piątka wpadła tak, jak poprzednie grupy – ktoś na nich doniósł. W miejscu, gdzie magazyny łączyły się z murem, czekało na nich pięciu funkcjonariuszy. Padła komenda „Stój!", a następnie strzały, które jednak nikomu

eprasa.pl bf9306b6ba



Pianista Zbigniew Sylwan Grzybowski
FOT. POLMIC.PL



Oficer NKWD Wasilij Zarubin
FOT. DOMENA PUBLICZNA

nie zrobiły krzywdy. Jeden z enkawudzistów został nawet powalony przez jeńca, ale ostatecznie wszyscy Polacy skończyli w areszcie.

Ostatni tajemniczy akord ucieczkowej epopei rozegrał się w nocy z 10 na 11 kwietnia 1940 r., gdy ktoś rzucił cegłą w wartownika, trafiając go w twarz. Ranny wystrzelił na alarm, ale sprawcy nie zidentyfikowano. Jak widać, ucieczkę Grabowskiego w filmie ubarwiono bardzo mocno, ale w tym wątku prawdą jest, że jeniec nawet po wydostaniu się z okolic obozu nie mógłby czuć się bezpiecznie w społeczeństwie sowieckim.

Grabowski generalnie przedstawiony jest tu w heroicznych barwach. W kazamatach w Katyniu wyrywa bezpieczniakowi broń i kładzie trupem kilku innych funkcjonariuszy. Wbiegając do sąsiednich pomieszczeń, widzi jeszcze, jak mordują Lewandowską i lekarza, który kilka miesięcy wcześniej go opatrywał. Dopiero wtedy zostaje zabity przez enkawudzistów. Gruba przesada. Żaden z wycieńczonych wielomiesięczną odsiadką jeńców nie byłby zdolny do takiej akcji, tym bardziej zmobilizowany do wojska pianista.

Nielegał meloman

Obsadzenie w roli Zarubina Aidana Gillena było nad wyraz znaczące. Część widzów pamięta go bowiem z roli Littlefingera w serialu „Gra o tron". Przebiegłego, zimnego i chciwego, ale pełnego dobrych manier intryganta. W „Pojedynku" Zarubin zdaje się być kolejnym Littlefingerem. Ku zdziwieniu jeńców enkawudzista nie bije, nie wrzeszczy, nie wyzywa od burżujów i obszarników. Co więcej, za podobne zachowania obsztorcowuje nawet niższych stopniem funkcjonariuszy. Jest wrażliwy na sztukę, oczytany i generalnie opanowany. Docenia przedwojenne występy Grabowskiego, zna się ma twórczości wielkich pianistów. Chcąc wpleść Polaka w sieć sowieckich planów, prosi go, by uczył jego syna gry na fortepianie. Kusi ponadto perspektywą połączenia z rodziną, tras koncertowych po Sowietach, a w przyszłości po krajach koalicji antyhitlerowskiej. Chęć pozyskania jak największej liczby agentów wśród jeńców staje się u niego idée fixe, co zauważa jego przybyły na inspekcję zwierzchnik. Grany przez Tomasza Kota wysoko postawiony bezpieczniak to być może Iwan Pałuchin, zastępca szefa zarządu do spraw jeńców wojennych.

W kreacji Zarubina jest bardzo dużo prawdy. Jak czytamy w monografii Maryli Fałdowskiej poświęconej kozielskiemu obozowi, „[Zarubin] prowadził z jeńcami intelektualne rozmowy na tematy społeczne polityczne, filozoficzne, częstując jeńca – »ofiarę« papierosem, herbatą, a nawet pomarańczami". Był on jedynym enkawudzistą, któremu polscy jeńcy salutowali nieprzymuszeni. Nieraz spełniał ich osobiste prośby. Przykładowo pewnego razu sprawił, że żona jednego z jeńców mogła wyjechać na teren okupacji niemieckiej, a gdy doszło do wywózek do Katynia, czuwał, by do miejsc kaźni nie trafili synowie wywiezionych tam ojców. Nie robił oczywiście tego z dobroci serca. Beria wysłał go przecież do Kozielska w celu werbowania agentów wśród polskich jeńców. Mieli oni być podzieleni na dwie grupy zależnie od swoich predyspozycji, wiedzy, stopnia i znajomości. Pierwsza to ludzie skuszeni obietnicą walki o odrodzenie Polski w mającej niedługo nadejść wojnie z Niemcami. Wobec nich stosowano powszechną wśród służb wywiadowczych taktykę fałszywej flagi. Ludzie w ten sposób zwerbowani mieli opowiedzieć jak najwięcej o taktyce wojsk niemieckich. Druga grupa stanowiła ordynarnych donosicieli – mieli oni wśród swoich współtowarzyszy niedoli nasłuchiwać, kto ma jakie poglądy, kto kogo zna, pod kim służył, jakie w II RP pełnił funkcje. Ludzie ci mieli przenikać do najbardziej antysowiecko nastawionych środowisk, byłych pracowników polskiego wywiadu, kontrwywiadu, więziennictwa lub organizacji antysowieckich i generalnie jeńców o poglądach antykomunistycznych.

O Zarubinach można powiedzieć, że byli rodziną resortową. Żona Wasilija do późnych lat pracowała w szkole NKWD jako wykładowca, a młodziutki syn mieszkał wraz z ojcem w obozie w Kozielsku i tak jak w filmie wygrażał często jeńcom. Wasilij pracował w pionie wywiadu zagranicznego. Miał za sobą pobyt na placówkach w Niemczech i we Francji. Nie wiemy, w jaki sposób przetrwał wielką czystkę, być może za bardzo ceniono jego umiejętności wywiadowcze. Znał Berię, Mierkułowa, kilka razy został przyjęty przez samego Stalina. Czy enkawudzista meloman mógł przed wojną oglądać występy Grzybowskiego? Jako nielegał pracował wtedy we Francji i w Niemczech, więc być może obowiązki rzuciły go na chwilę do Polski.



Pustelnia Optyńska w Kozielsku
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANDREJ WŁADOW

„Urobek" NKWD

Nieczęsto zdarza się, aby do budowania agentury wśród jeńców wojennych delegować doświadczonego oficera wywiadu. Jest to typ resortowej pracy

eprasa.pl bf9306b6ba

wymagający zupełnie innych umiejętności. Za granicą operacje wywiadowcze skrywa gruby woal fałszywych tożsamości, a do wybranych środowisk przenika się niepostrzeżenie. Praca nad urabianiem jeńców przypomina z kolei bardziej działania typowo policyjne. Jeniec wie przecież doskonale, z kim rozmawia. Najprawdopodobniej szefostwo NKWD uznało, że wśród inteligencji polskiej mającej kontakty na Zachodzie będzie można pozyskać wysokiej jakości agenturę wywiadowczą. Co ciekawe, Zarubin nie był specem od spraw polskich – nie znał przecież naszego języka. Jego ówczesna znajomość angielskiego nie była jeszcze aż tak dobra, jak wynikałoby to z filmu, i lepiej czuł się, mówiąc po francusku i niemiecku (w tamtym czasie dla polskiej elity to francuski pełnił rolę „wspólnej mowy").

W Kozielsku jego cichym pomocnikiem był Ukrainiec, płk Piotr Kożuszko, który odpowiadał za utrzymywanie archiwum Zarubina w odpowiednim porządku. Nawiasem mówiąc, później zrobił sporą karierę, bo już po kilku latach został szefem owianego złą sławą Głównego Zarządu Informacji, czyli kontrwywiadu LWP.



Jakub Gierszał w scenie z filmu „Pojedynek"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pozycja Zarubina w obozie kozielskim była szczególna. Jako delegowany „z centrali" nie podlegał komendantowi obozu, ale jednocześnie nie powinien mieszać się do sposobu zarządzania nim. Robił to jednak wielokrotnie, gdy tylko strażnicy lub funkcjonariusze wykazywali się prymitywizmem lub brutalnością.

Szeregowymi i podoficerami zajmowali się etatowi pracownicy NKWD przydzieleni do obozu na stałe, należący do tzw. oddziału specjalnego. Nie były to jednak tuzy wywiadu; często byli to zwykli tępacy. Józef Czapski, malarz i oficer, był przesłuchiwany przez takich pośledniejszych funkcjonariuszy. Nie mogli oni uwierzyć, że jego wyjazdy do Paryża nie musiały wiązać się ze szpiegowaniem, a plan miasta można tam nabyć w każdym kiosku. Innym powodem podejrzeń była bezpartyjność Czapskiego. W przeświadczeniu bezpieczniaków każdy w Polsce należał przecież do jakiejś burżuazyjnej partii.

Przesłuchania prowadzone przez owych funkcjonariuszy w przeciwieństwie do spotkań z Zarubinem nie były miłą pogawędką. Jeńca wyrywano ze snu i po nocy pod bronią prowadzono do budynku otoczonego dodatkowym drutem kolczastym, czyli tzw. urzędu badań. Nieszczęśnik czekał tam w ciemnym przedpokoju 30 minut. Kolejne pół godziny spędzał w oświetlonym pomieszczeniu. Śledczy rutynowo wmawiał przesłuchiwanemu, że jest szpiegiem, burżujem, przestępcą, sprzyja kontrrewolucji. Szantażował rozłąką z rodziną, krzyczał i szydził z wartości, poglądów i całej II RP. Stosował typowe techniki, na czele z udawaną zmianą nastroju. Co istotne jednak – nie bił, co zwykle miało miejsce w więzieniach NKWD, dokąd trafili niektórzy oficerowie. Śledczy wiedzieli dużo o prywatnym życiu oficerów, bo sowiecka agentura działała sprawnie. Jeśli werbunek się nie udał, wówczas jeńca na długo wysyłano do osobnego baraku, aby przebywał z dala od kolegów. Po powrocie do swoich z reguły był małomówny i roztrzęsiony.

Rezultat pracy Zarubina był dość skromny i to fiasko widzimy też w filmie Palkowskiego. W liczącym kilka tysięcy jeńców Kozielsku dysponował on 20 konfidentami, agentami czy po prostu „odwróconymi" – głównie niższymi oficerami rezerwy. Ponadto była to jednak liczba wystarczająca do tego, aby w październiku 1941 r. wyjść ze spotkania ze Stalinem bez „biletu" do łagru.

Misja w USA

Skutki werbunku jednego z agentów widzimy w filmie: jeńcy gremialnie na niego plują. Nie wiadomo, czy w rzeczywistości stosowano akurat taką formę szykan, ale pójście na współpracę było traktowane jako zdrada. Losy oplutego zdrajcy mogły potoczyć się jednak różnie. Mógł oczywiście pójść obrzydliwą ścieżką Berlinga. Ale mógł też, tak jak wielu z obozu w Griazowcu, doznać otrzeźwienia i przeczekać w obozie do paktu Sikorski-Majski. Bywało też tak, że ludzie początkowo zauroczeni sowieckimi obietnicami zmieniali zdanie i trafiali za to do więzienia.

Zarubin zakończył swoje urzędowanie w Kozielsku w typowy dla siebie sposób, czyli w białych rękawiczkach. Aby uspokoić nastroje, zarządził szczepienie przeciw tyfusowi, po czym zniknął przed odjazdem pierwszego transportu do Katynia. Nie był to koniec jego wywiadowczej kariery. Kontynuował ją w USA, gdzie pod płaszczykiem wicekonsula inwigilował tamtejsze środowiska opiniotwórcze, rozpoznawał amerykański program atomowy i sprawdzał, czy Waszyngton po cichu nie dąży przypadkiem do separatystycznego pokoju z III Rzeszą. Jego największym osiągnięciem było zwerbowanie Harry'ego Hopkinsa, doradcy samego Roosevelta, który był gorącym sowietofilem. Temat katyński był obecny w działalności Zarubina długo po dokonaniu tej zbrodni – jego agenci mieli przekonywać amerykańskie elity, że egzekucji Polaków dokonali Niemcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



1946 r. / Szczeciński kwiecień

Czmychający Bierut



Piotr Semka

Namiestnik Stalina nie mógł darować młodzieży upokorzenia, które przeżył w Szczecinie podczas uroczystości państwowych

Osiemdziesiąt lat temu ma Wałach Chrobrego w Szczecinie Bolesław Bierut został zakrzyczany i musiał przerwać przemówienie wygłaszane na zlocie młodzieży „Trzymamy Straż nad Odrą". Raz jeden w ciągu 12 lat swoich rządów Bierut mógł usłyszeć, co Polacy myślą o jego ekipie i jak bardzo popularny jest Stanisław Mikołajczyk – przywódca opozycji i lider Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Wypadki szczecińskie z kwietnia 1946 r., kiedy młodzi harcerze i członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" zademonstrowali swój sprzeciw komunizmowi, to temat praktycznie nieznany w Polsce. A przecież było to jedno z najwcześniejszych antykomunistycznych wystąpień młodych Polaków po drugiej wojnie światowej. Jak do niego doszło?

Wiosną 1946 r. Polska znajdowała się już od ponad półtora roku pod władzą ekipy Bolesława Bieruta, którą zainstalował Kreml. Ten sowiecki agent stanął na czele Krajowej Rady Narodowej, samozwańczego pseudoparlamentu, który z nadania Stalina był politycznym zapleczem najpierw PKWN, a potem Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej. Tym ostatnim tworem kierował Edward Osóbka-Morawski, zastraszony przez komunistów socjalista o mętnej przeszłości okupacyjnej.

W czerwcu 1945 r. wielkie mocarstwa – Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Sowiecki – zaangażowały się w ustalenie „kompromisowego" porozumienia pomiędzy komunistami Bieruta a siłami niepodległościowymi. Wynikiem tej rzekomej ugody, tak naprawdę wymuszonej na części polityków emigracyjnych z Londynu przez Winstona Churchilla i dyplomatów USA, miało być stworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (TRJN). Brytyjczykom i Amerykanom zależało na tym, by pod tą szumną nazwą stworzyć pozór pluralistycznego gabinetu łączącego polskich komunistów z reprezentantami choćby część polityków Rządu RP w Londynie.

Zgodę na taki polityczny eksperyment wyraził premier polskiego rządu na uchodźstwie, ludowiec, Stanisław Mikołajczyk. Mimo obaw i potępienia ze strony sporej części polskiej emigracji uznał, że to jedyna szansa na „ratowanie, co się da", nawet za cenę zgody na zabór przez Moskwę polskich województw wschodnich.

Czerwoni przebierańcy

Mikołajczyk miał świadomość, że w nowym gabinecie większość tek ministerialnych mają komuniści z PPR i ich sojusznicy z ubezwłasnowolnionej PPS, opanowanych przez agenturę Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, i wreszcie z chwiejnego, lecz formalnie niezależnego Stronnictwa Pracy.

Mikołajczyk liczył na to, że TRJN będzie istniał krótko, jedynie do pierwszych wolnych wyborów do Sejmu. Wierzył, że społeczeństwo, które poczuło już terror ekipy Bieruta, masowo poprze jego partię w wyborach i tym samym to ludowcy staną się główną siłą w nowym rządzie, który z poparciem Zachodu zadba o jakiś margines swobody wobec dyktatu Moskwy.

Gdy 27 czerwca 1945 r. Mikołajczyk przybył do Warszawy, Polacy przywitali go jak zbawcę. Koła PSL rosły jak grzyby po deszczu. Widząc, że pojawiła się wolnościowa alternatywa, wielu działaczy chłopskich przeszło z fasadowego Stronnictwa Ludowego do mikołajczykowskiego PSL.

Ale ten „zbawca z Londynu" nie rozumiał, że TRJN wcale nie ma zamiaru dążyć do szybkich wyborów, a równolegle komunistyczna bezpieka i propaganda zaczęły walczyć z PSL. Zasłużonych ludowców mordowali tzw. nieznani sprawcy, a do ubrań zabitych „leśnych" ubecy podrzucali legitymacje PSL, aby głosić tezę, że ta partia współpracuje po cichu z „reakcyjnym podziemiem".

Walka Bieruta o legitymizację swej władzy trwała od momentu zainstalowania PKWN w lipcu 1944 r. Za zgodą Moskwy Bierut chętnie sięgał po symbolikę narodową i rygorystycznie zalecał

eprasa.pl bf9306b6ba



Bolesław Bierut (trzeci z lewej) podczas defilady wojskowej, dzień po rejteradzie z rybuny spowodowanej demonstacyjnym zachowaniem się młodzieży. Pierwszy z lewej: Stanisław Mikołajczyk FOT. WŁADYSŁAW FORBET/PAP

swoim ludziom unikanie wszelkich zadrażnień z Kościołem katolickim.

W pierwszej fazie rządów ekipy Bieruta – między lipcem 1944 r. a czerwcem 1945 r. – priorytetami były podważanie legalności rządu RP w Londynie i walka z podziemiem poakowskim. Dlatego w imię legitymizacji TRJN i formalnego zerwania więzi Mikołajczyka z rządem RP w Londynie niechętnie zaakceptowano istnienie PSL, a także o wiele słabszego Stronnictwa Pracy. Komuniści zakładali, że z czasem uda im się ośmieszyć Mikołajczyka za pomocą swej propagandy, a dodatkowo „doły" PSL-owskie da się zastraszyć terrorem. Od początku 1946 r. ta taktyka była już bardzo wyraźna.

W celu poszukiwania politycznej legitymacji komuniści zwrócili uwagę na przypadającą w marcu i kwietniu 1946 r. pierwszą rocznicę „wyzwolenia" polskiego Wybrzeża przez Armię Czerwoną i 1. Armię Wojska Polskiego. Kto pierwszy rzucił ideę wielkiego zlotu w Szczecinie? Autorstwo tego pomysłu przyznaje się najczęściej wojewodzie Leonardowi Borkowiczowi. Jednak Tadeusz Mazurkiewicz, który w tamtym okresie był harcerzem, twierdził po latach, że geneza tej idei może sięgać ostatnich dni sierpnia 1945 r. Jak wspominał Mazurkiewicz: „W czasie koleżeńskiego spotkania w Koszalinie w gmachu Urzędu Wojewódzkiego [...] w rozmowie na temat niemieckich demonstracji politycznych za Odrą rzuciłem myśl – wobec tego powinniśmy i my zorganizować np. w Szczecinie »Zlot Młodzieży Polskiej«, wszystkich już powstałych organizacji młodzieżowych, pod hasłem »Trzymamy Straż nad Odrą«".

Ekipa Bieruta chętnie podchwyciła pomysł organizacji Zlotu Młodzieży Polskiej w Szczecinie. Zdominowany przez komunistów rząd Edwarda Osóbki-Morawskiego bardzo potrzebował w tym czasie wyrazistej demonstracji polskich praw do metropolii nad Odrą. Tym bardziej że przewidywano wtedy, iż w krótkim czasie może dojść do ostatecznego porozumienia pokojowego wielkich mocarstw na wzór konferencji wersalskiej z 1919 r. Ekipa Bieruta obawiała się, że Stalin może wesprzeć niemieckich komunistów, oddając im gród Gryfa.

Miasto widmo

Szczecin na tle Polski Centralnej i Południowej był pod względem politycznym bardzo specyficznym miejscem. Starówka i duża część centrum miasta były zburzone, szabrownicy wywozili mienie poniemieckie, a liczni w mieście sołdaci sowieccy byli zdolni do wszystkiego.

W lutym 1946 r. administracja pierwszego polskiego prezydenta miasta Piotra Zaremby szacowała, że w stolicy Pomorza Zachodniego żyje 35 tys. Polaków i aż 42 tys. Niemców, chociaż ci ostatni planowo opuszczali miast. W tym specyficznym położeniu antagonizm polsko-niemiecki i dolegliwa obecność dużego garnizonu sowieckiego dość długo przysłaniały podział, który stawał się coraz bardziej widoczny w innych miejscach kraju – polscy komuniści kontra zwykli Polacy.

A jednak i w Szczecinie od początku 1946 r. zaczęły powstawać struktury Polskiego Stronnictwa Ludowego. Teoretycznie PSL było legalnie działającą partią mającą takie same prawa jak komunistyczna PPR, socjalistyczna PPS czy sprzyjające Bierutowi Stronnictwo Ludowe. W realiach lat 1945–1946 była to jednak partia stale inwigilowana i prześladowana przez komunistyczną bezpiekę.

Równolegle do głównych partii politycznych, które wraz z końcem wojny pojawiły się w Szczecinie, działał tam odrodzony Związek Harcerstwa Polskiego. Komuniści dążyli do pełnej kontroli nad aparatem kierowniczym ZHP i harcerskie „doły" buntowały się przeciw tej ideologicznej kurateli. Konflikt między „górą" a „dołami" w ZHP objawił się z całą mocą w Szczecinie w kwietniu 1946 r.

Uroczystości z okazji rocznicy zdobycia Pomorza przez Armię Czerwoną rozpoczęły się w Gdańsku 6 kwietnia



Stanisław Mikołajczyk przyjmuje gratulacje od kombatantów Batalionów Chłopskich po wyborze na prezesa PSL, styczeń 1946 r.
FOT. CAF/PAP

eprasa.pl bf9306b6ba



1946 r. Następnie znad Zatoki Gdańskiej wyruszyła sztafeta, której celem było dotarcie do Szczecina. Trasa drugiej sztafety biegła z Jeleniej Góry wzdłuż Odry. Również ona kończyła się w niegdysiejszej stolicy książąt pomorskich.

Od rana 13 kwietnia harcerze zaczęli tłumnie przybywać do Szczecina. Dziesiątki tysięcy druhów ze wszystkich zakątków Polski „rozhuśtały" atmosferę. Młodzi harcerze i aktywiści związanego z PSL Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" w swojej masie poczuli się pewniej.

Pierwszym aktem zlotu był apel pamięci na ówczesnym Placu Teatralnym (dziś Plac Żołnierza Polskiego). Uczczeni zostali bohaterowie, którzy rok wcześniej polegli w walkach o Szczecin i Pomorze Zachodnie. Gdy w trakcie odczytywania apelu zepchnięto Armię Krajową na sam koniec listy, po komunistycznej Brygadzie im. Jarosława Dąbrowskiego, Gwardii Ludowej, Armii Ludowej i Batalionach Chłopskich, harcerze po raz pierwszy okazali oburzenie. Na razie było ono jednak chwilowe.

O wiele goręcej zrobiło się na Wałach Chrobrego, gdzie harcerze poczuli, że ani bezpieka, ani milicja nie będą w stanie ich powstrzymać.

Ucieczka Bieruta

Harcerzy ustawiono na wałach, ponieważ na wprost trybuny z Bierutem mieli stać młodzi komuniści ze Związku Walki Młodych. Harcerze poczuli się na tyle ośmieleni, że zaczęli skandować wyrazy poparcia dla Stanisława Mikołajczyka i PSL. Bezpieka i milicja nie były w stanie temu przeciwdziałać. Gdy w ostentacyjny sposób pominięto podczas oficjalnego powitania obecnego na trybunie Stanisława Mikołajczyka, harcerze i działacze ZMW „Wici" wykrzyczeli na głos to, co zbierało się w nich od dawna.

Maria Hulewicz, świadek zajść, tak to wspominała: „Przemówił Bierut. Oczywiście o wdzięczności dla wyzwolicieli, którzy nam przywrócili zachodnie granice. I ani słowa o tym, o czym wszyscy wiedzieliśmy, że ziemie te, już jako polskie, zostały doszczętnie wypalone właśnie przez tychże wyzwolicieli [...]. Bierut mówił dalej... Megafony niosły jego słowa aż do sowieckich okrętów stojących przy nabrzeżu. Tymczasem szum wśród »Wiciowców« narastał i przybrał formę równego skandowania: Mi-ko-łaj-czyk! Bierut nasilił głos [...].

Mi-ko-łaj-czyk! Mi-ko-łaj-czyk! Mi-ko-łaj-czyk! – rozległo się chóralne przyspieszone skandowanie już prawie 15 tysięcy harcerzy, »Wiciowców«, OM TUR-owców [Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego – przyp. red.] [...]. I naraz stała się rzecz niepojęta. Towarzysz Bierut odwrócił się i zszedł z trybuny, nie kończąc przemówienia. Za nim podążyła jego świta".

Na tej samej trybunie stał Mikołajczyk, który po latach wspominał:

„Obrażony Bierut zszedł z podium. Później w nocy zdecydował, że główną odpowiedzialność za to ponoszą harcerze i za karę odmówił im prawa brania udziału w defiladzie i mszy świętej na wolnym powietrzu".

Kontrdefilada

Wyłączeni z defilady za sprawą decyzji Bieruta harcerze nie zamierzali jednak kapitulować i następnego dnia znów zrobili swoje. Zacytujmy druha Edwarda Wituszyńskiego: „Staliśmy kilka godzin [...]. Nagle pojawiła się pogłoska, że my na defiladę nie pójdziemy. Miały to być retorsje za jakieś ubiegłodniowe demonstracje harcerzy na Wałach Chrobrego, a związane z wicepremierem Mikołajczykiem. Zrobiło się głupio [...]. Szczególnie rozżaleni byli harcerze z naszej chorągwi. My tu na rubieżach jak słupy Chrobrego i nagle taki afront".

Wcześniej Bierut i członkowie rządu przyjmowali defiladę na trybunie przy Alei Wojska Polskiego w Szczecinie. Do oficjalnego pochodu dopuszczono jedynie komunistyczny ZWM, socjalistyczną młodzieżówkę OM „TUR", zespoły folklorystyczne, sportowców i wojsko. Za karę Bierut kazał zablokować delegację PSL. Harcerze zgromadzeni w pobliżu trasy oficjalnego pochodu pod koniec defilady przerwali kordon bojówek ZWM-owskich.

„(Wojskowy) komendant placu zawiadomił przez megafon, że na tym defilada się kończy, i zarządził, żeby ZWM stanęło w poprzek alei i zamknęło drogę harcerstwu – wspominał Harcerz Cezary Chlebowski. – Gdy weszliśmy w Aleję Wojska (Polskiego) w gromadzie młodych



Harcerze podczas zlotu młodzieży „Trzymamy straż nad Odrą" w Szczecinie

FOT. WŁADYSŁAW FORBERT/PAP

eprasa.pl bf9306b6ba



OBYWATELE!

W ramach święta
„Trzymamy Straż nad Odrą i Nisą"

przejdzie wzdłuż zachodnich granic Polski w dniach 1-13. IV. br. z Jeleniej Góry do Szczecina

sztafeta wojskowa

W dniu 5 kwietnia br. sztafeta D.O.W. Śląsk, przekroczy granicę Ziemi Lubuskiej i zatrzyma się w Otyniu, gdzie zostanie przyjęta przez Przedstawicieli Władz. organizacyj i miejscową ludność. Dalszą trasą przemarszu sztafety będą miejscowości: Niedoradz, Radzula, Zielonagóra i Zawada.

W związku z powyższym uprasza się o udekorowanie wyżej wspomnianych miejscowości w dniach przemarszu flagami o barwach narodowych, oraz o jak najliczniejsze wzięcie udziału w wiecach urządzonych w tym czasie.

Apel o udekorowanie miejscowości na trasie sztafety

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ludzi, w białych koszulach, z czerwonymi krawatami, trzymającymi dziesiątki czerwonych transparentów, zagradzających nam przemarsz, zapanował nerwowy ruch. A my ani nie przyspieszyliśmy, ani nie zwolniliśmy [i szliśmy] równym, miarowym i dźwięczącym na mokrej kostce krokiem. Po obu stronach jezdni stał tłum ludzi, którzy wierzyli, że nasza defilada jednak się odbędzie. Tu i tam padały okrzyki: Niech żyją harcerze! Utorujcie sobie drogę! [...] Poprzednicy samym impetem rozpędzili luźne szyki ZWM-owców [...]. Droga była wolna. Tłum bił brawo i wiwatował na naszą cześć".

Pod opuszczoną przez Bieruta i jego świtę trybuną nielegalny pochód harcerski przyjęli zwierzchnicy ZHP. Tego dnia do wieczora dochodziło na ulicach Szczecina do starć między harcerzami, członkami Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" a młodymi komunistami z ZWM.

Władze nie zdecydowały się wysłać przeciw harcerzom milicji, UB i oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, nie chcąc sprowokować zamieszek na większą skalę. Uznano, że zaproszeni licznie na zlot w Szczecinie korespondenci zagraniczni mogliby opisać, jak władza ludowa rozprawia się z własną młodzieżą.



Późnym wieczorem 14 kwietnia 1946 r. rozkazano drużynom harcerskim natychmiast udać się na Dworzec Szczecin Główny i opuścić miasto podstawionymi pociągami. Stację obstawiły wojsko i milicja.

Zemsta władz

Oficjalne relacje prasowe ze zlotu w Szczecinie w pierwszych dniach po tych wydarzeniach starannie przemilczały demonstracje harcerskie i uliczne konfrontacje z ZWM. Propagandowa kontrofensywa nastąpiła dopiero kilka dni później. 19 kwietnia „Kurier Szczeciński" w specjalnym komentarzu pt. „Patriotyzm źle pojęty" potępił „wywołane przez wiadome czynniki próby zakłócenia powagi obchodu i zmniejszenia ich wagi".

Ogłoszono, że zajścia były „wodą na młyn międzynarodowej reakcji wrogiej naszym zachodnim osiągnięciom terytorialnym". Wybuch niezadowolenia młodzieży przeciw ekipie Bieruta głęboko zaniepokoił rząd Edwarda Osóbki-Morawskiego. Postanowiono zakazać demonstracji w dniu święta państwowego 3 maja. Polecenie odwołania pochodów trzeciomajowych dotarło w ostatniej chwili do wszystkich większych miast. Jednak młodzież uczniowska i studencka wyszła 3 maja na ulice w Krakowie, Poznaniu, Łodzi i Gliwicach. Wszędzie tam doszło do zamieszek rozpędzanych przez milicję i oddziały KBW. UB wyłapywała demonstrantów, wsadzała ich do aresztów, po czym organizowano procesy.

W Szczecinie program uroczystości trzeciomajowych został już ogłoszony na plakatach. Mimo to wszystkie publiczne uroczystości odwołano. W szczecińskim państwowym gimnazjum i liceum ogólnokształcącym przy Alei Piastów milicjanci z karabinami maszynowymi w asyście funkcjonariuszy UB zablokowali wymarsz uczennic na rocznicową mszę. Do manifestacji 3 maja doszło natomiast w Szczecinku, gdzie przez miasto przemaszerowało kilkaset osób. Młodzież niosła trumnę z napisem „3 maja" oraz flagi przewiązane czarnym kirem. Po pochodzie rozpoczęły się aresztowania.

Ekipa Bieruta przystąpiła do zaciskania pętli terroru. Referendum z 30 czerwca 1946 r. zostało sfałszowane. W niedługim czasie nastąpiła kolejna fala represji wobec działaczy PSL. Jesienią 1946 r. niemal wszystkie spotkania ludowców były zakazywane lub brutalnie rozbijane. Ludzie zrozumieli, że zachodnie mocarstwa nie są w stanie zapewnić Polakom wolnych wyborów. Ta fala terroru spowodowała załamanie aktywności PSL. Do kolejnego fałszerstwa wyborczego doszło podczas wyborów do Sejmu, które zostały przeprowadzone 19 stycznia 1947 r. Dziesięć miesięcy później Stanisław Mikołajczyk uciekł z Polski, obawiając się aresztowania.

Upokorzenie

Szczecin miał zapłacić upokarzającą cenę za dwa dni swobody. 20 kwietnia 1947 r. na szczecińskim Placu Niezłomnych zorganizowano wielki wiec na powitanie szefa PPR Władysława Gomułki.

Dwa miesiące później gród Gryfa odwiedził Bolesław Bierut – główny gość Święta Morza. Namiestnik Stalina, chcąc zatrzeć bolesne upokorzenie sprzed roku, kiedy uciekł z trybuny, demonstracyjnie odebrał na Wałach Chrobrego uroczystą defiladę. Wzmocnione siły UB i milicji zadbały, by nie doszło do jakichkolwiek incydentów. 7 września 1947 r. z okazji III Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych premier Józef Cyrankiewicz i wicepremier Władysław Gomułka przyjęli uroczystą defiladę na Wałach Chrobrego.

Szczecinianie zapamiętali te dwa dni wolności, gdy gniew młodzieży wygnał Bolesława Bieruta z rządowej trybuny. To wtedy narodziła się tradycja niepokornego miasta nad Odrą. Bez niej być może nie byłoby wolnościowego zrywu Grudnia 1970 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Eksplozja galeonu „San José". Obraz Samuela Scotta

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, CC-BY-SA-3.0 AND GFDL

XVIII w. / Skarb na dnie

Bitwa o wrak „San José"



Piotr Włoczyk

Kolumbijczycy rozpoczęli w końcu wydobywać na powierzchnię skarby z galeonu, który zatonął ponad 300 lat temu u ich wybrzeży. O zatopioną fortunę wciąż toczy się jednak walka na paragrafy

Działo, trzy złote monety i porcelanowy kubek. To pierwsze przedmioty, które Kolumbijczycy wyciągnęli w listopadzie zeszłego roku ze szczątków hiszpańskiego galeonu, który powszechnie znany jest jako „Święty Graal Wraków". Operacji wydobycia tych przedmiotów z czeluści okrętu, leżącego od ponad 300 lat u wybrzeży Kolumbii na głębokości ok. 600 metrów, przypatrywał się prezydent Gustavo Petro, który wybrał się na miejsce akcji na pokładzie specjalistycznej jednostki.

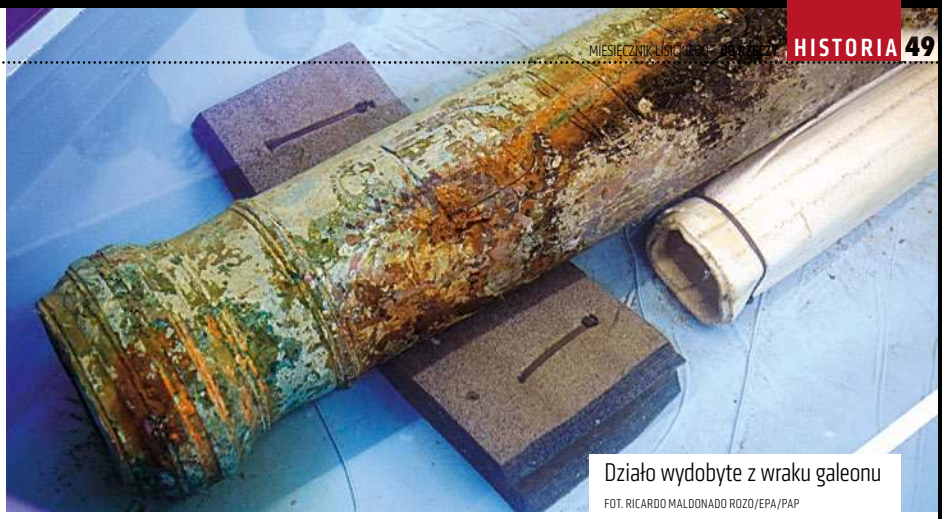
Kolumbijczycy jak oka w głowie strzegą informacji na temat dokładnej lokalizacji wraku, ponieważ wszystko wskazuje na to, że na całym globie nie ma większej „gratki" dla podwodnych rabusiów. Galeon „San José" przewoził na swoim pokładzie skarby warte dziś być może nawet 20 mld dol.

Jednak to, że Kolumbijczycy odnaleźli wrak galeonu i właśnie rozpoczęli operację wyciągania na powierzchnię jego zawartości, wcale nie oznacza, że ta historia znalazła już swój finał. Cały czas toczy się bowiem prawny spór między kilkoma zainteresowanymi stronami: rządem kolumbijskim, amerykańską firmą, która podkreśla, że to ona odkryła wrak „San José" już cztery dekady temu, władzami Hiszpanii, do której należał galeon, a także rdzennymi ludami Ameryki Południowej podnoszącymi, że skarby zostały odebrane siłą ich przodkom, zamienionym przez Hiszpanów w niewolników.

Pułapka

O fortunie transportowanej przez Hiszpanów doskonale wiedzieli Anglicy, ich śmiertelni wrogowie, którzy wyspecjalizowali się w przygotowywaniu zasadzek na Morzu Karaibskim. Dowódca „San José" zdawał sobie sprawę z tego zagrożenia i bardzo nie chciał wypływać z bezpiecznego portu w Portobelo (dzisiejsza Panama). José Fernández de Santillán nie miał jednak wyboru, ponieważ wielkimi krokami zbliżał się sezon huraganów i czekająca na niego w Hawanie eskorta atlantycka musiała

eprasa.pl bf9306b6ba



Działo wydobyte z wraku galeonu
FOT. RICARDO MALDONADO ROZO/EPA/PAP

jak najszybciej wyruszyć do Hiszpanii. 28 maja 1708 r. „San José” wypłynął więc z Portobelo w kierunku Cartageny – miasta portowego znajdującego się na terenie Nowego Królestwa Granady (dzisiejsza Kolumbia). Miał się tam spotkać z innymi okrętami hiszpańskimi i razem z nimi zawinąć następnie do Hawany.

„Musimy pamiętać, że zanim zbudowano Kanał Panamski, biegła tamtędy droga lądowa pozwalająca przerzucać towary między portami położonymi po obu stronach przesmyku. I była ona wykorzystywana od setek lat – pierwsi używali jej Hiszpanie, transportując srebro lądem z leżącego nad Pacyfikiem miasta Panama do Portobelo nad Morzem Karaibskim, skąd galeony zabierały cenny ładunek do Hiszpanii” – tłumaczył w rozmowie z „Historią Do Rzeczy” Denis Hogan, wykładowca Uniwersytetu Harvarda, znawca historii Ameryki Centralnej.

W Europie trwała właśnie wojna o sukcesję hiszpańską i Brytyjczycy koniecznie chcieli odciąć swoich przeciwników od bogactw, które sprowadzali oni z Nowego Świata. Nie było to jednak łatwe zadanie, bo Hiszpanie już od ponad wieku stosowali specjalną strategię, mającą zabezpieczać ich drogocenne transatlantyckie transporty.

„W latach 40. XVI w. w Potosí w Boliwii i w Zacatecas w Meksyku zaczęto wydobywać srebro, a ogromne ładunki przewożone przez hiszpańskie statki zainteresowały korsarzy francuskich, angielskich i holenderskich. W ramach środków ostrożności w 1564 r. Casa de Contratación [hiszpańska instytucja państwowa kontrolująca handel – przyp. red.] kazała wszystkim transatlantyckim statkom wyruszać razem, w dwóch konwojach” – pisze Lincoln Paine w swojej książce „Morze i cywilizacja”. Jednym z tych konwojów była flota Nowej Hiszpanii, a drugim flota Tierra Firme. Galeon „San José” był okrętem flagowym Tierra Firme.

W hiszpańskim konwoju prowadzonym przez „San José” płynęło 18 jednostek, w tym trzy potężne, nowoczesne galeony. Obok uzbrojonego w 64 działa flagowego okrętu płynął bliźniaczy „San Joaquín”. Trzeci galeon, „Santa Cruz”, miał na pokładzie 44 działa. 8 czerwca 1708 r. Hiszpanie wpadli w zasadzkę niedaleko Cartageny. Cztery brytyjskie okręty pod dowództwem Charlesa Wagera dysponowały jeszcze większą siłą ognia, swoje robił też element zaskoczenia.

Brytyjczycy wiedzieli, że największy łup czeka na nich w ładowniach „San José”. Ich główna jednostka, „Expedition”, dysponująca 70-działami, wzięła na cel najważniejszy hiszpański galeon. Brytyjczycy ostrzelali wroga i szykowali się już do abordażu, gdy niespodziewanie „San José” wyleciał w powietrze i momentalnie zatonął. Z jego 600-osobowej załogi przeżyło tylko 11 ludzi. Brytyjczycy skupili się następnie na „San Joaquín”, ale jego kapitan zręcznie wymknął się obławie i uciekł do bezpiecznego portu w Cartagenie. W ręce ludzie Wagera wpadł „Santa Cruz”, ale w jego ładowniach znajdował się jedynie ułamek bogactw przewożonych na dwóch bliźniaczych galeonach.

„Neokolonializm”

Kto odkrył wrak „San José”? Władze w Bogocie przekonują, że to sami Kolumbijczycy wpadli na jego ślad w 2015 r. Jednak Sea Search Armada (SSA, wcześniej znana jako Glocca Morra) twierdzi, że zlokalizowała wrak „San José” już w 1981 r. i przekazała kolumbijskim władzom dane na ten temat. W 1984 r. miało nawet dojść do porozumienia między tą amerykańską firmą a Bogotą, na którego mocy odkrywcy mieli otrzymać prawa do 35 proc. skarbów z galeonu, które nie zostaną uznane za przedmioty dziedzictwa kulturowego. SSA twierdzi jednak, że kolumbijskie władze złamały umowę, uniemożliwiając firmie próbę wydobycia kosztowności. Amerykanie walczą z rządem Kolumbii przed tamtejszymi sądami o prawa do części skarbu wartego być może nawet 20 mld dol. W jego skład wchodzą nie tylko złote i srebrne monety, lecz także kamienie szlachetne.

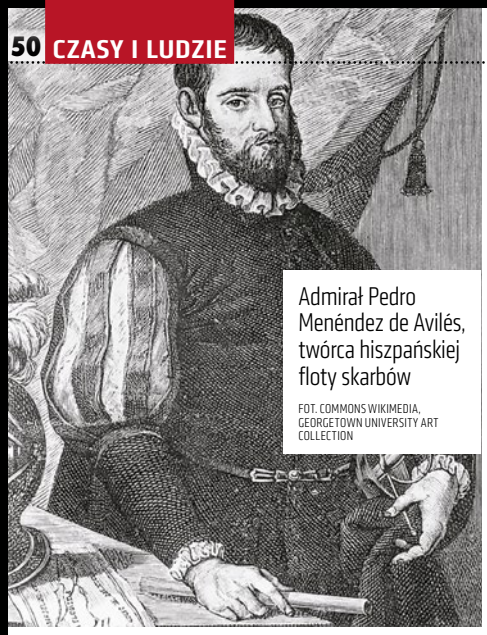
Hiszpania stoi natomiast na stanowisku, że wrak „San José”, okrętu hiszpańskiej marynarki wojennej, ma pozostać nietknięty. „Kolumbia i Hiszpania mają obecnie świetne relacje i powinny dołożyć wszelkich starań, by ich interesy były zbieżne w tej kwestii” – zakomunikowało hiszpańskie Ministerstwo Kultury. Władze Hiszpanii nazywają wrak galeonu swoim „zatopionym bogactwem”. Władze Kolumbii przekonują, że nie zamierzają spieniężać skarbu. Po wydobyciu ma on być gruntownie przebadany i przekazany do instytucji muzealnych.

Roszczenia do skarbu wysuwają też społeczności indiańskie z Boliwii, które twierdzą, że złoto i srebro z „San José” zostało wyrwane przez Hiszpanów przemocą z ziemi ich przodków. José María Lancho, adwokat reprezentujący rdzenne grupy z Boliwii, domaga się w ich imieniu od Kolumbii i Hiszpanii praw do części skarbu w przypadku wydobycia go na powierzchnię. „Nasze rdzenne społeczności uważają każde działanie polegające na jednostronnym zawłaszczeniu galeonu, bez konsultacji z nami i bez uznania jego wspólnego charakteru, jako grabież i neokolonializm” – napisali przedstawiciele wspomnianych rdzennych grup w liście do UNESCO i władz Hiszpanii.

Morska legenda

Galeon „San José” to bardzo żywy temat w wyobraźni Kolumbijczyków. Okręt i jego bezcenny ładunek pojawiają się nawet na kartach słynnej powieści

eprasa.pl bf9306b6ba



Admirał Pedro Menéndez de Avilés, twórca hiszpańskiej floty skarbów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEORGETOWN UNIVERSITY ART COLLECTION

„Miłość w czasach zarazy" kolumbijskiego pisarza Gabriela Garcíi Márqueza.

„Zaginione na dnie morza złoto, srebro i szmaragdu z galeonu »San José« pozostały legendą kolumbijskiej kultury, w szczególności tej z Karaibów – pisze Artur Domosławski w książce »Rewolucja nie ma końca«. – Powiedzieć mieszkańcom Cartageny, że skarb z zatopionego statku nie należy do nich, to jak dokonać zamachu na ich tożsamość, urazić dumę, pozbawić pięknego snu".

Domosławski zwraca w swojej książce uwagę na skomplikowaną sprawę roszczeń do zawartości ładowni galeonu. „A co z Peru i Boliwią? Przecież to w Andach, w dzisiejszych granicach obu tych krajów, znajdowało się najwięcej kopalń złota i srebra. To z tamtejszych metali szlachetnych bito monety ładowane na statki, wytwarzano kosztowną biżuterię czy kościelne ołtarze zarówno w Starym, jak i Nowym Świecie – pisze Domosławski.

Szacuje się, że w kopalni Cerro Rico, niedaleko miasta Potosí, Hiszpanie wydobyli w ciągu blisko trzech stuleci nawet 40 tys. ton srebra (mogło to być nawet 85 proc. tego kruszcu pozyskanego przez nich w Andach). Bogactwo hiszpańskiej elity oznaczało oczywiście dramat dla rzeszy rdzennych mieszkańców, których zapędzano do niewolniczej pracy. W niektórych źródłach mowa jest nawet o kilku milionach ofiar tej eksploatacji, co jednak wydaje się liczbą o wiele zawyżoną.

„Prywatne milicje właścicieli tej i innych kopalń napadały na wioski, z których porywały rdzennych mieszkańców do niewolniczej pracy. Byli wśród nich nie tylko mężczyźni i duzi chłopcy, lecz także kobiety i dzieci. Skutych łańcuchami sprowadzano do podziemnych korytarzy i zmuszano do pracy ponad siły. Opornych zabijano od razu" – pisze Domosławski.

Herculesy pełne złota

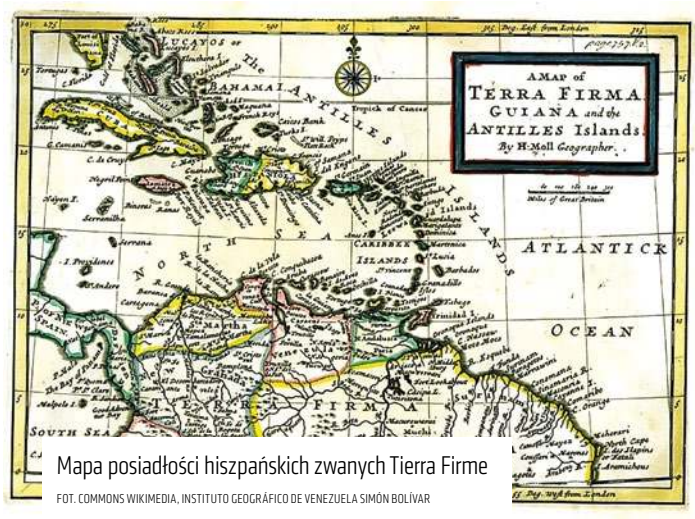
SSA próbowała dochodzić swoich roszczeń przed amerykańskim sądem, jednak ta ścieżka nie okazała się zbyt szczęśliwa – sędzia uznał w 2011 r., że z powodu lokalizacji wraku przy wybrzeżu Kolumbii „San José" pozostaje własnością tamtejszych władz. SSA jednak nie składa broni i wciąż walczy przed kolumbijskimi sądami o swoje. Jak twierdzi, władze Kolumbii groziły firmie użyciem wojska, jeżeli będzie próbowała zbliżyć się do wraku. „To ta sama mentalność, co w przypadku konkwistadorów" – kwitował Jack Harbeston, dyrektor zarządzający SSA.

Znalazca nie zawsze ma w takich sprawach mocne karty, co pokazuje historia procesów o skarby z zatopionych wraków. W 2007 r. inna amerykańska firma, Odyssey Marine Exploration (OME), natrafiła u południowych wybrzeży Portugalii, na głębokości ok. 1,1 tys. metrów, na szczątki hiszpańskiej fregaty „Nuestra Señora de las Mercedes", która została zatopiona w 1804 r., również przez Brytyjczyków. Podwodne pojazdy OME wydobyły w niedługim czasie pół miliona srebrnych i złotych monet, wartych ok. 500 mln dol. OME chwaliła się wówczas, że jest to prawdopodobnie największy w historii odnaleziony podwodny skarb.

Radość znalazców była jednak przedwczesna. Sprawa trafiła przed amerykański sąd, który musiał zważyć racje trzech stron: Hiszpanii, znalazców oraz Peru (tamtejsze władze podnosiły, że podwodny skarb to złoto i srebro zrabowane Inkom). Sędzia uznał ostatecznie, że ponieważ „Nuestra Señora de las Mercedes" była hiszpańskim okrętem, który został zatopiony podczas pełnienia misji państwowej, prawa do wraku należą się w całości rządowi w Madrycie. Peru nie miało natomiast szans na przejęcie monet, ponieważ – jak stwierdził sędzia – na początku XIX w. nie było takiego państwa i była to jedynie kolonia Hiszpanii.

Ówczesny socjalistyczny premier José Luis Rodríguez Zapatero mówił jednym głosem z prawicą, domagając się jak najszybszego powrotu wydobytych przez OME monet. Hiszpańskie władze wysłały w tym celu na Florydę, gdzie firma ma swoją siedzibę, dwa samoloty Hercules, które wróciły obładowane skarbem. Następnie zawartość ładowni „Nuestra Señora de las Mercedes" była dumnie prezentowana na wystawie w Madrycie.

Hiszpanie raczej nie mogą dziś liczyć na podobny sukces w sprawie galeonu „San José". Ich plan maksimum to po prostu niedopuszczenie do wydobycia skarbów przez Kolumbijczyków. Jednak trudno sobie wyobrazić, by władze w Bogocie miały nagle przerwać operację wyciągania kosztowności na powierzchnię. Prezydent Gustavo Petro doskonale wie, jak bardzo Kolumbijczycy czekają, by skarb leżący u brzegów Cartageny trafił do ich muzeów.



Mapa posiadłości hiszpańskich zwanych Tierra Firme

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, INSTITUTO GEOGRÁFICO DE VENEZUELA SIMÓN BOLÍVAR

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

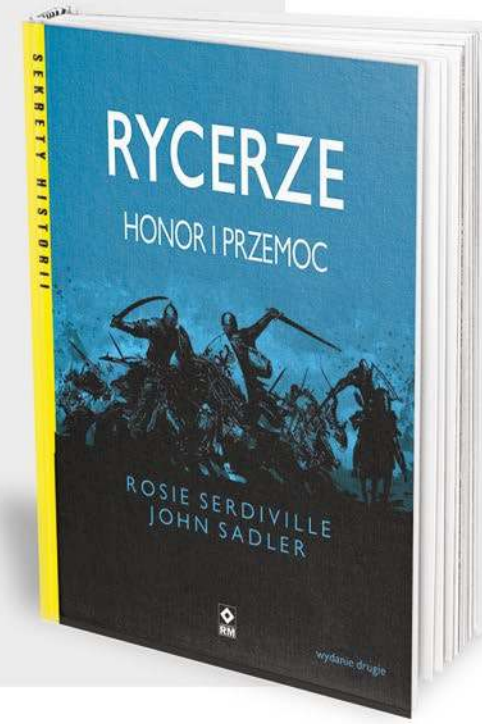
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROSIE SERDIVILLE I JOHN SADLER: „RYCERZE. HONOR I PRZEMOC”

Rycerze. Honor i przemoc

Ta książka opisuje rozkwit i schyłek epoki średniowiecznych rycerzy, przedstawia ich kosztowny ekwipunek i uzbrojenie, a także zabiera czytelnika na turnieje i przybliża etos rycerski.

Rycerzy, czyli wojowników konnych, zaczęto łączyć z pojęciem rycerskości, gdy zostało ono spopularyzowane przez średniowieczną literaturę. Oczekiwano od nich, że będą walczyć odważnie i honorowo oraz pozostaną lojalni wobec swego pana - w razie konieczności - aż do śmierci. W późniejszych czasach rycerskość utożsamiano z udziałem w turniejach i polowaniach oraz takimi zaletami charakteru jak sprawiedliwość, miłosierdzie i wiara. W czasach wypraw krzyżowych sformułowano kodeksy rycerskie, a niektóre zakony krzyżowców, między innymi templariusze, przeszły do legendy. Wraz z rozwojem sztuki wojennej w XV wieku ten typ wojska stał się zbędny, ale określenie „rycerz” przetrwało jako honorowy tytuł nadawany za usługi oddane monarsze lub krajowi. Stulecia później postać rycerza stała się też ikoną kultury popularnej.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

172 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bf9306b6ba



Michał Wojnicz w swoim londyńskim antykwariacie na Soho Square

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MEDIA.GUIM.CO.UK

Wieki XIX–XX / Z Syberii za ocean

Kod Voynicha



Marek Klecel

Konspirator, Sybirak i rzutki przedsiębiorca zasłynął jako posiadacz tajemniczego manuskryptu z późnego średniowiecza

Od dłuższego czasu uwagę uczonych, a także szerszej publiczności przyciąga sprawa „manuskryptu Voynicha". Dzieło przechowywane obecnie w bibliotece Beinecke Uniwersytetu Yale w USA zostało napisane tajemniczym pismem. Barwne ilustracje dołączone do tekstu pozwalają domyślać się, że był to jakiś rodzaj traktatu botaniczno-medycznego. Dopiero niedawno udało się określić czas jego postania na ok. 1420 r. Natomiast niemal wszystkie próby odczytania samego tekstu, do czego zaangażowano kryptologów, spełzły na niczym.

Piszę „niemal wszystkie", bo ostatnio jednak specjaliści od AI z Uniwersytetu Alberta w Kanadzie zbadali manuskrypt i rozszyfrowali jedno (!) zdanie. Użyto w nim znaków podobnych do różnych języków, w tym hebrajskiego, ale jego treść niczego nie wyjaśniała. Czy reszta tekstu również nie ma żadnego sensu i jest tylko zbiorem losowych znaków graficznych, a zagadka „manuskryptu Voynicha" w rzeczywistości nie jest żadną tajemnicą? Może jest to po prostu sprytna mistyfikacja?

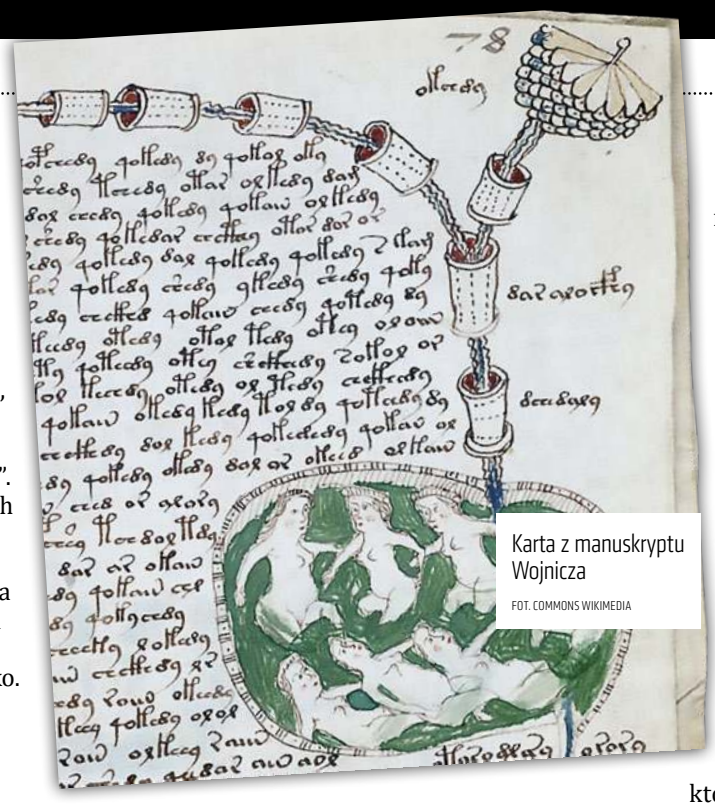
Wiadomo, że manuskrypt długo krążył po Europie, aż nabył go cesarz Rudolf II Habsburg, który interesował się alchemią i naukami tajemnymi. Następnie dzieło przeszło na własność znanego praskiego alchemika, który nie mogąc go rozszyfrować, poprosił o pomoc jezuitów z Włoch. Manuskrypt pozostał w Italii i stał się własnością zakonu.

Nazwa tego dzieła przyjęła się od nazwiska znanego antykwariusza Wilfrida Michaela Voynicha z Nowego Jorku, który w 1912 r. kupił go od jezuitów. W tamtym czasie nie znano jeszcze wieku manuskryptu i sceptycy mogli podejrzewać, że Voynich miał jakiś udział w jego powstaniu.

Voynich, czyli Wojnicz

Dla nas jednak bardziej interesujący, a nawet zagadkowy niż sam manuskrypt jest jego właściciel. Voynich to po prostu Michał Wojnicz z okolic Kowna, zesłaniec syberyjski skazany w 1887 r. w procesie „Proletariatczyków". Groziły im najwyższe wyroki, postanowili zatem zorganizować zbiorową ucieczkę z Cytadeli Warszawskiej, która jednak nie udała się z powodu donosu. Kilku jej uczestników od razu powieszono. Wojnicz i Maria Bohuszewiczówna (przywódczyni grupy) zostali skazani na zesłanie na Syberię.

eprasa.pl bf9306b6ba



Karta z manuskryptu Wojnicza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Nasz bohater skończył wcześniej studia farmaceutyczne w Moskwie, gdzie zetknął się z działalnością rewolucyjną „Ziemli i Woli", anarchistów i socjalistów. Gdy wrócił na Wileńszczyznę, sam rozpoczął działalność konspiracyjną, wiążąc się z radykalnym „Proletariatem". Ale obracał się też w szerszych kręgach konspiracyjnych. To wtedy, na krótko przed nieudanym zamachem na cara Aleksandra III w Petersburgu w 1887 r., poznał młodego Piłsudskiego i jego środowisko. Niedługo po zamachu bracia Piłsudscy zostali aresztowani i oskarżeni o współudział w tym ataku. Wojnicz przebywał w osadzie Tunka koło Irkucka, gdzie mieściła się kolonia zesłańców politycznych, w tym Polaków, a wcześniej polskich duchownych. Tam też trafił w końcu Józef Piłsudski, który odbył już cięższą karę w Kireńsku na dalekiej północy i w Tunce miał zakończyć swoje pięcioletnie zesłanie. Spodziewał się, że spotka tam Wojnicza; wiedział, o jego pobycie w Tunce, o czym świadczą listy Piłsudskiego do Leonardy Lewandowskiej. Nie spotkali się wtedy jednak; minęli się niemal w drodze.

Pobyt Wojnicza w Tunce wyglądałby jak typowy żywot Sybiraka, gdyby nie jego zagadkowa ucieczka. Niemal każdy zesłaniec myślał o ucieczce, ale niewielu ją podejmowało, a tylko nielicznym to się udawało. Piłsudski w jednym z listów do Lewandowskiej niepokoił się, że ucieczka Wojnicza może źle wpłynąć na traktowanie polskich zesłańców w Rosji.

Wojnicz w sprytny sposób zniknął z Tunki. Najpierw upozorował próbę samobójczą, by dostać się do szpitala w Irkucku. Stamtąd powędrował do Europy sobie tylko znanym sposobem i szlakiem, prawdopodobnie przez Mongolię i Chiny. W 1890 r. pojawił się już w Londynie. Jedynym świadectwem o Wojniczu z tego czasu jest wzmianka w pamiętniku Stefana Juszczyńskiego, innego zesłańca. Tak wspominał on dawnego kolegę z zesłania, a także jego karierę na Zachodzie:

„Wojnicz na drugi rok pobytu w Tunce chciał niby skończyć samobójstwem. Przestrzelił sobie lekko skórę na piersiach, a wkrótce potem uciekł za granicę. Miał on wybujałą fantazję i wyniki jej podawał za rzeczywistość, w którą sam święcie wierzył. Z czasem został – z początku w Londynie, a później w Nowym Jorku – bardzo praktycznym kupcem antykwarycznym i dorobił się znacznego majątku, którym rad był zawsze podzielić się z każdym. I tak w tym człowieku były w zgodzie – niezwykła fantazja (inni to łgarstwem nazywali), praktyczność iście amerykańska i dobre serce. Wojnicz był żonaty z Angielką, znaną powieściopisarką. Umarł w początkach 1920 roku [w rzeczywistości w 1930 r. – przyp. red.] w Nowym Jorku".



Michał Wojnicz ok. 1885 r.

FOT. COMMONS WIMIMEDIA, COURTESY OF RAFAŁ T. PRINKE

Wspomnienie Juszczyńskiego opisujące charakter Wojnicza łączy się tu z informacjami o dalszej jego drodze życiowej, które w ogólnym zarysie są wyrywkowe, ale prawdziwe. Ciekawsze jest to, że – jak widać – wiadomości o Wojniczu docierały do Rosji sowieckiej w latach 20. i 30. i był on tam znany, w przeciwieństwie do większości nierosyjskich zesłańców, których zapomniano.

Irlandzka żona

W Londynie od razu wykazał się wielką inicjatywą i obrotnością, tą fantazją, którą mu raczej wymawiał Juszczyński, ale dzięki której umiał doskonale urządzić się w obcej metropolii. Najpierw założył księgarnię, później dobrze prosperujący antykwariat. Tworzył też środowisko polskiej emigracji i konspiracji, z czasem związanej głównie z PPS. Miał też kontakty z rosyjską emigracją polityczną, w tym z takimi radykałami jak anarchista i terrorysta Siergiej „Stepniak" Krawczyński. Razem zakładali organizację anarchistyczną, drukowali tajną bibułę i wysyłali ją do Rosji. To zapewne w tym środowisku Wojnicz poznał intrygującą kobietę, Irlandkę Ethel Lilian Boole, córkę znanego matematyka i logika, początkującą powieściopisarkę, zafascynowaną rosyjskimi rewolucjonistami i ich ideami. Po studiach muzycznych w Berlinie zaczęła interesować się także sprawami rosyjskimi i bywać w Rosji; nawiązała liczne kontakty w Petersburgu i w Moskwie. Gdy po dwóch latach pobytu w Rosji wróciła do Londynu, od razu zaczęła się obracać w środowisku rosyjskich działaczy.

Ethel Boole zostaje w 1893 r. żoną Michała Wojnicza i w ten sposób zaczynają oni nie tylko wspólną działalność polityczną, lecz także robią wspólne interesy – ona pisze książki już jako Ethel Voynich, a on je sprzedaje. W 1895 r. następuje zdarzenie, które miało ich odsunąć od działalności politycznej, przynajmniej w środowisku rosyjskim. Wstrząsa nimi śmierć „Stepniaka" Krawczyńskiego (rzekomo w wypadku samochodowym),

eprasa.pl bf9306b6ba

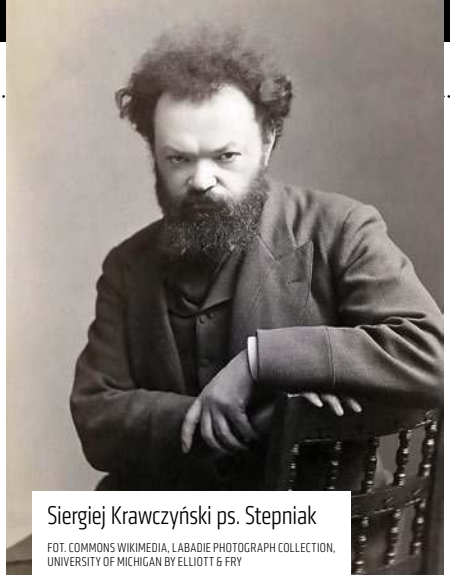
z którym byli zaprzyjaźnieni. W ówczesnym Londynie takie wypadki nie były przypadkowe... Wojniczowie wycofali się z rosyjskiej działalności rewolucyjnej, nawiązali natomiast bliższe kontakty ze środowiskiem polskiej konspiracji politycznej związanej z Polską Partią Socjalistyczną, która miała w Londynie swój oddział. Stało się to zapewne już w 1894 r, gdy Piłsudski po raz pierwszy odwiedził Londyn, organizując na Zachodzie konspiracyjną siatkę PPS. Jest niemal pewne, że widział się wtedy z Wojniczem (i zapewne z jego żoną), pamiętając o tym, że nie udało im się spotkać na Syberii.

Wojnicz musiał być w PPS człowiekiem zaufanym, bo gdy likwidowano oddział tej partii w Londynie, powierzono mu partyjne archiwum. Podobno Wojnicz miał też pośredniczyć w zorganizowaniu dyplomatycznego wyjazdu Piłsudskiego do Japonii w 1904 r. Przykrywką dla takiej roli Wojnicza miały była zapewne jego firma księgarska i działalność antykwaryczna.

Już wcześniej, w 1897 r., Ethel Voynich odniosła duży sukces wydawniczy za sprawą swej powieści „Szerszeń", co zapewniało niezależność finansową tego trwałego, jak się okazało, małżeństwa. Sukces pomógł również przedsiębiorstwu antykwarycznemu. Obrotny jak zawsze Wojnicz rozwijał sieć księgarń, w których zatrudniał Polaków, a także rozbudował zespół ludzi poszukujących dla niego zabytków w całej Europie. Przed pierwszą wojną światową małżonkowie przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie Wojnicz założył jeden z bardziej prestiżowych antykwariatów.

Skąd majątek?

Pomimo prowadzenia jawnej działalności Wojnicz nie przestał być postacią zagadkową. Rozwój jego firmy, kolejne sukcesy, majątek obliczany w Ameryce już na setki tysięcy (dziś miliony) dolarów – to wszystko zaczęło budzić różne podejrzenia i wątpliwości. Zastanawiano się, czy na handlu starodrukami i podobnymi zabytkami można rzeczywiście tak zarabiać. Czy może jednak tak duże pieniądze mają inne źródło? Już w Londynie przed wybuchem wojny pojawiły się



Siergiej Krawczyński ps. Stepniak

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LABADIE PHOTOGRAPH COLLECTION, UNIVERSITY OF MICHIGAN BY ELLIOTT & FRY

wątpliwości, czy nie jest on przypadkiem agentem rosyjskim. Zagadkowa ucieczka z Syberii przez pół Azji budziła podejrzenia, że mogła mu pomagać ochrana, która następnie umocowała go w Londynie (temat dla Conrada). Z tych też powodów małżonkowie wyjechali do Ameryki.

Powieść „Szerszeń" Ethel Voynich odniosła sukces i zwróciła na nią uwagę, która nie osłabła przez następne dziesięciolecia. Więcej – odbiła się niespodziewanym echem w kraju, którym dawniej się interesowała. Ale o tym za chwilę. Wcześniej, gdy już była znana, zaczęła budzić różne podejrzenia i domysły, podobnie jak mąż „Wilfryd" (jego pseudonim z pierwszej konspiracji). A nawet większe wątpliwości, bo on, uciekinier z Syberii, nie mógł być raczej agentem rosyjskim w Londynie, tymczasem ona po dwuletnim pobycie w Rosji z czystą zachodnią kartą była szczególnie wygodna dla budowania wpływów w środowiskach rosyjskich, a także wśród polskich rewolucjonistów i konspiratorów na Zachodzie. Trudno sobie wyobrazić, by jej osoba uszła uwadze carskiej ochrany.

Nagle po tym, jak pani Voynich odniosła sukcesy literackie, pojawia się w jej otoczeniu słynny później szpieg Sidney Reilly (właściwie Salomon Rosenblum). Człowiek pochodzący z Odessy, działający najpierw przeciw Rosji carów, później przeciw Rosji bolszewików (organizował m.in. ucieczkę Kiereńskiego z Rosji). W swej autobiografii wspominał, że gdy rezydował jeszcze w Petersburgu, poznał pisarkę Ethel Voynich, z którą odbywał podróże po Włoszech. Kto kogo werbował i w jaki sposób, pozostanie już chyba na zawsze tajemnicą. Ten niezwykle sprawny szpieg dał się jednak podejść służbom sowieckim, nie przewidział zastawionej na siebie prowokacji (operacja „Trust") i podobnie jak słynny „biały" terrorysta Borys Sawinkow (operacja „Syndykat") dał się namówić na przyjazd do Rosji bolszewickiej. Sawinkow zginął w 1924 r., Reilly stracił życie rok później. Nie wiadomo, czy Ethel Voynich też była kuszona (żyła bardzo długo, zmarła dopiero w 1960 r., przeżywszy męża o 30 lat).



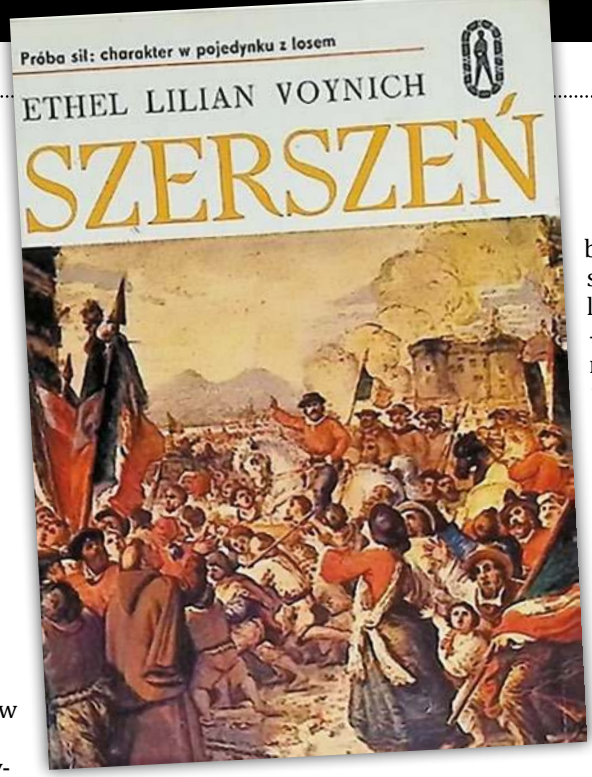
Ethel Voynich

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL BOOK LEAGUE

Ethel Voynich za sprawą swej powieści była bardzo popularna w kraju, który – jak mogła nawet szczerze w to wierzyć – stał się najbardziej rewolucyjny i postępowy na świecie. Jak wspominał Sybirak Stefan Juszczyński, który pozostał w Związku Sowieckim, była tam znana już w latach 30., natomiast jej prawdziwa sława wybuchła po drugiej wojnie światowej. Powieść „Szerszeń" stała się sztandarowym manifestem idei postępowych, lepszym od płodów propagandowego socrealizmu, bo sprytnie, wiarygodnie literacko skonstruowanym. Wydawano masowe nakłady powieści tej postępowej przedstawicielki Zachodu, powstały również na jej podstawie dwa filmy (w latach 1955 i 1980).

W PRL tak głośna książka także nie mogła przejść bez echa. Przekład polski opublikowany na początku lat 50. drukowano masowo w kilkunastu wydaniach aż do końca PRL. Pisarka Maria Dąbrowska, poruszona widać sławą żony Michała Wojnicza, zanotowała w swym dzienniku z 1955 r. wspomnienie o środowisku polskim w Londynie na początku XX w., gdzie przebywała krótko z mężem Marianem Dąbrowskim. W notatce tej, będącej reakcją na lekturę

eprasa.pl bf9306b6ba



sowieckiego pisma „Ogoniok", mieszają się emigracyjne wspomnienia z rozmaitymi podejrzeniami i plotkami na temat Wojniczów, które obiegały środowiska politycznej konspiracji na Zachodzie przed pierwszą wojną światową:

„W przysłanym z Moskwy »Ogońku«, którego nie czytam, bo jest niżej wszelkiego poziomu, zauważyłam w 14 numerze artykuł o L. Woyniczowej [sic!] i jej mężu. L. Woynicz, autorka popularnej powieści »Szerszeń«, i jej mąż zostali tam kreowani na prekursorów sowieckiego komunizmu, niemal na bohaterów Związku Radzieckiego avant la lettre. Woynicz według tego artykułu był Proletariatczykiem, a na emigracji pracownikiem księgarskim i inicjatorem różnych rosyjskich rewolucyjnych przedsięwzięć emigracyjnych.

Woyniczów osobiście nie znałam, choć mogłam ich była poznać, przebywając w 1913–14 w Londynie. Ale nie chciałam ich poznać, zdawali mi się parą podejrzanie zagadkową. Ona była wtedy starzejącą się damą [nie miała jeszcze 50 lat], zamieszkałą w luksusowej willi pod Londynem, bodajże w Richmond, gdzie hodowała równie jak ona ekscentryczne rośliny i zwierzaki. Marian, który do niej pojechał jako do autorki »Szerszenia«, wrócił rozczarowany i krytycznie ubawiony. Woynicz miał za sobą jakąś legendę o zesłaniu, z którego uciekł. Ale na emigracji zrobił wielki majątek. Był wielkim księgarzem-antykwariuszem, mającym sklepy po różnych stolicach Europy i w Ameryce. O żadnych stosunkach Woyniczów z rosyjskim ruchem rewolucyjnym czy w ogóle z rosyjską emigracją nic się wówczas nie słyszało, nie wiedziało i nie mówiło. Interesował się natomiast intensywnie polskim ruchem niepodległościowym.

W przededniu pierwszej wojny światowej rozeszła się sensacyjna wiadomość, że Woynicz jest tajnym agentem rosyjskiej policji politycznej. Ta wiadomość przeraziła Polaków, którzy uważali Woynicza za poczciwego bogacza-mecenasa, wspomagającego przebywających za granicą rodaków, zatrudniającego nawet ich w swoich sklepach. Przed moim przybyciem do Londynu pracowała u niego m.in. Iłłakowiczówna. Szpiegowską rolę Woynicza wykrył podobno Tytus Filipowicz, który Woyniczów znał, bo pani Woyniczowa jakoby się w nim kochała. Filipowicz przypłacił to chorobą nerwową czy też – jak mówiono – na żądanie ambasady rosyjskiej umieszczony został w zakładzie dla umysłowo chorych […]. W londyńskim okresie [Ethel Voynich] na pewno nie była ideową rewolucjonistką, a on na pewno nie był »pracownikiem księgarskim«".



Sidney Reilly

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Opinie o Wojniczach tuż przed wybuchem Wielkiej Wojny były, jak widać, skrajne. Na pewno nie byli oni już tymi ludźmi, co w końcu minionego stulecia – młodymi rewolucyjnymi zapaleńcami na progu nowego wieku i w przededniu własnej kariery i powodzenia. Podejrzenia o szpiegostwo, wynikające raczej z rzucającego się w oczy bogactwa, zdobywanego niby w nie tak intratnym, jak się mogło wydawać, przedsiębiorstwie, nurtowały także środowisko niepodległościowe PPS, jako że Wojnicz stał się jego archiwistą. W 1914 r. zarządzono wewnętrzne śledztwo w tej sprawie, które jednak niczego nie wykryło, o czym zaświadczył osobiście Witold Jodko-Narkiewicz.

Po wybuchu wojny wszystko to stało się nieaktualne i nie miało większego znaczenia. Czy rzeczywiście kryła się w tym wszystkim jakaś „tajemnica Wojnicza"? Można by to ostatecznie stwierdzić, zaglądając do rosyjskich archiwów, co nie będzie raczej możliwe w wyobrażalnym czasie.

Sława pośmiertna

Największe powodzenie i rozgłos małżeństwa Wojniczów przyszły dużo później, po dziesięcioleciach. Każdy z małżonków na swój sposób odniósł sukces. Żona jeszcze za życia i bez większych zasług (oprócz debiutanckiej powieści) zażywała sławy na sowieckim wschodzie Europy, i to dość bezinteresownie, bo w krajach określanych handlowym mianem „CoCom" nie respektowano praw autorskich, nie czerpała zatem żadnych zysków ze swojej popularności.

Z kolei jej mąż został odkryty po latach jako właściciel tajemniczego „manuskryptu Voynicha", którego, co ważne, nigdy się nie pozbył, mimo niewątpliwej wartości handlowej tegoż. Starał się go rozszyfrować, zatrudniając w tym celu najlepszych fachowców (później manuskrypt trafił, przekazany przez żonę i córkę, do biblioteki amerykańskiego uniwersytetu). Nawet jednak, gdyby tajemnica tego zabytku okazała się tylko pozorna, zawsze już będzie on nosił imię zagadkowego Sybiraka, konspiratora i rzutkiego biznesmena, który dorobił się za oceanem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Piotr Włoczyk z Tijuany

Pogranicze meksykańsko-amerykańskie od dekad było polem skomplikowanej gry między władzami a zdesperowanymi ludźmi, którzy chcieli się przedostać do bogatszego świata. Odkąd włączyły się do niej kartele narkotykowe, gra zamieniła się miejscami w istny horror



Schodzący do oceanu mur graniczny w Tijuanie

FOT. PIOTR WŁOCZYK

Wieki XX–XXI / Płoty, tunele i „migra”

„Kojot” na granicy śmierci

Wielki kolorowy napis postawiony pod palmami wita mnie słowami: „Tijuana. Tutaj zaczyna się ojczyzna”. Wszystko zależy jednak od perspektywy, bo równie dobrze Meksyk może się tutaj kończyć, szczególnie dla kogoś, kto przyjechał do Tijuany z południa. Pewne jest jedno: nie da się pójść już bardziej ani na północ – drogę zagradza mi słynny płot – ani na zachód – fale chłodnego o tej porze roku Pacyfiku niezbyt zachęcają do kąpieli. Przez niewielkie przerwy w wysokim na 9 metrów stalowym płocie można dostrzec wieżowce San Diego, ale widok przysłania nieco kolejna bariera, postawiona przez Amerykanów 20 metrów dalej na wypadek, gdyby komuś udało się jednak sforsować pierwszy, wchodzący w morze niemal na 100 metrów płot.

– Kiedyś ludzie rzucali się tu w morze i próbowali opłynąć barierę. Niektórym się to udawało. Ale teraz tu jest tyle czujników, kamer i służb, że nie ma już takiej opcji. W dwie minuty złapałaby cię „migra”. Zobacz, co tu widać na słupie – mówi stary Meksykanin, który sprzedaje na plaży przekąski, wskazując ręką na wysoki maszt naszpikowany kamerami i czujnikami. Dzięki temu „migra”, czyli amerykańska straż graniczna, może skutecznie kontrolować ten wrażliwy odcinek granicy.

Jednak cała ta elektronika na nic się zdaje, jeżeli meksykański kartel korzysta z doświadczenia górników. W reportażu stacji NBC News sprzed kilku miesięcy możemy zobaczyć, jak profesjonalnie wyglądał tunel, który kończył się w magazynie w Otay Mesa, dzielnicy San Diego, która przylega do granicy. W budowie takiej infrastruktury wyspecjalizował się kartel Sinaloa, kierowany przed laty przez słynnego Joaquína „El Chapo” Guzmána. Tunele zaczynające się i kończące w magazynach po dwóch stronach granicy to metoda dająca najlepszą gwarancję, że dany towar znajdzie się w USA – inne sposoby są bardziej zawodne.

Szok Nixon

Na płocie na plaży pełno jest malunków wzywających do tworzenia świata bez granic. Wśród nich wyróżnia się mural z czule całującymi się Trumpem i Bidenem, opatrzony napisem: „Zburzcie

eprasa.pl bf9306b6ba

ten mur!". Artysta, który go stworzył, wychodził najwyraźniej z przekonania, że nawet Joe Biden, tak oskarżany przez republikanów o zaniedbanie bezpieczeństwa na granicy z Meksykiem, był zbyt nieczuły, jeżeli chodzi o los migrantów.

A przecież miało być zupełnie inaczej. Dokładnie w tym miejscu pierwsza dama USA, Pat Nixon, otwierała 55 lat temu Park Przyjaźni, transgraniczny projekt, który miał symbolicznie zbliżyć do siebie dwa narody. Przy dźwiękach muzyki mariachi pani Nixon witała się ze zgromadzonymi tłumnie Meksykanami, podając im rękę przez dziury w płotku (ówczesna „bariera" była wysoka na ok. 1,5 metra i sforsowanie jej nie stanowiło większego problemu). Pierwsza dama była jednak zszokowana widokiem nawet tak mizernej konstrukcji i wypowiedziała w emocjach zdanie, które doskonale zapamiętali mieszkańcy Tijuany: „Mam nadzieję, że już niedługo nie będzie tu płotu". Jak można się domyślić po wysokości bariery, w tamtych czasach nielegalne przekraczanie granicy nie było jeszcze aż takim problemem.

O zmianach w naporze migracyjnym wiele mówią dane na temat liczby zatrzymań. Na początku lat 70., gdy pani Nixon otwierała Park Przyjaźni, na granicy USA – Meksyk zatrzymywano rocznie, według danych Białego Domu, ok. 200 tys. nielegalnych imigrantów. Tymczasem w trakcie kadencji Joe Bidena, czyli w szczycie kryzysu na granicy, gdy w kierunku USA ciągnęły istne karawany migrantów, zachęconych informacjami o faktycznej kapitulacji tamtejszej straży granicznej, rocznie dokonywano ponad 2 mln zatrzymań. Przy czym większość zatrzymanych zawracano – bez wyciągania żadnych konsekwencji – na terytorium Meksyku, przez co mogli oni po raz kolejny próbować szczęścia. Natomiast część – szczególnie rodziny z dziećmi – wpuszczano na terytorium USA, by na wolności oczekiwali na decyzję sądu. Donald Trump obiecywał w ostatniej kampanii, że ta liberalna polityka przejdzie do historii. I faktycznie tak się stało.

„Coyote"

Poprzedni duży skok w statystykach amerykańskiej straży granicznej miał



Mural przedstawiający prezydentów Trumpa i Bidena z napisem „Zburzcie ten mur"

FOT. PIOTR WŁOCZYK

miejsce w latach 90. XX w. W połowie tamtej dekady co roku dokonywano nawet 1,5 mln zatrzymań. Najbardziej „oblężony" był pod tym względem odcinek granicy w Tijuanie. Przykładowo w 1993 r. dokonano tam 0,5 mln zatrzymań. W następnym na tej liście teksańskim El Paso – niecałe 300 tys. Ówczesny prezydent Bill Clinton rozpoczął wtedy budowę bariery z prawdziwego zdarzenia. Początkowo powstała ona jedynie na tych odcinkach, które były najłatwiej dostępne dla ludzi planujących nielegalnie dostać się do USA – San Diego w Kalifornii, Nogales w Arizonie i El Paso w Teksasie. Były to jednak tylko punkciki na długiej na ponad 3 tys. km granicy. Po atakach z 11 września George W. Bush postarał się, by wydłużyć płot; za jego rządów wybudowano ok. 700 km bariery (obecnie liczy ona ok. 1100 km).

W miarę, jak przekraczanie granicy stawało się coraz trudniejsze, rosła rola „kojotów", czyli lokalnych przemytników, świetnie znających teren, którzy za opłatą przeprowadzali ludzi szukających w USA lepszego życia. Znalazło to swoje odbicie w kulturze. W znanej piosence Manu Chao „Welcome to Tijuana" usłyszymy słowa: „Con el coyote no hay aduana" („Z kojotem nie ma cła").

W mieście Meksyku poznałem José, pracownika taquerii, który 20 lat temu przeszedł z „kojotem" przez granicę i dostał się do Chicago, gdzie przez kilka lat był kucharzem. – To nie jest coś dla słabych ludzi. Idziesz w skwarze po bezludziu, wśród dzikich zwierząt, gdzie wszystko może się zdarzyć. I jeszcze musisz za to zapłacić kilka tysięcy dolarów! – mówił mi José. Ale to były jeszcze czasy, kiedy przekraczanie granicy było względnie bezpieczne, bo „kojoci" działali według „starych" zasad.

Tę różnicę wyjaśnia prof. Marco Alcocer, badacz działalności meksykańskich karteli, wykładowca University of California, Merced.

– Odkąd kartele w okolicach 2009/2010 r. położyły „łapę" na przemycie ludzi przez granicę, ten „biznes" również się zbrutalizował. Właściwie nie ma już „kojotów", którzy często prowadzili „biznesy rodzinne" i dbali o opinię wśród swoich klientów – powiedział „Historii Do Rzeczy" prof. Alcocer. – Usługi przeprowadzania migrantów przez granicę świadczone przez kartele stały się bardzo ryzykowne z powodu częstych wymuszeń, zamieniania migrantek w niewolnice seksualne, okradania,



Przez zakreskowany obszar przebiegały w l. 1996-2013 tunele pod granicą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CITY OF SAN DIEGO GEOGRAPHIC INFORMATION SYSTEM, RNIEDERS.

eprasa.pl bf9306b6ba



Z prawej strony: Tijuana, z lewej: terytorium USA i powstający mur, 2007 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SGT GORDON HYDE NGB. ARMY.MIL

a nawet mordowania ludzi chętnych do życia w USA. Kartele nie dbają o swoją reputację na granicy, tak jak dawni „kojoci".

Miliardowe zyski

Dziś, dzięki ogromnym środkom skierowanym przez administrację Trumpa na zabezpieczanie granicy, a także za sprawą bezpardonowego traktowania nielegalnych imigrantów, co zniechęca innych, liczba zatrzymań spadła o ponad 90 proc. w porównaniu z rządami Bidena, ale jednak wciąż da się przejść. Cena przerzutu osiągnęła jednak absurdalny poziom – teraz za taką usługę trzeba zapłacić „kojotowi", czyli tak naprawdę kartelowi, ok. 15 tys. dol. W ciągu ostatniej dekady ten „biznes" stał się dla meksykańskiej przestępczości zorganizowanej prawdziwą żyłą złota. Według danych agencji Homeland Security Investigations, o ile w 2018 r. kartele zarobiły na przemycie ludzi 0,5 mld dol., o tyle już cztery lata później było to 13 mld! I choć Trump może się dziś chwalić przed Amerykanami, że nielegalni imigranci przestali być palącym problemem, to jednak powstrzymanie przemytu narkotyków, szczególnie wyjątkowo niebezpiecznego fentanylu, jest zupełnie inną kwestią.

– Migrantom dużo ciężej jest dziś dostać się nielegalnie do USA, ale narkotyki wciąż płyną na północ szerokim strumieniem. Większość narkotyków trafia bowiem do Ameryki przez legalne przejścia graniczne, schowana w autach osobowych i ciężarówkach – wyjaśnia prof. Alcocer. – Według niektórych danych rządowych co najmniej 85 proc. narkotyków przechodzi przez oficjalne przejścia. Ponieważ ruch na granicy jest tak wielki, nie da się sprawdzać dokładnie wszystkich przejeżdżających. A naprawdę nie jest tak trudno schować w wielkiej ciężarówce małą paczkę narkotyków...

Ten problem doskonale widać na przejściu granicznym Tijuana – San Diego, gdzie tylko w stronę USA prowadzi 30 (!) pasów (w 2024 r. wjechało tędy do Ameryki 15 mln samochodów). Gdy stałem na tym przejściu w długiej kolejce ludzi, którzy do USA przechodzą na piechotę, podszedł do mnie mieszkaniec Tijuany, który powiedział, że nie muszę tak czekać kilka godzin, bo za 20 dol. od osoby może nas przewieźć w kilka minut na amerykańską stronę. Podkreślał, że kontrola jest błyskawiczna. Nie skorzystałem – kolejka pieszych szybko została rozładowana.



Panorama Tijuany

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, URBANER44

Fiesta na „Revo"

Tijuana w ostatnich latach wygrywała kilkakrotnie niechlubne rankingi najbardziej niebezpiecznych miast świata. Tuż przed pandemią wskaźnik zabójstw sięgnął w tym mieście aż 134 ofiar na 100 tys. mieszkańców (w Polsce wynosi on poniżej 1). Powodem jest oczywiście bliskość granicy i wielkiego przejścia (największego w obu Amerykach), co sprawia, że kartele toczą o ten teren prawdziwe wojny.

Fala mordów, która rozlała się po całym Meksyku po 2006 r., gdy ówczesny prezydent Felipe Calderón wypowiedział kartelom wojnę, nie odstrasza jednak tłumów Amerykanów, którzy przy słynnej tijuańskiej Avenida Revolución – znanej też po prostu jako „Revo" – szukają dobrej zabawy w barach i dyskotekach, tanich leków w dziesiątkach tamtejszych aptek, a także przystępnych usług medycznych w przeróżnych przychodniach i gabinetach.

Eduardo, taksówkarz z Tijuany, wiozący mnie z plaży w kierunku centrum, opowiadał o życiu w cieniu muru. – Kiedyś widziało się, jak ludzie przeskakują przez barierę. Nie było z tym większych problemów. Amerykanie mieli za mało „migry" – mówił Eduardo. – Ale teraz to już historia, już się tak nie da, bo szybko cię złapią. Jeżeli chcesz próbować szczęścia, to musisz go szukać gdzieś daleko na pustyni, gdzie nie ma ludzi i ten mur jest gorzej zabezpieczony.

Według danych U.S. Customs and Border Protection w latach 1998–2020 podczas nielegalnego przekraczania granicy życie straciło 8050 osób. Oczywiście jest to liczba oficjalna, obejmująca jednie te ofiary, które udało się władzom znaleźć. W rzeczywistości musiało ich być o wiele więcej.

W 2019 r., podczas wizyty w pasie przygranicznym w południowym Teksasie, Donald Trump z rozbrajającą szczero-

eprasa.pl bf9306b6ba



Upamiętnienie zabitych w kolejnych latach w związku z nielegalnym przekroczeniem granicy w Tijuanie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TOMAS CASTELAZO

ścią przyznał, że zdumiało go to, co usłyszał od strażników granicznych.

„Nie miałem o tym pojęcia. Nikt nie wie, jak źle tu jest – powiedział Trump reporterom. – Wielu, wielu ludzi tu ginie. To mnie bardzo zaskoczyło".

„Koszmarny dom"

Media donosiły, że w szczycie kryzysu na granicy kartele narkotykowe wyposażały migrantów w specjalne opaski na ręce, dzięki czemu wiadomo było, kto jest w grupie którego „kojota", a także gdzie dokładnie ma trafić. „Agustín", „kojot", z którym rozmawiała Al-Dżazira, opowiadał, jak zmieniła się sytuacja od początku drugiej kadencji Trumpa: „Możemy ich przerzucić na drugą stronę, ale ludzie boją się teraz, że jak już się przedostaną, to nie znajdą pracy albo zostaną zatrzymani, zanim uda im się spłacić dług za przerzucenie. Uważają to obecnie za złą inwestycję, bo jeżeli zostaną deportowani, to wszystko stracą". Jak podkreślał „kojot", obrazy, które docierają z USA, przestraszyły migrantów.

Bardziej przerażają jednak historie, które pokazują, jak kartele potrafią traktować ludzi szukających w USA lepszego życia. „Agustín" wspomniał, że po przekroczeniu granicy niektórzy migranci spłacają kartelom dług za przerzucenie. Problem w tym, że czasem poziom zadłużenia potrafi nagle wzrosnąć… Wiele mogłyby na ten temat powiedzieć ofiary tzw. koszmarnego domu z teksańskiego Carrizo Springs, oddalonego o ok. 30 km od granicznej Rio Grande. Bandyci powiązani z kartelem Los Zetas przetrzymywali tam migrantów, których „kojoci" przerzucali na drugą stronę rzeki, a następnie dowozili autami do Carrizo Springs. Ofiary były torturowane, by ich rodziny zapłaciły więcej pieniędzy. Sprawa wyszła na jaw, gdy mieszkający w Maryland przybrany syn Moisesa Ferrery, migranta z Hondurasu, zawiadomił władze, że bandyci biją jego ojca młotkiem po rękach, żeby wyłudzić kilka tysięcy dolarów. Po wejściu na teren posesji policjanci odkryli, że przetrzymywano tam kilkuset migrantów, których torturowano, natomiast kobiety były dodatkowo gwałcone.

„Korporacyjne" myślenie szefostwa karteli, które starało się umasowić przemyt ludzi, kilka razy dało o sobie znać w tragiczny sposób, gdy władze znajdowały ciężarówki pełne martwych migrantów. Czasem bowiem kierowcy pracujący dla karteli nie zadali sobie nawet trudu, by upewnić się, że ich pasażerowie mają czym oddychać w czasie upałów… Najbardziej tragiczny przypadek miał miejsce w 2022 r., gdy policja znalazła 53 ciała uduszonych ludzi – 47 dorosłych i sześciorga dzieci – w ciężarówce zaparkowanej w teksańskim San Antonio.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

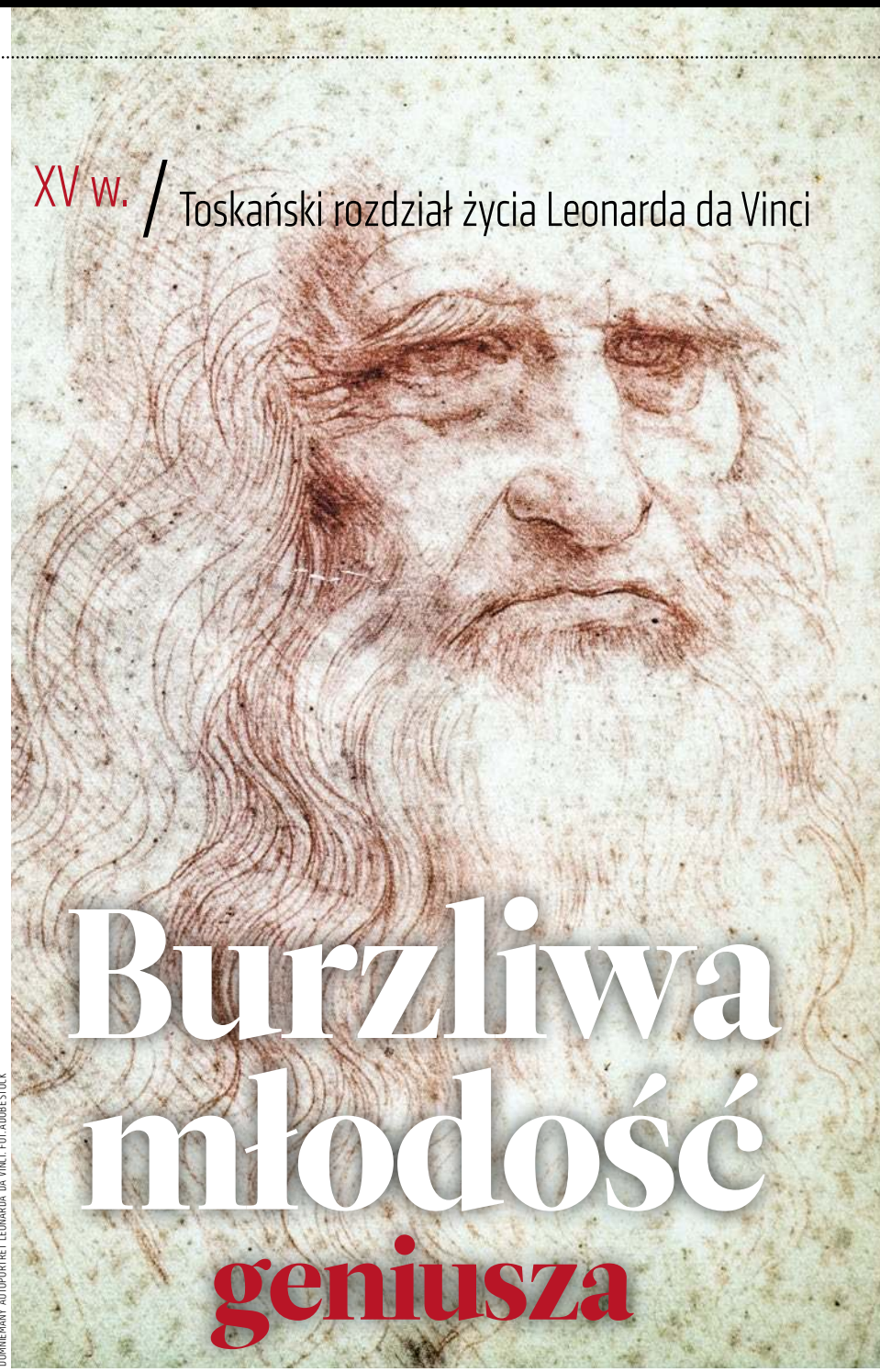
REKLAMA



eprasa.pl bf9306b6ba

XV w. / Toskański rozdział życia Leonarda da Vinci

Burzliwa młodość geniusza



DOMNIEMANY AUTOPORTRET LEONARDA DA VINCI. FOT. ADOBESTOCK



Sławomir Koper

Wydawać się mogło, że wielka kariera stoi otworem przed młodym da Vinci. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie

Właściwie nie wiadomo, kiedy dokładnie narodził się renesans. Tak bywa z wielkimi epokami historycznymi, że żadna z nich nie rozpoczęła się ani nie zakończyła się jednego dnia. Wprawdzie historycy podają umowne daty oznaczające koniec antyku czy średniowiecza, ale nawet oni nie potrafią określić jednego, konkretnego roku. Część badaczy twierdzi, że jako początek renesansu należy przyjąć datę zdobycia Konstantynopola przez Turków (1453), inni – że pierwszą wyprawę Kolumba do Ameryki (1492). W rzeczywistości był to jednak proces bardzo złożony, którego ówcześni zupełnie nie dostrzegali. Dla nich wciąż trwała epoka, w której żyli i której nawet nie potrafili nazwać, gdyż określenia dzisiaj używane mają o wiele późniejszy rodowód. Zachodzące wówczas procesy były kompletnie niedostrzegalne dla przeciętnego człowieka.

Wiadomo jednak, że renesans narodził się w Italii, a dokładnie we Florencji. To przecież z tego miasta pochodzili Dante Alighieri i Francesco Petrarca, a Giovanni Boccaccio spędził tutaj znaczną część życia. Także w sztuce przodowało to miasto nad Arno, gdyż tutaj powstawały najlepsze dzieła Cimabuego i Giotta. Było to jednak jeszcze malarstwo gotyckie i nikt nie zdawał sobie sprawy z faktu, że właśnie rodziła się nowa epoka.

Raczej nieprzypadkowo Toskania dwa razy stanęła na czele wielkiego odrodzenia kultury na Półwyspie Apenińskim. Po raz pierwszy doszło do tego za sprawą Etrusków, którzy stworzyli wielką cywilizację Italii. Po raz drugi po prawie dwóch tysiącach lat, gdy z tego regionu wyszedł impuls, dzięki któremu narodził się renesans. Czy w innym miejscu byłoby to możliwe? Czy zadecydowały o tym toskańskie krajobrazy, klimat i tutejsze słońce? Pogoda była tu bardziej odpowiednia dla artystów niż „ciężkie powietrze Kampanii", a mniej surowa niż w regionach leżących dalej na północ. Nie bez powodu Michał Anioł twierdził, że zawdzięcza „wszystkie walory swojego talentu ożywczemu powietrzu, jakim oddycha" w Toskanii.

Florencja była wówczas czwartym pod względem wielkości miastem Europy (za Mediolanem, Wenecją i Paryżem). Miesz-

eprasa.pl bf9306b6ba

kańcy bogacili się dzięki przemysłowi tekstylnemu i handlowi, a jednocześnie miasto stało się centrum kredytowym zachodniej Europy. Florencja biła też najmocniejszą walutę ówczesnej Europy; złoty floren zawierał 3,5 grama złota i stał się wzorem dla innych państw.

Notariusz i chłopka

Michał Anioł mógł się urodzić poza Florencją, ale to nad Arno zdobył sławę. Było to najbogatsze miasto regionu, a jednocześnie panował tam klimat sprzyjający rozwojowi sztuki. Dużo w tym zasługi najzamożniejszych obywateli miasta, Medyceuszy, którzy przeznaczali ogromne sumy na promocję artystów i ich dzieł. Z jednej strony był to element uświetniający ich nazwisko, a z drugiej – znakomita lokata kapitału. Przy okazji jednak wielokrotnie mieli oni okazję przekonać się, że mecenat nie jest najłatwiejszym zadaniem.

Artyści z reguły mają bowiem trudne charaktery, a twórcy epoki renesansu szczególnie w tym celowali. Filippo Brunelleschi uchodził za furiata i zazdrośnika, który znaczną część swojego czasu poświęcał na tworzenie złośliwych wierszy o swoich przeciwnikach (wysyłał je im anonimowo). Podobnie było z Donatem di Niccolò di Betto Bardi, zwanym Donatellem, ale trudny charakter miał również Leonardo da Vinci, którego uważa się za prawdziwego człowieka renesansu. Osiągał on sukcesy w każdej dziedzinie, którą się zajmował, był bowiem doskonałym: malarzem, architektem, inżynierem, wynalazcą, matematykiem, anatomem. Do tego zajmował się także: geologią, filozofią, muzyką, a jakby tego było mało, to także literaturą. Obok poważnych traktatów naukowych pisał również utwory o znacznie lżejszym charakterze.

Pochodził z okolic miasteczka Vinci znajdującego się niewiele ponad 30 km na zachód od Florencji (obecnie liczy ono ok. 13 tys. mieszkańców). To niezwykle urokliwa miejscowość, rozłożona wysoko wśród malowniczych wzgórz i gajów oliwnych. Na jej obrzeżach znajduje się wioska Anchiano, gdzie w połowie kwietnia 1452 r. na świat przyszedł przyszły geniusz.



Panorama miasteczka Vinci FOT. ADOBE STOCK

Leonardo urodził się jako nieślubny syn notariusza Piera da Vinci i 16-letniej Cateriny Lippi. Matka była pochodzenia chłopskiego i nie wchodziło w rachubę, by zamożny obywatel wywodzący się z rodziny, gdzie od pokoleń przekazywano sobie zawód notariusza, zdecydował się na mezalians. Ojciec uznał jednak potomka, chociaż odesłał go na wychowanie do swoich rodziców. Sam natomiast postanowił się ożenić z panną ze swoich sfer (robił to aż czterokrotnie, a jego wybrankami zawsze były córki notariuszy). W efekcie Leonardo miał 12 rodzeństwa, w tym aż 10 braci, z których jednak żaden nie zapisał się w dziejach. Podobnie jak przyrodnie rodzeństwo ze strony matki, gdyż Caterina wyszła za mąż za wypalacza wapna i doczekała się pięciorga potomków.

Ciekawostką pozostaje fakt, że wśród ludzi nieprawego pochodzenia było wielu wybitnie uzdolnionych. Nie chodzi o bastardów królewskich, ale o osoby, które ze względu na swoje pochodzenie musiały pokonywać dodatkowe trudności, by osiągnąć sukces. Być może właśnie to było jego przyczyną, gdyż zaprawiało w przekraczaniu barier, które nie istniały dla osób legalnie urodzonych. Niewykluczone, że tak stało się również w przypadku Leonarda.

Miasteczko Vinci

Dom, w którym Leonardo spędził pierwsze lata życia, nie sprawia zbyt oszałamiającego wrażenia. Budynek powstał z szarego kamienia i pozostawał w rękach rodziny Vinci aż do 1950 r., gdy został przekazany na rzecz miejscowej gminy. Od tego czasu dwukrotnie przeprowadzono jego renowację. Wewnątrz znajduje się kilka pomieszczeń, w których stworzono audiowizualną prezentację dotyczącą życia i dzieł Leonarda.

W sąsiednim budynku można natomiast zobaczyć znakomitą reprodukcję „Ostatniej wieczerzy" oraz zapoznać się z filmem na temat fresków z bitwy pod Anghiari. Obraz miał uświetnić Salę Wielkiej Rady w Palazzo Vecchio we Florencji. Co ciekawe, na przeciwległej ścianie tego samego pomieszczenia własny fresk miał namalować Michał Anioł Buonarroti („Bitwa pod Casciną"). Pomimo znacznej różnicy wieku między artystami cała Florencja emocjonowała się tą rywalizacją. Ostatecznie nic z tego nie wyszło; Leonardo nie ukończył pracy, ponieważ nie sprawdziła się opracowana przez niego nowatorska technika nakładania farb. Materiał spływał ze ściany i nic nie pomagały próby suszenia za pomocą palenisk. Michał Anioł zresztą również nie dokończył swojego fresku, gdyż papież wezwał go do Rzymu.

Inaczej wyglądała sprawa z „Ostatnią wieczerzą", ale ci, którzy oglądają ją w refektarzu klasztoru dominikanów przy bazylice Santa Maria delle Grazie w Mediolanie, powinni pamiętać, że raczej nie jest to już dzieło Leonarda. W wyniku wielu rekonstrukcji, renowacji i poprawek tak naprawdę nie zachował się już żaden fragment wykonany ręką mistrza. Mamy zatem do czynienia z rodzajem kopii lub „wariacji na temat oryginału".

Podobno jego talent został odkryty zupełnie przypadkowo. Leonardo od najmłodszych lat uwielbiał rysować

eprasa.pl bf9306b6ba



Andrea del Verrocchio, ze współudziałem Leonarda da Vinci, „Chrzest Chrystusa”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UFFIZI

i ojciec uznał, że warto sprawdzić, czy chłopak ma talent. Zaniósł rysunki do rzeźbiarza i malarza Andrei del Verrocchia, z którym był zaprzyjaźniony, i poprosił o ocenę.

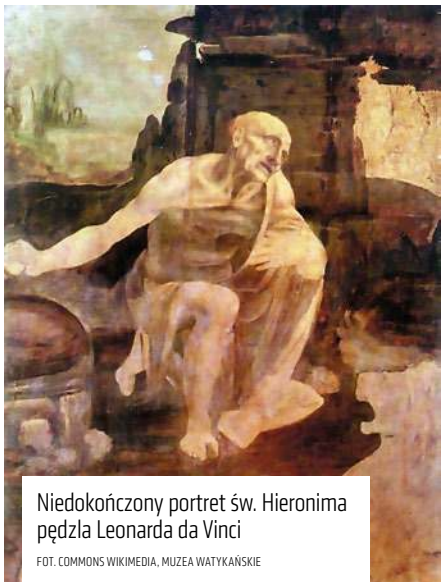
„Verocchio był zdumiony niezwykłymi początkami – relacjonował Giorgio Vasari – jakie zobaczył i nastawał na pana Piotra, ażeby syn zgłosił się do niego. Ojciec skierował potem Leonarda do pracowni Verocchia, dokąd Leonardo udał się bardzo chętnie i zyskał zawód, ucząc się w każdej z tych sztuk, dla których rysunek jest podstawą”.

Leonardo trafił do pracowni Verocchia w wieku 14 lat, a w 1472 r. został przyjęty do cechu malarzy. Wiadomo jednak, że przebywał w domu swojego nauczyciela jeszcze cztery lata później. Warto też zauważyć, że razem z nim u Verocchia kształcił się też Sandro Botticelli i obaj pomagali swojemu mistrzowi przy pracy nad „Chrztem Chrystusa”. To pierwszy zachowany fragment malarstwa da Vinci (jego autorstwa jest anioł po prawej stronie; drugiego namalował Botticelli).

Leonardo był również autorem części krajobrazu zlokalizowanego po lewej stronie malowidła. Była to zapowiedź zupełnie nowej epoki w sztukach plastycznych. Verocchio był bardziej szczegółowy i konkretny, natomiast da Vinci większą wagę przykładał do światłocienia, wyznając zasadę, że jego subtelną grą można wyrazić o wiele więcej. W rzeczywistości było to zderzenie dawnego stylu z pełnym renesansem, którego wyrazicielem miał zostać Leonardo. Doskonale zrozumiał to jego nauczyciel i doszedł do wniosku, że jego czas jako malarza się skończył. Od tej pory miał zajmować się już tylko rzeźbą.

Gwałt

Wydawać się mogło, że wielka kariera stoi przed młodym da Vinci otworem. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie. Nieznani sprawcy zgwałcili chłopca o imieniu Jacopo Saltarelli i jednym z oskarżonych został Leonardo. Sprawa była bardzo poważna, wprawdzie na pederastię nie zwracano większej uwagi, ale gwałt homoseksualny podlegał karze śmierci. Ostatecznie oskarżonych uniewinniono, jednak cała sprawa miała fatalne skutki dla młodego artysty. Zaczął mieć problemy psychiczne, nie kończył zleceń, uciekał w świat doświadczeń i wynalazków, a w mieście zaczęto uważać, że wypalił się, zanim jeszcze na dobre rozpoczął właściwą karierę.



Niedokończony portret św. Hieronima pędzla Leonarda da Vinci

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEA WATYKAŃSKIE

Inna sprawa, że homoseksualizm był w tym czasie we Florencji tolerowany. Pederastami była niemała część największych mistrzów sztuki, więc postępowanie władz miejskich cechował pragmatyzm. Nie można było przecież prześladować lub wygnać z miasta największych artystów, więc temat ignorowano. Zdawano sobie też sprawę z faktu, że na rozwój homoseksualizmu wpływ miały ówczesne obyczaje rodzinne. Panna młoda powinna była zachować dziewictwo do ślubu, więc pederastia tak się rozwinęła, że we Włoszech nazywano ją nawet „występkiem florenckim”.

Władze miasta uznały to jednak za zagrożenie dla obronności grodu i zadecydowano o otwarciu licencjonowanych domów publicznych. Prostytutki miały nosić odpowiednie stroje, zakładać na włosy małe dzwoneczki i unikać najważniejszych kościołów. Rynek usług seksualnych rozwijał się tak dynamicznie, że w XVI w. jedna prostytutka przypadała na 300 mieszkańców! Ale tak bywa z prawami wolnego rynku – jeżeli był popyt, to była też podaż.

Dwie Madonny

Wśród rozpoczętych, ale nigdy niedokończonych dzieł Leonarda z tego okresu są dwie znakomite pozycje: „Pokłon trzech króli” i „Święty Hieronim”. Można tylko żałować, że nigdy nie poznaliśmy końcowych wersji tych obrazów. Być może zresztą losy ich autora potoczyłyby się inaczej, gdyby nie sprawa o gwałt.

Inna sprawa, że Leonardo był wyjątkowo kapryśnym twórcą, a złośliwi twierdzili, że potrafił całymi latami malować jedną deskę. Wynikało to m.in. ze wszechstronności jego zainteresowań, gdyż zawsze coś nowego odrywało go od pracy. Poza tym był perfekcjonistą i gdy malował rękę czy nogę, od razu zaczynał studia anatomiczne, które z reguły trwały wiele tygodni. Do tego łatwo tracił zapał i gdy coś przestało go interesować, to

eprasa.pl bf9306b6ba

zwyczajnie porzucał dany projekt. Nie przejmował się też specjalnie wymaganiami zleceniodawców, co miało doprowadzić do sprawy sądowej z Bractwem Niepokalanego Poczęcia w Mediolanie. W efekcie genialny artysta musiał jeden z obrazów namalować ponownie i dzięki temu obecnie mamy dwie „Madonny w grocie". Jedna z nich znajduje się w zbiorach Luwru, a drugą można obejrzeć w National Gallery w Londynie. I chociaż badacze wyżej cenią tę z Paryża, to są też ludzie (łącznie z autorem tego artykułu) mający słabość do wersji londyńskiej. Być może decyduje indywidualne wrażenie; zwykle ciekawsze będzie dla nas to dzieło, które zobaczymy jako pierwsze.

We florenckim okresie biografii Leonardowi zdarzyło się wziąć udział w jednym z najbardziej makabrycznych zamówień artystycznych epoki. W kwietniu 1478 r. w mieście nad Arno doszło do tzw. spisku Pazzich mającego na celu odsunięcie Medyceuszy od władzy. Podczas Mszy w katedrze (!) zamordowano Juliana de' Mediciego, a jego starszy brat, Wawrzyniec, zwany później Wspaniałym, z trudem uszedł z życiem. Bunt został stłumiony, a spiskowcy zawiśli w oknach Palazzo Vecchio (siedziby władz miasta). Ocalały z zamachu Wawrzyniec zareagował, jak na wielbiciela sztuki przystało. Za 40 florenów Sandro Botticelli miał namalować na murze przy bocznej fasadzie ratusza fresk przedstawiający te krwawe wydarzenia. Zgodnie z ówczesnymi obyczajami miał on ukazywać realistyczne wizerunki spiskowców. Straceni mieli mieć założone pętle na szyjach, a Bernardo Bandini, zabójca Juliana, któremu udało się zbiec, miał zostać przedstawiony powieszony za stopę. Planowano, że pod każdym z wisielców będzie zamieszczony dwuwiersz napisany specjalnie przez Wawrzyńca, który był zdolnym poetą.

Botticelli w trzy miesiące wywiązał się z zadania, ale niebawem w jego dzieło wkroczyła polityka. Na żądanie papieża postać uczestnika spisku, abp. Francesca Salviatiego Silvestriego trzeba było zamalować. Bandini natomiast wpadł w ręce Medyceuszy i został powieszony, więc jego wizerunek należało przemalować. Botticelli nie mógł się z tego zadania wywiązać, więc zlecono je młodemu Leonardo da Vinci. W ten niecodzienny sposób powstało jedyne wspólne dzieło da Vinci i Botticellego (makabryczny fresk przetrwał do końca rządów Medyceuszy we Florencji).



Leonardo da Vinci, „Madonna w grocie"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LUWR



Powieszony Bernardo Bandini. Rysunek Leonarda da Vinci
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSÉE BONNAT-HELLEU W BAJONNIE

Gdy zbliżał się do 40. roku życia, jego sytuacja we Florencji nie była najciekawsza. Zaczęto go powszechnie uważać za człowieka niepoważnego

Do Mediolanu!

Już w czasach florenckich Leonardo interesował się wynalazkami z dziedziny inżynierii, ale warto pamiętać, że odtwarzane obecnie modele jego wynalazków powstały na bazie rysunków i szkiców mistrza, gdyż ich autor nigdy nie sprawdził swoich pomysłów w praktyce. Część projektów zawiera zresztą ewidentne błędy, aczkolwiek obrońcy Leonarda twierdzą, że popełnił je świadomie, by nikt nie ukradł mu pomysłów. Jak było naprawdę? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy.

Inna sprawa, że życiorys da Vinci obrósł tyloma legendami, że trudno czasami odróżnić prawdę od zmyślenia. Twierdzono np., że mistrz specjalnie pisał od prawej strony do lewej, by utrudnić odczytanie jego notatek. Wydaje się jednak, że był to normalny odruch u mańkuta, który nie chciał rozmazywać atramentu, używając lewej ręki (Leonardo miał obie ręce tak samo sprawne, ale preferował pisanie lewą ręką).

Gdy zbliżał się do 40. roku życia, jego sytuacja we Florencji nie była najciekawsza. Zaczęto go powszechnie uważać za człowieka niepoważnego, który nie dotrzymuje terminów, nie kończy zamówień i nie szanuje klientów. W tej sytuacji wybawieniem stało się dla Leonardo da Vinci zaproszenie do Mediolanu na dwór księcia Ludovica II Moro. Niebawem też miały powstać najwybitniejsze dzieła mistrza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



1909–1988 / Józef Łobodowski

Wiersze pisane prozą

FOT. NAC



Krzysztof Masłoń

Dwie jego potężne trylogie stanowią ważną i wartościową część XX-wiecznej literatury polskiej

O Józefie Łobodowskim (1909–1988) wiemy zaskakująco mało, co dotyczy i jego życia, i twórczości. O ile doceniane są jego osiągnięcia poetyckie, pamiętana jest publicystyka, o tyle bardzo rzadko wspominany bywa jako prozaik, a przecież dwie jego potężne trylogie stanowią ważną i wartościową część XX-wiecznej literatury polskiej. Przylgnęła jednak do pisarza lekceważąca opinia, jakoby jego powieści nie dorównywały wierszom, a pod względem artystycznym pozostawiają wiele do życzenia. Jest to równie fałszywy sąd, jak ten, który przylgnął do Stefana Kisielewskiego, rzekomo genialnego felietonisty, marnego jednak powieściopisarza. A, przypomnę, te „marne" powieści Kisiela to m.in. „Sprzysiężenie" czy wydawane pod pseudonimem Tomasz Staliński „Widziane z góry" i „Cienie w pieczarze".

Nawiasem mówiąc, Łobodowski i Kisielewski starli się ze sobą w… eterze. Irena Szypowska w swojej książce o tym pierwszym opowiada, jak „Łobodowski ogłosił w Radiu Madryt list słuchaczy z Górnego Śląska, którzy żalili się, że poseł Kisielewski nie wykonał swoich obietnic przedwyborczych. »Kisiel zdenerwował się – wspominał Józef Łobodowski. – Oświadczył, że chociaż wie o uprawianiu przeze mnie boksu przed wojną, «chętnie zbiłby mi pysk», a nie uczynił tego wyłącznie z tego powodu, że «dzielą nas ośnieżone Pireneje». Odpowiedziałem mu – ciągle drogą radiową – że Pireneje nie powinny stanowić przeszkody, możemy umówić się w Paryżu. Niestety, ta skromna propozycja nie została przez Kisiela uwzględniona«. O pojedynku, który mają stoczyć dwaj starsi panowie, długo jednak mówiono".

Tak naprawdę bohaterów tej historii łączyło bardzo wiele, z cholerycznym temperamentem na czele. Józef Łobodowski, jako „człowiek gwałtowny" – jak sam nazwał siebie w swoich wspomnieniach – w wierszu „Dedykacja" pisał: „Ja jestem z tych, co wiersze tylko za połowę życia biorą, a później skaczą ku dzikich koni grzywom".

Stosunkowo nieźle znamy, dzięki licznym wspomnieniom, także samego pisarza, lata jego młodości i cały okres przedwojenny. Z wielu powodów, głównie cenzuralnych, słabo rozpoznana jest dalsza część jego życiorysu. A wyglądał on tak, jak w skrócie ujął tę część biografii autora „Komyszy" Jacek Trznadel:

„Zmobilizowany w 1939 roku, poeta bierze udział w walkach, a następnie z żołnierzami swojej jednostki, 19 września przekracza granicę węgierską, by nigdy już do kraju nie powrócić. Internowany na Węgrzech uciekł z wojskowego obozu, przedostał się do Francji (aresztowany tam w 1940). Od 1941 do 1943 roku przebywał w więzieniu hiszpańskim, w którym znalazł się jako jeden z wielu Polaków zatrzymanych – po nielegalnym przekroczeniu granicy hiszpańsko-francuskiej, po upadku Francji – w drodze do polskich sił zbrojnych, na terenach jeszcze nieopanowanych przez Niemców.

eprasa.pl bf9306b6ba

Potem do śmierci mieszkał w Hiszpanii, w Madrycie. Na emigracji publikował swoje kolejne tomy wierszy i powieści, wypowiadał się na łamach czasopism emigracyjnych (stałe rubryki między innymi w londyńskich »Wiadomościach« i »Orle Białym«, stale współpracował z paryską »Kulturą«). Przekładał twórczość dysydentów rosyjskich i ukraińskich. Uczestniczył także przez wiele lat (1949–1975) w emisjach polskich audycji Radia Madryt (Radio Nacional de Espana). Jako publicysta odegrał wybitną rolę w walce z komunizmem".

Krytyka krajowe milczała o nim tak jak o Józefie Mackiewiczu. A gdy przypominano sobie o nim, to najczęściej w takiej tonacji, z takimi fałszerstwami i epitetami, jakich użył postrzegany dziś jako prawie apolityczny pisarz, znawca i wielbiciel Galicji, autor „Lekcji martwego języka" – Andrzej Kuśniewicz. W 1956 r. w „Biuletynie Rozgłośni Kraj" ocenił on Łobodowskiego jednoznacznie: „Ten ekskomunista, fałszywy potomek atamanów (urodził się na Białorusi), w marzeniach syn dziedzica (ojciec jego był urzędnikiem) jest jedynie byłym sanacyjnym agentem i faszystą".

Na szczęście nie była to opinia powszechnie obowiązująca. Świetną, choć niekoniecznie prawdziwą historię związaną z powojenną aktywnością autora odnotowała w swoich „Dziennikach" Maria Dąbrowska: „Słyszałam charakterystyczną anegdotkę opowiedzianą przez Jana Kotta (człowieka partii i jednego z filarów umysłowych ustroju). Na jakimś odczycie w Żaganiu czy w innym miasteczku w dyskusji ktoś ze słuchaczy zapytał, co dzieje się z poetą Łobodowskim. »Przypadkiem wiem – odpowiedział Kott. – Jest w Hiszpanii Frankistowskiej i przez radio wygłasza paszkwil na Polskę demokratyczną«. Na to w sali odezwały się dwa głosy, pytając: »O której godzinie?«".

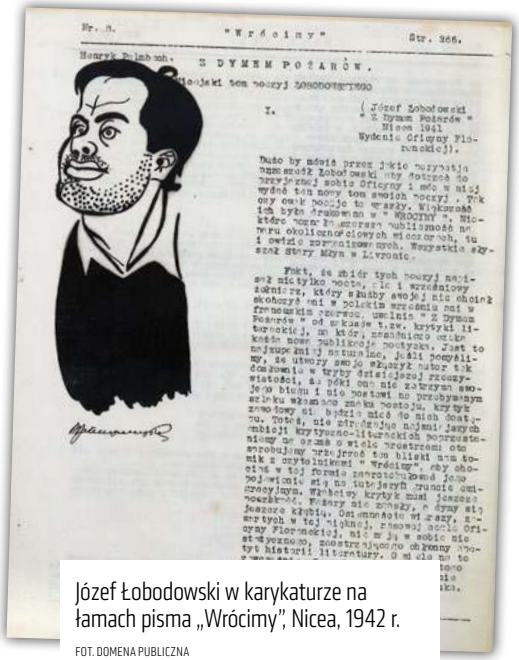
Utracone centrum

Jako prozaik zapisał się Józef Łobodowski w historii dwoma cyklami powieściowymi. Pierwszy, wzorowany na dziele Sienkiewicza, rozpoczął w 1955 r. tom „Komysze" (następne tomy to „W stanicy" z 1958 r. i „Droga powrotna" – 1960 r.). Rzecz opowiada o latach wojny i rewolucji w Rosji, a główny bohater Staś Majewski bardzo przypomina autora. „W cyklu doszukać się łatwo wpływów »Trylogii« i »W pustyni i w puszczy«, A. Tołstoja i Szołochowa – a w opisie »roku ukraińskiego« nawet »Chłopów« Reymonta – wyrokowała Maria Danilewicz-Zielińska w »Szkicach o literaturze emigracyjnej«. – Powieść przeładowana jest tanim erotyzmem i jaskrawymi opisami bez wartości artystycznej". Opinia to wielce krzywdząca; powieści Łobodowskiego, choć – jak ktoś się uprze – dalekie od maestrii, cieszyły się na emigracji ogromnym powodzeniem i szkoda, że do niedawna (do roku 2017) w kraju były niemal zupełnie nieznane.

Drugi cykl Łobodowskiego – „lubelski" – składa się z równie lub jeszcze bardziej nasyconych autobiografizmem powieści: „Czerwona wiosna" – 1965, „Terminatorzy rewolucji" – 1966, „Nożyce Dalili" – 1968, „Rzeka graniczna" – 1970. „Łobodowski – pisała Irena Szypowska – nie miał ambicji tworzenia powieści awangardowej, w wysłużony schemat wprowadził jednak żywe postaci, stworzył znakomite sceny rodzajowe, rozgrywające się w wiernie zarysowanej topografii Lublina i okolic, brawurowo poprowadził akcję, a o losach bohatera opowiedział zajmująco i z dużą dozą humoru".

Justyna Miodońska, która ostatnio oddała sprawiedliwość dokonaniom prozatorskim Józefa Łobodowskiego, tak streściła tę tetralogię zatytułowaną „Dzieje Józefa Zakrzewskiego": „Bohaterem tej prozy jest młody, szczery, naiwny Józef, uczeń w teatrze amatorskim. Chłopak redaguje też własne pismo, przyjaźni się z poetą. Gorące pragnienie zmiany świata dostrzegają w nim komuniści i próbują nakłonić go do wstąpienia do partii. Bohater zatraca się w życiu pełnym alkoholu i kobiet, ale szczególne miejsce w jego sercu zajmuje Bronka Chruścielówna, która szczerze wierzy, że okres ten szybko się skończy. Stopniowo Józef zaczyna dostrzegać antypolską politykę Moskwy, w czym duży udział ma wizyta komunistycznego towarzysza przybywającego z Wołynia".

W krytycznoliterackiej analizie dr Miodońskiej pierwszoplanową rolę odgrywa jednak pierwszy z cyklów Łobodowskiego. Opublikowany w „Nowym Napisie" fragment jej pracy doktorskiej nosi tytuł: „Trylogia ukraińska jako dążenie do utraconego centrum". W tym „przyczynku do refleksji o micie wielkiej całości w prozie Józefa Łobodowskiego" niczym mantra powtarzają się porównania tej powieściowej prozy z „Panem Tadeuszem" Adama Mickiewicza.


Nr. 8. "Wrócimy" Str. 266.

Henryk Dąbrowski. Z DYMEM POŻARÓW.

Józef Łobodowski
Z Dymem Pożarów
Nicea 1941
Wydanie Oficyny Florenckiej.

Józef Łobodowski w karykaturze na łamach pisma „Wrócimy", Nicea, 1942 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Racja partii

Jacek Trznadel pisał: „Łobodowski jasno zobaczył degenerację oficjalnej ideologii kraju Rad i chęć bezwzględnego sterowania przez Sowiety ruchami rewolucyjnymi na świecie. Uderzał go cynizm aparatczyków napędzających naiwnych do konspiracyjnej działalności:

»Odbijać ulotki o treści tak doskonale szablonowej i wyświechtanej, że ją każdy woźny sądowy wyrecytuje znudzony na pamięć? Gnić w więzieniu, podczas gdy komisarz sowiecki pije na bankiecie na cześć króla brytyjskiego? […] Napisać, czy powiedzieć, że Sowiety, wstępując do Ligi Narodów, zlizały własne plwociny, których przedtem nie szczędziły

eprasa.pl bf9306b6ba

genewskiej instytucji, skrytykować działalność Kominternu, nie wykazać entuzjazmu dla masakry po śmierci Kirowa, słowem, kierować się w ocenie zjawisk sumieniem, a nie partyjnym nakazem – to w języku oficjalnym nazywa się kontrrewolucją«.

I deklarował:

Nie zdradzam haseł wolności. Opuszczam ludzi, którzy zdegenerowali socjalizm".

W połowie lat 30. Łobodowski wydawał miesięcznik „Dźwigary". W drugim numerze pisma dokonał znaczącego rozróżnienia: jego zdaniem Komunistyczna Partia Polski powinna się nazywać Polska Partia Komunistyczna. „»Herezja nacjonalistyczna« – wspominał – została tym samym przypieczętowana. Ale nie było to jeszcze zerwanie, tym bardziej że w gruncie rzeczy napisałem to, co niejeden myślał po kryjomu.

Dochodziły mnie jednocześnie nieprzyjemne wiadomości, z których wynikało, że cokolwiek bym w dalszych numerach napisał i tak zostanę potępiony. Zjawiło się niedwuznaczne, powtarzane z ust do ust pytanie: »Za czyje pieniądze wydawane są «Dźwigary»?«. Akurat przyjechał do Lublina Bolesław Zandberg. Wiedziałem, że mnie lubi i ufa, więc zagadnąłem wprost, co o tym sądzi. Był zakłopotany, więcej – zażenowany.

»– No, ja wiem, że na pismo poszło stypendium literackie i dochody z korepetycji, ale kto w to uwierzy?«.

Istotnie – nie wierzono. Łatwiej było uwierzyć, że jestem agentem, a nie wariatem, wydającym ciężko zarobione pieniądze na pismo »dywersyjne«. A ja znowu nie należałem do tych, którzy nad tego rodzaju posądzeniami przechodzą do porządku dziennego".

Ale jego definitywne rozstanie z komuną dopiero dojrzewało. Po rozstrzelaniu w Związku Sowieckim Stanisława Ryszarda Standego i Witolda Wandurskiego – komunistycznych poetów oskarżonych o to, że byli agentami sanacyjnej policji – w wychodzących w Polsce gazetkach komunistycznych pisano o nich jako o zdrajcach i płatnych prowokatorach.

„Kiedyś wspomniałem o tej sprawie – wspominał Józef Łobodowski – w rozmowie z Broniewskim: jeszcze wtedy wierzyłem w słuszność oskarżeń. Autor »Troski i pieśni« zaprzeczył, jakoby byli winni zarzucanej im zdrady.

»– To dlaczego pan, panie Władysławie – zawołałem zaskoczony – nie oświadczy tego publicznie?«.

Na to Jerzy Borejsza (Goldberg), który był obecny przy tej rozmowie i przysłuchiwał się jej milcząco, zabrał głos:

»– Partia zawsze ma rację – zapewnił autorytarnym tonem. – Nawet wtedy, gdy się myli. Decyzji partii nie wolno podawać w wątpliwość!

– Jak to nie wolno? Nawet wtedy, gdy chodzi o ludzi niewinnie skazanych?

– Nie wolno! Partia zawsze musi mieć rację.

– W takim razie – powiedziałem równie zgorszony, jak oburzony – ja taką partię mam gdzieś!«.

Broniewski ponuro milczał. To był pierwszy moment, od którego zacząłem tracić naiwną wiarę w komunizm. Później przyszły inne, jeszcze mocniejsze doświadczenia".

Kiszczak i Misza

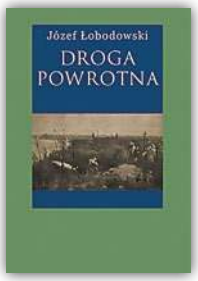
Ostatni felieton napisany przez Józefa Łobodowskiego, a wydrukowany w „Tygodniu Polskim" 30 kwietnia 1988 r., już po śmierci autora, miał wyraźnie wskazanego adresata. Nosił tytuł „Towarzysz Kiszczak i inni…".

„W jednym z czasopism krajowych – pisał Łobodowski – ukazał się wywiad z generałem Kiszczakiem. Główny temat wywiadu – o udziale towarzysza generała w walkach z Ukraińską Armią Powstańczą (UPA) tuż po wojnie, objętych wspólną nazwą »Wisła«. Jak dobrze wiadomo, w konsekwencji przesiedlono wszystkich Łemków z Zachodnich Karpat na Ziemie Odzyskane, gdzie przebywają po dzień dzisiejszy. Towarzysz Kiszczak na ogół zbagatelizował swój udział w owych zbrojnych akcjach. To zresztą zjawisko ogólne. Komuniści oznaczają się wielką skromnością i nie lubią opowiadać szczegółów o swoich minionych wyczynach. Nie chodzi tu tylko o Kiszczaka i komunistów polskich. Wszyscy oni w swoich wypowiedziach starają się wywołać wrażenie, że są osobami dobrodusznymi, niezdolnymi do zabicia muchy, cóż dopiero człowieka. I wszyscy są przekonanymi demokratami, którzy nigdy nie splamili się żadnym gorszącym ani nawet gwałtownym czynem. Właśnie przyszła niedawno wiadomość o śmierci takiego przysięgłego »demokraty«, w osobie towarzysza Radkiewicza, dobrze znanego z pierwszych powojennych lat w Polsce, okupowanej przez Sowiety i komunizm. Również wiadomo, że gdy przyszło potępienie okresu »błędów i wypaczeń«, Radkiewiczowi włos z głowy nie spadł. Umarł we własnym łóżku, nie wiem, czy z jakiejś choroby, czy po prostu ze starości.

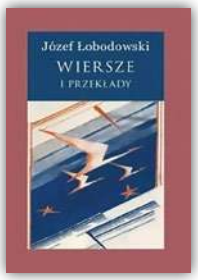
Szkoda, że Kiszczak nie pochwalił się, co porabiał właśnie wtedy, gdy bezpieką rządził nieboszczyk Radkiewicz, a on był jednym z wykonawców. O przeszłości towarzysza Miszy Gorbaczowa też nic nie wiadomo, a głównie, co porabiał w latach terroru stalinowskiego. Ale może to byłoby zbyt dalekim zapuszczaniem się w przeszłość, więc rzucę znacznie skromniejsze pytanie: – Co uroczy Misza porabiał w okresie Brežniewa? W kraju, w którym panuje zbrodniczy system, każdy, kto bierze udział w sprawowaniu władzy, jest w mniejszym lub większym













eprasa.pl bf9306b6ba

stopniu odpowiedzialnym za dokonywane zbrodnie".

Historia, której był świadkiem i aktywnym uczestnikiem, nie wpłynęła jednak, przynajmniej zasadniczo, na jego oceny II Rzeczypospolitej. Przede wszystkim pozostał krytykiem prowadzonej przed wojną, nonsensownej – jego zdaniem – polityki wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce. Jeszcze w wywiadzie udzielonym pod koniec życia, w 1986 r. w Paryżu lubelskim „Spotkaniom", a konkretnie Piotrowi Jeglińskiemu i Janowi Stepkowi, wracał do tamtych wydarzeń.

„– Weźmy jako przykład »sprawę« Hrynek – opowiadał. – Ni stąd, ni zowąd rozchodzi się wiadomość, że cała ukraińska wieś z prawosławia przechodzi na katolicyzm. To był 37 rok. Hrynki to wieś tuż nad granicą – ówczesną granicą polsko-sowiecką, w powiecie dyderkalskim, na terenie kontrolowanym oczywiście przez KOP. Były przygotowania do jakiejś uroczystości rocznicowej. Za wsią wystawiono ołtarz, przy którym miano odprawić następnego dnia mszę i ten ołtarz został w nocy zbezczeszczony. No więc oczywiście śledztwo. Chłopi powiadają, że to zrobiło dwóch młodych komunistów, którzy zaraz potem uciekli przez zieloną granicę na Ukrainę sowiecką. Ale majorowi, dowódcy batalionu KOP-u, to nie wystarczyło i on prowadził śledztwo dalej, bo chciał koniecznie ukarać sprawców, a szukać ich na terenie Ukrainy sowieckiej – to było trochę za trudno. Skutek był taki, że delegacja chłopów udała się do proboszcza katolickiego w Dyderkałach z prośbą o interwencję – bo ich tam bili i katowali. KOP był wszechwładnym panem na terenach, które mu podlegały. No i ten ksiądz w rozmowie dowiaduje się, że jeden z chłopów nazywa się Kostiuk – i wpada na genialny pomysł i że on się musiał nazywać Kościuszko, że ta wieś to była szlachta zagrodowa, która po powstaniu 30-go roku, jak to zresztą bywało, została siłą nawrócona na prawosławie i że to są wszystko potomkowie tej szlachty zagrodowej i potomkowie katolików. Obopólnym wysiłkiem księdza w Dyderkałach i dowódcy KOP-u doprowadzono do tego, że Hrynki przeszły na katolicyzm łaciński i prasa trąbiła przez parę tygodni na ten temat. Wielkie wydarzenie. Zwłaszcza dla »IKC«, który był najbardziej antyukraińskim pismem w Polsce, a jednocześnie miał ogromny nakład – najwyższy w Polsce. No więc – mija kilka tygodni – i nagle wstydliwa wiadomość w »Kurierze Porannym« i w »Gazecie Polskiej« – Hrynki wróciły na prawosławie. Z wyjątkiem jednego obywatela o nazwisku Achtechtian. Nazwisko mongolskie – któż to był? To był dawny żandarm carski, który w czasie rewolucji uciekł na Wołyń, znalazł się w Hrynkach, przyżenił się tam do młodej wdowy i gospodarował jako jeszcze jeden chłop. Otóż on jeden pozostał wierny katolicyzmowi i szlacheckości – no bo ich mianowali szlachtą zagrodową. To był jeden z najbardziej jaskrawych przykładów idiotycznego polonizowania. Wojewoda Józewski oczywiście był temu przeciwny – ale on był w nieustannej wojnie z tymi polonizatorami. Ja byłem wtedy na Wołyniu i chciałem jechać do Hrynek, ale wojewoda mi powiedział: »– Proszę pana, KOP pana nie puści. Jeżeli biskupa prawosławnego, który tam z Łucka chciał pojechać, z drogi zawrócili, to tym bardziej pana«".

Historia, której był świadkiem i aktywnym uczestnikiem, nie wpłynęła jednak, przynajmniej zasadniczo, na jego oceny II RP

Tout court

„Ja wiedziałem od ojca – opowiadał pisarz – że rodzina pochodzi od uszlachconego Kozaka, który ożenił się z Polką i oczywiście przeszedł na katolicyzm. Z biegiem lat rodzina spolszczyła się całkowicie, ale pewna tradycja pozostała. Poza tym ja spędziłem część mojego dzieciństwa – między rokiem 1917 a 33 – na ziemi Kozaków kubańskich, którzy byli potomkami Kozaków zaporoskich, przesiedlonych tam za czasów Katarzyny II. To obudziło moje zainteresowanie. Potem pogłębił je pobyt w Kijowie i na Wołyniu. Poza tym – ja widziałem rzeczywistość. Moim pierwszym wyczynem był artykuł pod tytułem »Serca za barykadą«, wydrukowany w czasopiśmie młodzieży ZPMD na Uniwersytecie Lubelskim, na początku roku 1932. Pismo nazywało się »Trybuna«. To było pierwsze moje wystąpienie wzywające do zgody między Polakami a Ukraińcami. Oczywiście ten artykuł wywołał tylko oburzenie ze strony polskiej. Ja zresztą wkrótce przestałem być redaktorem tego miesięcznika, poszedłem bardziej na lewo. Odejście moje od lewicy też było związane ze sprawami ukraińskimi. Między innymi przyczyniła się do tego wiadomość o głodzie na Ukrainie, który został zorganizowany przez władze sowieckie w roku 1932. Ja się o tym dowiedziałem z dużym opóźnieniem, ale w roku 1935 byłem na Ukrainie sowieckiej, poszedłem na zielono, przemytnicy mi to ułatwili. Doszedłem aż do Koziatyna, na Kijowszczyźnie. Tam zorientowałem się, że moim śladem już idą, już wiedzą, że ktoś nielegalnie się kręci".

Smutna rzeczywistość kontrastowała z wyidealizowanym obrazem przeszłości. „Jedną z ważniejszych warstw znaczeniowych »W stanicy« jest – pisze Justyna Miodońska – bogaty obraz obyczajowości kozackiej. Mickiewicz stworzył w swoim dziele niezwykle barwną panoramę uczt, polowań czy pojedynków, zaś Łobodowski biesiadowania, gawęd, kilkudniowego wesela, prac w polu czy świętowania. Kozacka stanica to ostoja tradycji i bogobojności. Czarnomorscy Kozacy są przywiązani do swoich wartości i swobód. Mieszkańcy tworzą wspólnotę, dla której istotne okazują się pamięć o przeszłości, umiłowanie kozackiej wolności, obyczaje. Są też nieugięci wobec bolszewików, nie chcą pozwolić na ostateczną zmianę swojego świata. Codzienny rytuał życia Kozaków, niejako poza czasem historycznym, pod naciskiem ideologii i wielkiej historii ulega bowiem nieodwołalnej destrukcji".

„Trylogia – czytamy – przedstawia szeroki kontekst kulturowy i historyczny świata, który gwałtownie odchodzi w przeszłość i w tym sensie jest opisem rewolucji tout court".

No cóż, to był koniec świata. Pozostaje pytanie: Czy – trawestując znany wiersz Miłosza – innego końca świata już nie będzie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Przędzalnia czesankowa Wel-Tex we Wrocławiu, 1966 r.

FOT. NAC, GRAŻYNA RUTOWSKA

Książka miesiąca / Kobiety w Polsce Ludowej

Nie miały lekko

Książka prof. Błażeja Brzostka imponuje wszechstronnym ukazaniem sytuacji i roli kobiet w Polsce Ludowej. Wydaje się, że autor nie pominął tu żadnego aspektu. „Życie codzienne kobiet w PRL" jest opowieścią o przemianach społecznych, obyczajowych i cywilizacyjnych, a także dniu powszednim, obowiązkach oraz ograniczeniach, którym podlegały kobiety. W książce jest mowa m.in. o problemie mieszkaniowym, kłopotach z zaopatrzeniem domu, podpaskach, seksie małżeńskim, wózkach dziecięcych, maszynach do szycia i motocyklach, które przyciągały dziewczęta do ich posiadaczy. Autor wykorzystuje ustalenia z badań ankietowych i prac socjologicznych, jednocześnie oddaje głos kobietom, przytaczając fragmenty ich dzienników, wspomnień i relacji.

Profesor Brzostek zwraca uwagę na skutki drugiej wojny światowej. „Przez wiele lat panował niedobór mężczyzn. Oznaczało to, że na rynku matrymonialnym i na rynku pracy mężczyźni są »cenniejsi«, zatem to kobiety powinny się bardziej starać (co widoczne było w szybszym wzroście ich wykształcenia) i to one podlegały surowszej ocenie […]. Szukały dla siebie zajęć i przyjmowały nowe role, wymuszone sytuacją, często koniecznością samotnego utrzymania dzieci, a także wynikające z potrzeby zmiany".

Symbolem tych przemian były m.in. traktorzystki, pomocnice murarskie i konduktorki. Lata wojny spowodowały także brutalizację stosunków społecznych w PRL. Jak pisze autor, wojna „wzmocniła kulturę dominacji, której częścią była kultura gwałtu".

Lata PRL to czas ogromnej migracji ze wsi do miast, powodowanej rozwojem przemysłu, co dawało kobietom szansę wyrwania się z ciężkiej pracy w gospodarstwie rolnym i skorzystania z dobrodziejstw cywilizacyjnych miasta. Autor pisze zarówno o trudzie kobiet wiejskich, jak i warunkach pracy kobiet w fabrykach, dyskryminacji zawodowej i szklanych sufitach.

W PRL tradycyjnie uważano, że na kobiecie spoczywa troska o wyżywienie domowników, a więc to panie miały dbać o zaopatrzenie w produkty żywnościowe. To one w znakomitej większości wystawały w kolejkach i „zdobywały" mięso. Autor zauważa, że chęć najedzenia się i obfitego nakarmienia dzieci była odruchem pokoleń, które zaznały ubóstwa i przeszły przez wojnę. Lecz w efekcie jedna trzecia Polaków w latach 60. miała nadwagę. Mięso kojarzyło się z dobrobytem i zdrowym wyglądem. Brzostek przytacza słowa premiera Piotra Jaroszewicza podczas dożynek o tym, że defilujące dziewczęta wyglądają tak dobrze, gdyż jedzą 70 kg mięsa rocznie.

Lata Polski Ludowej to czas mechanizacji gospodarstwa domowego, pojawienia się lodówek, pralek, odkurzaczy, mikserów. Domowa praca kobiet stała się lżejsza, lecz – jak zauważa autor – nie oznaczało to, że zyskiwały one więcej czasu wolnego. Skoro bowiem praca była mniej fatygująca, mężczyźni odczuwali mniejszą potrzebę pomagania. A jednocześnie wzrosły wymagania odnośnie do czystości i higieny w domu, co prowadziło do coraz większego angażowania się kobiet w te zadania.

Profesor Brzostek zwraca uwagę, że religijność kobiet w czasach PRL jest niemal niezauważalna w badaniach gender, a Kościół w perspektywie genderowej jawi się jedynie jako instytucja oporna na przyznawanie kobietom praw. Tymczasem uważały one Kościół za siłę moralną hamującą zepsucie obyczajów i – jak podkreśla autor – przeważająca większość kobiet w PRL przeżywała swój katolicyzm także jako jeden z wyznaczników ich tożsamości. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***



BŁAŻEJ BRZOSTEK
„ŻYCIE CODZIENNE KOBIET W PRL"
PIW

eprasa.pl bf9306b6ba

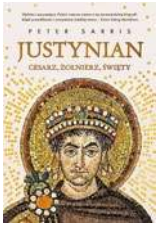
Namiestnik Boga na ziemi

W dziejach Cesarstwa Bizantyńskiego najbardziej wyraziście zapisało się dwóch władców: Konstantyn Wielki i Justynian Wielki. Pierwszy jako założyciel „Miasta nad miastami" – Konstantynopola, a drugi jako twórca potęgi Bizancjum i budowniczy najwspanialszej świątyni, jaką widział późnoantyczny świat: kościoła Mądrości Bożej – Hagia Sophia.

„Chrześcijańskie imperium Justyniana stało się mirażem, ideałem, do którego zmierzano, ale którego nigdy nie osiągnięto" – pisał znany bizantynista Cyril Mango, do którego słów odwołuje się autor obszernej biografii Justyniana Wielkiego. Państwo, które stworzył Justynian, stanowiło przez niemal X wieków niedoścignięty wzór. Nie chodziło przy tym bynajmniej o militarne podboje, które (choć znaczące) pozostawały przez długi czas na uboczu zainteresowań potomnych cesarza, ale przede wszystkim o politykę wewnętrzną, którą prowadził cesarz.

Justynian, który obejmował rządy w Konstantynopolu po swym pochodzącym ze społecznych nizin, lecz bardzo zdolnym wuju Justynie, miał szerokie horyzonty i potrafił otaczać się ludźmi wybitnie utalentowanymi. Z wielkim upodobaniem prowadził dyskusje, nawet jeśli mieli inne niż on poglądy. Jako władca niemal absolutny, który sprawuje rządy z ramienia Boga na ziemi, wykazywał co prawda despotyczne czy nawet totalitarne tendencje, lecz taka była specyfika czasu i miejsca, w którym żył. Justynian odznaczał się ogromną pobożnością, a religia nie była dla niego jedynie dekoracyjnym dodatkiem do urzędu, lecz elementem tożsamym z władzą. Dążył do utrzymania jedności chrześcijaństwa, porozumienia z papiestwem, a w miarę możliwości do poszerzania chrześcijańskiego władztwa na terenach utraconych wcześniej przez imperium rzymskie w wyniku podbojów ludów barbarzyńskich.

Najtrwalszym, a często kompletnie pomijanym elementem spuścizny Justyniana Wielkiego jest kodyfikacja prawa rzymskiego. Cesarz zreformował je do tego stopnia, że współcześnie trudno niekiedy rozdzielić zmiany, które on wprowadził, od tego, co obowiązywało wcześniej. Justynian był ogromnie drobiazgowy i pracowity i z całą pewnością wyprzedzał czasy, w których żył. Książka Sarrisa w fascynujący sposób przybliża tę niezwykłą postać. ©℗ ***Anna Szczepańska***



PETER SARRIS
„JUSTYNIAN. CESARZ, ŻOŁNIERZ, ŚWIĘTY"
ZNAK HORYZONT

Umma w Europie

Jakie efekty przynosi wzrost populacji muzułmańskiej w państwach europejskich? Wydawałoby się, że dzięki mediom społecznościowym wszystko już o tym wiemy. Czytając książkę Michała Bruszewskiego, łatwo jednak dojść do wniosku, że krążące na ten temat skrótowe informacje i filmiki wprowadzają tylko zamęt w naszym oglądzie sytuacji. Sytuacja jest bowiem dużo poważniejsza i niebezpieczne ulice to tylko symptom nadciągającego zagrożenia. Umma, czyli wspólnota muzułmańska, ma konkretne cele i cierpliwie je realizuje... ©℗ ***Piotr Włoczyk***



MICHAŁ BRUSZEWSKI
„EUROKALIFAT. DŻIHAD, GANGI I ISLAMIZACJA EUROPY"
ZONA ZERO



ANETA GODYNIA
„WIEJSKIE DZIECI. KIEDY NASI PRZODKOWIE BYLI MALI"
WYDAWNICTWO SPLOTY

MŁODE LATA BABĆ I DZIADKÓW

Część z nas na pewno pamięta opowieści babć i dziadków z lat młodości. Wspomnienia wojennych trudów i życie codzienne. Jak dorastali, jak pracowali, czym się bawili, czego się uczyli. Ładnie wydana, przyjemnie napisana, choć nieodkrywcza książka wpisuje się w modny ostatnio nurt „historii ludowej". ©℗ ***(a.s.)***



ANNA MARCINKIEWICZ-KACZMARCZYK
„ELEMENT POLITYCZNIE WROGI. SYTUACJA BYŁYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA ZACHODZIE W POLSCE »LUDOWEJ« 1945–1956"
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WROGI ELEMENT

Żołnierze PSZ, którzy wrócili do Polski, znaleźli się na celowniku komunistycznych służb. Książka opowiada o tym, jak z bohaterów zrobiono „imperialistycznych szpiegów", jak ich represjonowano i kiedy przywrócono im godność. ©℗ ***(a.s.)***



MAJA LUBIEJEWSKA-CHILICKA
„LIDIA CIOŁKOSZ"
IPN

ANTYKOMUNISTKA Z PPS

Broszura przestawia jedną z najwybitniejszych kobiet w ruchu socjalistycznym. Podczas studiów wystąpiła z gminy żydowskiej i zapisała się do PPS, poznając przyszłego męża, Adama Ciołkosza. Działała m.in. w Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego. Na emigracji prezentowała wraz z mężem bezkompromisową postawę antykomunistyczną i pomagała opozycji w PRL. ***(t.s.)***

eprasa.pl bf9306b6ba



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Napoleon w Zatoce Perskiej

Pisząc, że polska szeroko rozumiana prawica rewitalizowała w stosunku do Donalda Trumpa mit Bonapartego – wielki wódz z Zachodu bije naszych wrogów, popierajmy go, wierzmy w niego, a niechybnie da nam upragnioną niepodległość – nie przypuszczałem, że mogę wykrakać kolejną wyprawę moskiewską. A takie pisząc te słowa, odnoszę wrażenie: że tak jak Trump Napoleona, tak amerykańskie uderzenie na Iran pod wieloma względami przypomina epicką klęskę tego, po którym tak wiele Polacy oczekiwali.

Jeśli się mylę, to łatwo to państwo zweryfikują i będą państwo mieli prawo mnie wyśmiać. Zanim ten tekst trafi do czytelników, upłynie parę dni i być może wojna w zatoce do tego czasu się skończy. W Iranie rewolucja, czy raczej kontrrewolucja, zmiecie niedobitków starego reżimu i ustanowi rząd, który podpisze oczekiwaną przez Trumpa bezwarunkową kapitulację, wszyscy mieszkańcy 90-milionowego kraju to poprą, a cieśnina Ormuz znów zapełni się zbiornikowcami.

Jestem jednak gotów się założyć, że czytając te słowa, będą państwo widzieli to samo, co ja, pisząc je. Czyli „ogólny brak koncepcji" w kwestii zasadniczej: Co ma z tego wyniknąć?

Pokolenia historyków biedzą się nad pytaniem, dlaczego Napoleon Bonaparte, wódz wytrawny, wręcz genialny, w jednej, decydującej o wszystkim kampanii zaprzeczył wszystkim zasadom, które zawsze głosił i do których się stosował. Wódz, który twierdził, że lepsza armia mała, ale dzielna i sprawna, wyruszył na Rosję ze zbieraniną kontyngentów ze wszystkich uzależnionych państewek, jakby chciał wygrać samą kilkusettysięczną masą. Autor maksymy, że „armia maszeruje na brzuchu", nie zapewnił swym ogromnym wojskom aprowizacji, tras marszu, ciepłej odzieży. Nade wszystko zaś wódz, który pierwszy tłumaczył generałom, że celem wojny jest pokonanie przeciwnika, a nie zajmowanie terenu, poprowadził kampanię tak, jakby samo zajęcie Moskwy miało być zwycięstwem.

> Dlaczego po doświadczeniach Wietnamu, Iraku, Serbii, Afganistanu **USA wpakowały się w kolejną asymetryczną wojnę,** którą łatwo zwycięsko zacząć, ale trudno się z niej wyplątać?

Dlaczego? Pytanie na miarę, dlaczego po doświadczeniach Wietnamu, Iraku, Serbii, Afganistanu USA wpakowały się w kolejną asymetryczną wojnę, którą łatwo zwycięsko zacząć, ale trudno się z niej wyplątać. Odpowiedź, jak sądzę, w obu wypadkach jest ta sama: nierealistyczne określenie celu kampanii. Bonaparte był święcie przekonany, że wielka demonstracja zbrojna skłoni cara Aleksandra do odwrócenia przymierzy, porzucenia Anglii i zawiązania sojuszu z Francją. Napoleon tak był pewien, że Aleksander pragnie tego sojuszu, jego zdaniem oczywistego i narzucającego się – mocarstwa lądowe przeciwko morskiemu – i że trzeba mu tylko dać pretekst do wyjścia z przymierza antynapoleońskiego z twarzą i honorem, że do głowy nie przyszło mu, iż trzeba będzie wchodzić do Rosji głębiej i na dłużej.

Sądzę, że Donald Trump podobnie uległ mirażowi rewolucji, która tylko czeka na amerykański sygnał, aby zmieść reżim ajatollahów. Czy sam sobie to złudzenie wytworzył czy został zdezinformowany przez swój albo sojuszniczy wywiad, na ile jego podatność, z którą uwierzył w szybkie, łatwe zwycięstwo, była skutkiem popularnych w jego otoczeniu teorii „chrześcijańskiego syjonizmu", wiedzieć nie mogę. Ale sytuacja naprawdę wydaje mi się bardzo podobna. Poza oczywiście tym jednym, że w Rosji śnieg i mróz, a w Iranie upały i piach.

Chciałbym się mylić… ©℗

eprasa.pl bf9306b6ba



Piotr Semka

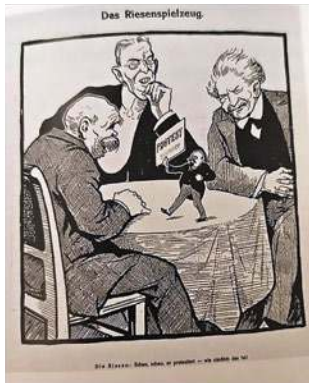
/ Felieton

Igraszka mocarzy

Polska historia wyczuliła nas na sytuacje, gdy nasz kraj bywał igraszką potężnych sąsiadów. Nie zapominajmy jednak, że w całkiem nieodległej historii zdarzało się też tak, że wielkie mocarstwa nagle stawały się słabymi karzełkami. Spójrzmy na karykaturę „Zabawka gigantów", opublikowaną w austriackiej gazecie na początku 1919 r.

Oto liderzy zwycięskiej Ententy, Woodrow Wilson, Lloyd George i George Clemenceau, oglądają z uśmiechem premiera powojennej Austrii – bezsilnej, ogarniętej chaosem i okrojonej ze wszystkich stron. Mała figurka to kanclerz Karl Renner, który trzyma w ręku duży transparent-protest. Podpis brzmi: „Patrzcie tylko! On protestuje... Ale jest słodki…".

O co chodzi w tej karykaturze? W listopadzie 1918 r. monarchia austro-węgierska rozpadła się i we wszystkich jej częściach do walki o niepodległość rzuciły się narody podlegające do tej pory Habsburgom. W ten oto sposób Polacy starli się Ukraińcami, walcząc o Lwów, zanim jeszcze w ogóle powstało niepodległe państwo polskie. Gdy swoje dążenia niepodległościowe ogłosili Czesi, Chorwaci, Słoweńcy, a nawet Węgrzy, to wielka Austria zamieniła się nagle w niewielką Republikę Austriacką.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Aby odróżnić to nowe państewko od dawnej wielkiej Austrii, nadano mu roboczą nazwę „Deutschösterreich", czyli „Niemiecka Austria". Tyle że z tą nową definicją austriackości wiązał się jeden mały kłopot. Na terenie tzw. Korony św. Wacława, czyli czeskiej części monarchii austriackiej, żyły w zwartych grupach liczne grupy Niemców. Nazywano ich odrębnym określeniem „Böhmendeutschen" lub „Mährendeutschen", czyli „Niemcy czescy" lub „Niemcy morawscy".

Przez cztery stulecia czescy i morawscy Niemcy cieszyli się spokojem, ponieważ byli obywatelami wielkiej monarchii, nad którą władzę sprawowała niemiecka dynastia habsburska, która na dodatek z czasem wprowadziła w urzędach język niemiecki.

Problem zaczął się, gdy monarchia dwugłowego orła rozlazła się – jak mawiali nasi przodkowie – jak „stare gacie" i nagle powstało państwo czechosłowackie. Niemcy czescy i morawscy nie byli na to gotowi i nie chcieli tego. W Wiedniu wymyślono więc, że do małej, okrojonej Austrii doklei się pas niemieckojęzycznych ziem granicznych, tworzących na mapie coś w rodzaju litery „C". Były to tereny od Czeskiego Lasu poprzez rejony Egeru, Rudaw, Sudetów aż do Śląska austriackiego z Bielsko-Białą i Cieszynem.

Oczywiście Czesi nie akceptowali takiego geopolitycznego „potworka" i wysłali na tereny przygraniczne swoją armię. Czescy i morawscy Niemcy nie mieli się do kogo odwołać, ponieważ armia austriacka rozsypała się w proch. Naprędce tworzone milicje obywatelskie w Igławie, Brnie, Karlovych Varach, Libercu czy Opawie nie były w stanie przeciwstawić się stworzonej we Francji armii czechosłowackiej, która w brutalny sposób ustanawiała władzę prezydenta Tomáša Masaryka. W kilku miastach zdominowanych przez Niemców czeskich i morawskich doszło do demonstracji na rzecz przyłączenia się do „Deutschösterreich".

Największa fala tego typu wystąpień miała miejsce 4 marca 1919 r. i została stłumiona przez czeskie wojsko, które chętnie sięgało po broń i strzelało do tłumu. Liczba ofiar była jednak, jak zwykle w takich przypadkach, kwestią sporną. Czesi twierdzili, że ofiar mogło być tylko kilka, z kolei niemieccy nacjonaliści zawyżali dane do poziomu kilkudziesięciu osób. Wreszcie we wrześniu 1919 r., w traktacie z Saint-Germain, Republika Austriacka zmuszona była uznać nowe granice. Jak złośliwie mawiał Georges Clemenceau, nowa Austria była „tym, co zostało". Ziemie układające się w „C" trafiły do nowo powstałych państw.

Rozgoryczeni Austriacy i ich niemieccy bracia zza czeskiej granicy poprzysięgli zemstę. Wcielił ją w życie Konrad Henlein, który na początku lat 30. stanął na czele Partii Niemców Sudeckich. Osiemnaście lat po zdobyciu przez wojska czeskie ziem pogranicza role się odwróciły. To czescy Niemcy triumfowali, a urzędnicy republiki Edvarda Beneša musieli pakować walizki i wyprowadzać się z terenów, które traktat monachijski przyznał III Rzeszy. To, że to właśnie Hitler był wykonawcą zemsty, zdyskredytowało ją na długie lata. Ale mit o niemieckiej krzywdzie przetrwał pielęgnowany troskliwie przez sudeckie ziomkostwa. To już jednak zupełnie inna historia. ©℗

eprasa.pl bf9306b6ba



XX w. / Swastyka i półksiężyc

Arabowie Hitlera

Żołnierze Legionu Arabskiego FOT. BUNDESARCHIV



Arkadiusz Karbowiak

Niemcy w czasie drugiej wojny światowej sięgnęli również po arabskich żołnierzy. Muzułmanie często walczyli w sposób bezwzględny i okrutny

W maju 1941 r. brytyjska interwencja wojskowa w Iraku obaliła proniemiecki rząd kierowany przez Raszida al-Kilaniego. Na szczęście dla Londynu Adolf Hitler nie wsparł odpowiednio szybko antybrytyjskich nacjonalistów. Reakcja Berlina na irackie wydarzenia była wyraźnie spóźniona (choć odległość i tak dawała niewielką szansę na sukces), by przechylić szalę zwycięstwa na rzecz sojuszników państw Osi i doprowadzić do odcięcia Wielkiej Brytanii od irackich złóż ropy naftowej.

Powołany do życia na mocy dyrektywy Hitlera Sonderstab F (Sztab Specjalny F) miał koordynować wysiłki na rzecz wspierania rządu al-Kilaniego. Nie dysponując wystarczającymi siłami, improwizowany Sonderstab F nie był jednak w stanie zbyt wiele zdziałać, i to mimo że w jego szeregach służyli znakomici oficerowie, jak choćby mjr Hermann Meyer-Ricks na stanowisku szefa sztabu czy specjalista do spraw Bliskiego Wschodu ppłk Oskar Ritter von Niedermayer. W czerwcu 1941 r., po miesiącu działania na przylądku Sunion w greckiej Attyce, Sonderstab F przekształcił się ze struktury polityczno-militarnej w stricte wojskową.

Na jej czele stał były niemiecki pilot walczący podczas pierwszej wojny światowej na froncie tureckim, generał Luftwaffe Hellmuth Felmy. Pod patronatem kierowanej przez niego struktury rozpoczęto tworzenie jednostek niemieckich złożonych z arabskich ochotników. Pewną rolę propagandową odegrali w tym kontekście dwaj przebywający w Niemczech liderzy rywalizujący ze sobą o przywództwo w świecie arabskim: były premier Iraku Raszid al-Kiliani i Wielki Mufti Jerozolimy Muhammad Amin al-Husajni.

Do Libii

24 lipca 1941 r. w Poczdamie rozpoczęto formowanie pierwszej arabsko-niemieckiej jednostki o nazwie Sonderverband 288 (Oddział Specjalny 288). Kadra dowódcza i instruktorska składała się z 20 oficerów oraz 200 podoficerów i żołnierzy, pełniących wcześniej służbę w Lehr Regiment zbV 800 „Brandenburg". Na dowódcę jednostki wyznaczony został Oberst (pułkownik) Otto Menton, który odznaczony zostanie 8 stycznia 1943 r. Niemieckim Krzyżem w Złocie i zginie w kwietniu 1945 r. na terenie Protektoratu Czech i Moraw. W skład Sonderverband 288 początkowo wchodzili głównie Niemcy, a liczba arabskich ochotników była niewielka. Pierwszy arabski kontyngent liczył zaledwie 27 osób. Jednostkę podzielono na osiem kompanii: specjalną, saperów, przeciwlotniczą, przeciwpancerną, strzelecką, broni ciężkiej, łączności i górską.

29 września 1941 r., po zakończeniu szkolenia, jej żołnierzy załadowano do pociągu i wysłano do Lavrion w Grecji, gdzie mieścił się sztab Sonderstab F. Stamtąd 16 listopada niewielka część Sonderverband 288 (dwa plutony strzelców górskich) została przetransportowana przez Iraklion do libijskiego Bengazi. Powołano tam w oparciu o nią tzw. Sperrverband Daumiller, pod wodzą Hauptmanna Wernera Daumillera; pozostałą część jednostki przerzucono do Afryki sukcesywnie do kwietnia 1942 r. Sperrverband Daumiller, który w styczniu został powiększony do 360 ludzi, ulokowano w oazie Marada, czyli na odcinku frontu w pobliżu El-Agheila.

Sonderverband 288 wyróżnił się szczególnie podczas walk pod Bir Hakeim,

eprasa.pl bf9306b6ba

gdzie toczył zacięte zmagania z żołnierzami francuskiej 13. Półbrygady Legii Cudzoziemskiej. Późniejszy przydział był nieco lepszy, ponieważ Sonderverband 288 trafił na północ, gdzie miał zabezpieczać wybrzeże przed ewentualną próbą lądowania aliantów. 31 października 1942 r. Sonderverband 288 przemianowano na Panzergrenadier Regiment Africa. Pułk stanowił osłonę dla wycofujących się wojsk feldmarszałka Erwina Rommla. W 1943 r. nastąpiła zmiana podporządkowania – regiment wyjęto z podległości 90. Dywizji Lekkiej i przydzielono go do 164. Lekkiej Dywizji Afrykańskiej. Sonderverband 288 walczył m.in. jako Kampfgruppe Menton w słynnej bitwie na przełęczy Kasserine. Ostatecznie bojowy szlak jednostki zakończył się kapitulacją, do której doszło 13 maja 1943 r.

Kolejnym oddziałem, nieco bardziej nasyconym arabskimi ochotnikami, był Sonderverband 287. Złożony z siedmiu kompanii liczył ok. 2,2 tys. żołnierzy rozdzielonych w trzech batalionach. W trzecim służyli prawie sami Arabowie. W lipcu 1942 r. szkoleniem objętych zostało 24 Irakijczyków, 112 Syryjczyków i Palestyńczyków, 107 Arabów z Maghrebu (Tunezja, Algieria i Maroko). Sonderverband 287 skierowano na front wschodni. Ich baza mieściła się w mieście Stalino, gdzie trafili w połowie września, oczekując na dalszy rozwój wypadków. Sonderverband 287 planowano wykorzystać po zajęciu Kaukazu do dalszych operacji związanych z wkroczeniem do Iraku.



Generał Hellmuth Felmy
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Według planów OKW jednostka miała być przewieziona na Kaukaz i stamtąd przebijać się w kierunku Basry. Ponieważ ofensywa kaukaska utknęła, 5 października 1942 r. Oddział Specjalny 287 postanowiono przenieść na kałmuckie stepy, podporządkowując go 1. Armii Pancernej. W okolicach miejscowości Acikulak, wraz z grupą 720 ukraińskich ochotników zrekrutowanych jeszcze na terenie miasteczka Stalino, jego żołnierze zajęli pozycje obronne, odpierając ataki 4. Gwardyjskiego Korpusu Kawalerii. Od 3 stycznia 1943 r. rozpoczął się odwrót przez Rostów do rzeki Mius, gdzie Sonderverband 287 rozrośnięty do rozmiaru pułku podporządkowany był 23. Dywizji Pancernej, a następnie (od 22 marca 1943 r.) 336. Dywizji Piechoty. W kwietniu jednostka została ostatecznie wycofana z frontu wschodniego. Jej straty do 24 kwietnia 1943 r. wyniosły 140 zabitych, 14 zaginionych i 600 rannych.

Bataliony I i II zostały relokowane do Francji. W maju 1943 r. utworzono na ich podstawie 92. Zmotoryzowany Pułk Grenadierów. Należy dodać, że wykorzystywanie oddziału na froncie wschodnim spotkało się ze zdecydowanie negatywną reakcją ze strony Wielkiego Muftiego Amina al-Husajniego. Napisał on nawet w tej sprawie list do szefa OKW feldmarszałka Wilhelma Keitla, wskazując w nim, że ochotnicy arabscy powinni być wykorzystywani do prowadzenia działań na kontynencie afrykańskim (arabscy ochotnicy nie byli używani w walkach frontowych). Nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje uwagi, opuścił on Niemcy i udał się do Niepodległego Państwa Chorwackiego, gdzie swoim autorytetem wsparł rekrutację bośniackich ochotników do 13. Górskiej Dywizji SS „Handschar".



Oficerowie Sonderverband 287 lub 288 FOT. VALKA.CZ

Zabójcze ognisko

Historia III batalionu Sonderverband 287, oddzielonego od swej macierzystej struktury, potoczyła się w sposób bardziej zgodny z oczekiwaniami al-Husajniego. W połowie grudnia 1942 r., po 14 dniach podróży, dotarł on na Sycylię i stamtąd – po pobycie w okolicach Palermo – przemieszczono go w styczniu 1943 r. do Tunezji. Dowództwo nad nim objął były szef sztabu Sonderstab F, Oberst Meyer-Ricks. Na jego bazie utworzono Deutsch-Arabische-Lehr Abteilung (DAL), który rozpoczął kooperację z Kommando Deutsch-Arabische Truppen (KODAT). W KODAT źródłem ochotników byli miejscowi Arabowie pochodzący z Maghrebu. W składzie liczącej ok. 2,6 tys. żołnierzy jednostki znajdowały się dwa bataliony tunezyjskie, jeden marokański i jeden algierski. Co ciekawe, arabscy żołnierze uczestniczyli wraz z Brandenburczykami w likwidacji kilkuosobowego dywersyjnego oddziału SOE, który wylądował w zatoce Hammamet w styczniu 1943 r. Jednak poziom wyszkolenia maghrebskich ochotników był dalece niewystarczający ze względu na krótki czas treningu.

Deficyt niemieckich i włoskich jednostek zmusił dowództwo 5. Armii Pancernej do rzucenia do walki oddziałów złożonych z arabskich żołnierzy. Batalion tunezyjski miał zatrzymać natarcie Brytyjczyków w pobliżu Mareth. Po dojściu na pozycje bojowe Tunezyjczy-

eprasa.pl bf9306b6ba



Arabscy ochotnicy z północnej Afryki z flagą ich batalionu

FOT. MUZUEM HISTORII WSPÓŁCZESNEJ, LUBLANA



Muzułmańscy żołnierze 13. Dywizji SS czytają broszurę „Islam i judaizm"

FOT. BUNDESARCHIV

kom zrobiło się zimno, więc postanowili rozpalić ogień. Efektem było ostrzelanie ich przez Niemców (!), co z kolei zaalarmowało Brytyjczyków, którzy zaatakowali i pokonali Tunezyjczyków.

Użycie tego batalionu przyniosło katastrofalne skutki, w związku z czym Niemcy uznali, że najwłaściwszą koncepcją wykorzystywania Arabów będzie kierowanie ich do prac fortyfikacyjnych. Była to właściwa ocena sytuacji, tym bardziej że w arabskich jednostkach spadło morale po tym, jak 24 lutego podczas alianckiego nalotu śmierć ponieśli dowódca jednostki oraz jeden ze znanych oficerów. Ostatecznie przybyły na miejsce poległego nowy dowódca Oberstleutnant Theodor von Hippel podzielił los swych podkomendnych i wielu żołnierzy państw Osi na kontynencie afrykańskim, dostając się do alianckiej niewoli.

Po kapitulacji wojsk niemiecko-włoskich w Afryce doszło do przerzucenia na Bałkany 92. Zmotoryzowanego Pułku Grenadierów. Jego żołnierze uczestniczyli w operacjach antypartyzanckich „Morgernstern" prowadzonych okolicach chorwackiej Liki, a także w „Skoku Konika Szachowego". Ta ostatnia operacja, rozpoczęta o świcie 25 maja 1944 r., miała na celu ujęcie Josipa Broza-Tito, ale zakończyła się gigantycznymi stratami głównej jednostki uderzeniowej, czyli 500. Batalionu Spadochronowego SS (batalion poniósł 70 proc. strat). Otoczony na niewielkiej przestrzeni oddział przemienił się z myśliwych w zwierzynę i musiał odpierać zaciekłe ataki komunistycznych partyzantów. Dopiero 26 maja 1944 r. w okolicach południa do Drvaru dotarły 92. Zmotoryzowany Regiment Grenadierów oraz pododdziały złożonej z Chorwatów 373. Dywizji Piechoty, przełamując okrążenie i ratując esesmanów.

Pułk został niedługo przekształcony w 92. Zmotoryzowaną Brygadę Grenadierów, której szeregi przerzedziły się znacząco w październiku w trakcie operacji belgradzkiej. Miesiąc później po raz kolejny brygadę przekształcono w 92. Zmotoryzowaną Brygadę Grenadierów Pancernych. Po walkach na Węgrzech rozkazem OKW została ona 5 maja 1945 r. rozwiązana.

Major Schacht

Najbardziej bojową jednostką niemiecką, w której służyli Arabowie, był 845. batalion piechoty. Po ukończeniu szkolenia został on przesunięty w sierpniu 1943 r. do Grecji. Jego zadaniem było zabezpieczenie w Macedonii linii kolejowej Florina – Edessa – Verria – Naussa. Wiosną 1944 r. 845. batalion przeniesiono na południe Grecji, gdzie podlegał 41. Dywizji Fortecznej, przekształconej następnie w 41. Dywizję Piechoty. Jednostka ta podlegała 68. Korpusowi Armijnemu gen. Felmy. Arabscy ochotnicy pojawili się na masywie górskim Helikon w południowej Grecji (Beocja), walcząc tam z grecką komunistyczną partyzantką spod znaku ELAS. Znakomicie sobie radziła w tych zmaganiach włączona w skład batalionu arabska kompania spadochronowa, przeszkolona swego czasu w Szkole Spadochronowej Wittstock pod Berlinem i mająca doświadczenie bojowe wyniesione z walk na kontynencie afrykańskim.

Arabscy żołnierze osiągali w czasie operacji antypartyzanckich sukcesy. Jednym z nich było ujęcie oficera z brytyjskiej misji łącznikowej. Trzeba jednak pamiętać, że muzułmanie często walczyli w sposób bezwzględny i okrutny, a dokonywane przez nich gwałty i rabunki, czego nie ukrywali niemieccy oficerowie, nie były rzadkością.

845. Batalion Piechoty w czasie wycofywania się z Grecji (w październiku 1944 r.) stanowił ariergardę Grupy Armii E. Poprzez Macedonię Arabowie trafili do Serbii, gdzie pokazali swoją determinację i wolę walki. W listopadzie 1944 r. w okolicach Užic 1. kompania pięciokrotnie atakowała wzgórze 734, pokazując niezwykły hart ducha bojowego. W styczniu 1945 r. postanowiono rozwiązać bliźniaczy II batalion arabski powstały w Grecji w 1944 r. Jego żołnierzy rozdysponowano (niemiecka kadra została przeniesiona) po poszczególnych kompaniach 845. batalionu. Miesiąc wcześniej Arabowie zostali dyslokowani do wschodniej Bośni, gdzie podporządkowano ich 104. Jäger-Division.

Następnym miejscem służby była Syrmia, gdzie w marcu powrócili pod opiekę 41. Infanterie Division. Trzeba przyznać, że arabscy ochotnicy bardzo przywiązywali się do swoich dowódców. Przykładem jest cieszący się niezwykłym szacunkiem mjr Gerhard Schacht, u którego po otrzymaniu nominacji na dowódcę 25. Pułku Strzelców Spadochronowych w 9. Dywizji Strzelców Spadochronowych stawiło się 100 arabskich żołnierzy. Zdecydowali się oni opuścić swe dotychczasowe stanowiska, by walczyć w marcu i kwietniu 1945 r. nad Odrą w okolicach Szczecina (przyczółek Altdam) pod komendą byłego przełożonego z frontu wschodniego. 10 maja 1945 r. batalion wraz z 41. Dywizją Piechoty zdecy-

eprasa.pl bf9306b6ba

dował się złożyć broń przed żołnierzami komunistycznej Jugosłowiańskiej Armii, kończąc tym samym swój szlak bojowy. Doszło do tego na północ od Zagrzebia, w okolicach miejscowości Zabok.

Nie tylko Niemcy

Przez jednostki Wehrmachtu w latach 1941–1945 przewinęło się ok. 500 Syryjczyków, 150–200 Palestyńczyków, 450 Irakijczyków, 150–200 Libijczyków, 5–6 tys. Marokańczyków, Tunezyjczyków, Algierczyków i Egipcjan. Nie mówimy tu zatem o dużych liczbach.

Arabscy ochotnicy podczas służby występowali często w mundurach tropikalnych Wehrmachtu i w mundurach zwykłych w kolorze feldgrau. Na prawym rękawie ochotnicy mieli tarczę z flagą Iraku – jako państwa i narodu, który pierwszy wystąpił przeciw brytyjskiemu imperializmowi. U spodu tarczy widniał niemiecki napis „Freies Arabien", co miało wskazywać na przynależność do nieistniejącej formalnie formacji Legion Freis Arabien. Ten sam napis (tym razem w języku arabskim) umieszczono na samej górze tarczy. Członkowie Deutsch-Arabische Lehr Abteilung z Sonderverband 287 nosili mundury ze specjalną plakietką na prawym ramieniu, na której znajdowały się palma w wieńcu, pod nią swastyka w białym kolorze, a w tle szyte żółtą nicią słońce. Żołnierze KODAT nosili z kolei francuskie mundury wojsk kolonialnych z białą opaską na rękawie z napisem „W służbie niemieckiego Wehrmachtu".

Nie tylko Niemcy tworzyli oddziały złożone z Arabów. Takie jednostki powstawały także pod auspicjami Francji Vichy. Najbardziej znaną była licząca 406 żołnierzy (120 Tunezyjczyków) Falanga Afrykańska. Chociaż składała się z kolaborantów francuskich, głównie ultrasów z PPF Jacques'a Doriota, była de facto jednostką niemiecką działającą w składzie 334. Dywizji Piechoty. Od 8 kwietnia do 7 maja 1943 r. wydzielony 212-osobowy oddział Falangi zaangażowany był w walki 5–10 km na północny wschód od Madżaz al-Bab. Walki z Brytyjczykami nie były zbyt intensywne. Do momentu ich zakończenia poległo sześciu legionistów, siedmiu odniosło rany, a 57 zaginęło. Czternastu legionistów wziętych do niewoli rozstrzelały za zdradę oddziały wojskowe Sił Wolnej Francji.



Naszywka Sonderverband 287/288

FOT. VALKA.CZ

Arabskich ochotników wykorzystywali również Włosi, a konkretnie wywiad wojskowy SIM. Jednostką Raggruppamento Centri Militari (od października 1942 r. Raggruppamento „Frecce Rosse" – RFR) kierował weteran wojny domowej w Hiszpanii, oficer MVSN (milicji faszystowskiej), ppłk Massimo Invrea, po wojnie jeden z liderów frakcji lewicowej neofaszystowskiego Włoskiego Ruchu Społecznego. W ramach RFR istniał 700-osobowy mieszany włosko-arabski oddział, w którego skład wchodziło 200 Arabów (głównie Sudańczyków i Tunezyjczyków).

Po wojnie

Warto poświęcić nieco uwagi arabskim ochotnikom służącym w Wehrmachcie, którzy następnie zostali przeszkoleni przez niemiecki wywiad. Do takich osób należał Palestyńczyk Fawzi el-Kutub, uczestnik powstania arabskiego z lat 1936–1939 oraz antybrytyjskiej rebelii w Iraku z 1941 r., który ukończył szkołę wywiadu Agenten-Schule West. Ponieważ miał zostać desantowany jako sabotażysta za liniami, odmówił i został uwięziony przez Niemców (uwolnił go dopiero al-Husajni). Po wielu perypetiach udało mu się uniknąć sowieckiej niewoli i trafić do amerykańskiego obozu jenieckiego. Po zwolnieniu wyjechał do Palestyny. Zaangażował się tam w wojnę z żydowskimi organizacjami paramilitarnymi. Był odpowiedzialny za kilka zamachów terrorystycznych z użyciem ładunków wybuchowych, w związku z czym nadano mu pseudonim Inżynier. Odpowiadał za wysadzenie budynku Poczty Palestyńskiej (1 lutego 1948 r.) i budynku Agencji Żydowskiej w Jerozolimie (11 marca 1948 r.), przeprowadzenie 22 lutego 1948 r. zamachu na ulicy Ben Jehudy w Jerozolimie, który pociągnął za sobą śmierć 46 osób (130 rannych), a także zniszczenie dwóch synagog (Tiferet Israel i Hurva) na Starym Mieście w Jerozolimie. Fawzi El-Kutub zmarł w Syrii pod koniec lat 80.

Innym ciekawym przypadkiem arabskiego agenta wywiadu niemieckiego jest algierski Kabyl, Saïd Mohammedi. Żołnierz 845. batalionu piechoty, następnie wywiadowca i dywersant zrzucony na teren Algierii wraz ze swoją grupą w celu wywołania powstania. Został ujęty i skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na dożywotnie więzienie. Po zwolnieniu w 1952 r. przyłączył się do FLN. Mohammedi dokonał 28 maja 1957 r. w miejscowości Melouza okrutnej masakry 315 osób postrzeganych jako zwolennicy MNA – Algierskiego Ruchu Narodowego Mohammeda Bellounisa, ugrupowania stanowiącego konkurencję dla FLN-ALN.



Major Gerhard Schacht

FOT. WARFAREARCHIVES.COM

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Starcie pikinierów. Fragment sceny bitewnej według Hansa Holbeina Młodszego (I połowa XVI w.)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pikiniera nie warto zabijać



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

U progu renesansu pika piechoty pozostawała niekwestionowaną królową europejskich pól bitewnych. Taktykę walki tą prostą z pozoru bronią do perfekcji opanowali Szwajcarzy

Do początku XVI w. byli oni najbardziej cenionymi i najlepiej opłacanymi najemnikami w Europie, uchodzili za elitę. Mawiano: „Point d'argent, point de Suisse" („Nie ma złota, nie ma Szwajcarów"). Kluczową rolę w helweckich zwycięstwach odgrywały zwartość szyku oraz dyscyplina. Szwajcarskie piki mierzyły 5,5 m i miały stalowy 25-centymetrowy grot; podobnie jak w przypadku jej starożytnego przodka, czyli macedońskiej sarissy, drzewce wykonywane było z jesionu. Pikinierzy mieli zadanie rozbić szyk nieprzyjacielski, wyzyskując długość swej broni, groźnej w równym stopniu dla piechoty i dla kawalerii. Potem do walki włączali się halabardnicy. Formacja pikinierów sprawdzała się także w obronie: las pik skutecznie powstrzymywał ataki, mógł także znacznie zniwelować ostrzał łuczników. Mawiano, że „każdy, kto może nosić pikę, powinien ją nosić".

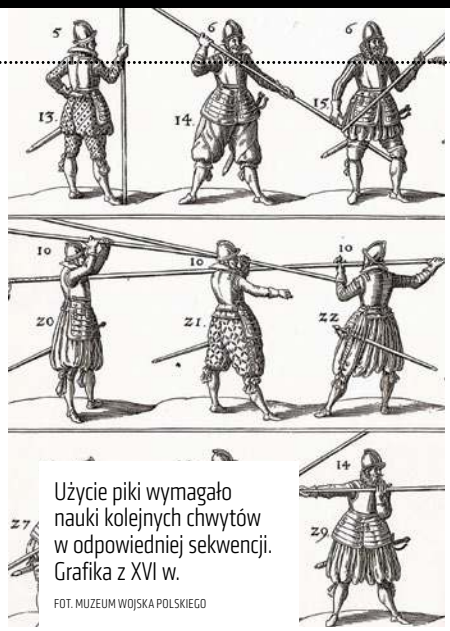
Nierozłączny tandem

Nic jednak nie trwa wiecznie i szwajcarski system walki w końcu się zdewaluował. Stało się to w trakcie wojen włoskich toczonych w latach 1494–1559. Tamtejsze pola bitew opanowali kondotierzy, profesjonalni wojownicy kontraktowi z różnych stron Europy, korzystający m.in. z najnowszych zdobyczy techniki militarnej, czyli broni palnej. Jej rola znacząco wzrosła z chwilą wynalezienia zamka lontowego, który pod koniec XV w. zyskał już swą dojrzałą postać. Jego konstrukcja opierała się na prostym systemie sprężyny i dźwigni, które zamocowano wewnątrz blachy zamkowej przytwierdzonej z prawej strony drewnianej osady i połączono z S-kształtnym kurkiem za pomocą tzw. orzecha (mimośrodowego przegubu). Jeden koniec kurka tworzyły dwie równoległe blaszki ściskane śrubą i utrzymujące końcówkę lontu. Kurek osadzony był przed panewką i opadał w kierunku strzelca, a nie ku wylotowi lufy. Naciśnięcie spustu powodowało obrót kurka, którego koniec z lontem płynnie opadał na panewkę (wcześniej należało osunąć jej pokrywkę). Od teraz strzelec mógł poświęcić całą uwagę na celowanie i strzał bez potrzeby dodatkowych manipulacji bronią. Wraz z udoskonaleniem osady, której kolbę można było oprzeć w dołku strzeleckim przy ramieniu (tzw. kolba lancknechtowska – Landsknecht Kolbe), oznaczało to niemal skokowy wzrost znaczenia ognia piechoty. Żołnierze z arkebuzami zaczęli coraz częściej decydować o wynikach bitew. Pikinierzy – jako samodzielna jednostka taktyczna – stali się zbyt wrażliwi na ostrzał. W połowie XVI w. arkebuzerzy byli już w stanie przełamać zwarty szyk pikinierów. Zwłaszcza od kiedy popu-

eprasa.pl bf9306b6ba

larność zaczęły zyskiwać muszkiety, znacznie cięższe i mniej wygodne od arkebuzów (do ich oparcia potrzebne były specjalne widełki, czyli forkiet), ale za to donośniejsze i zapewniające większą siłę rażenia. Muszkiety lontowe były kłopotliwe w użyciu, przez co cechowały się niewielką szybkostrzelnością. Jednak dzięki pomysłowej taktyce okazywały się wielce skuteczne (tzw. kontrmarsz).

Pomimo coraz wyraźniejszej dominacji strzelców byli oni właściwie bezbronni w przypadku bezpośredniego ataku. Raimondo Montecuccoli, słynny wódz cesarski, twierdził, że „sami muszkieterzy, bez pikinierów, nie są w stanie utworzyć struktury zdolnej do oparcia się nacierającej na nią gwałtownie kawalerii czy też do przetrzymania ataku i starcia z pikinierami". Dlatego żołnierze z długą bronią drzewcową pozostawali ważnym składnikiem europejskiej piechoty jeszcze w połowie XVII w. Wyzwaniem dla dowódców i teoretyków było opracowanie efektywnej taktyki muszkietersko-pikinierskiej. Należało tak uformować szyk, aby niemożliwością było zbliżyć się do pikinierów, nie przyjmując na siebie ognia muszkieterów, jak również zaatakować tych drugich, nie narażając się na atak tych pierwszych. Pika była bronią wyspecjalizowaną, a posługujący się nią żołnierz musiał opanować podstawy musztry, która była nie mniej wymagająca i równie skomplikowana, co w przypadku jego kolegi z bronią palną. Od pikiniera wymagano niemałej krzepy, bo poza ciężką piką dźwigał na sobie półzbroję i żelazny hełm.



Użycie piki wymagało nauki kolejnych chwytów w odpowiedniej sekwencji. Grafika z XVI w.

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Atrofia formacji

Pomimo konieczności pozostawienia pikinierów w ramach szyku piechoty zaczęli oni szybko tracić na znaczeniu w obliczu coraz większego nasycenia bronią palną. Każda kolejna europejska reforma militarna podporządkowana była maksymalizacji potencjału tkwiącego w muszkietach. Widać to m.in. na przykładzie zmian wprowadzanych w strukturze hiszpańskich pułków piechoty (tercios), dominujących na europejskich polach bitew w drugiej połowie XVI w. W 1560 r. w tercio liczącym 10 kompanii tylko dwie z nich były czysto strzeleckie, ale w pozostałych – nominalnie pikinierskich – jedna trzecia żołnierzy miała arkebuzy. Pod koniec stulecia liczba kompanii zwiększyła się do 20, w tym trzech arkebuzersko-muszkieterskich. W pozostałych stosunek muszkieterów i pikinierów wynosił 1:1. W latach 30. wszystkie kompanie (15) były już mieszane i składały się ze 130 strzelców i tylko 60 żołnierzy uzbrojonych w broń drzewcową. W czasie wojny trzydziestoletniej relacja muszkieter – pikinier kształtowała się 3:1. Przynajmniej w teorii, ponieważ w rzeczywistości pikinierów było zapewne jeszcze mniej. W bitwach wykorzystywano ich coraz rzadziej, a bywało i tak, że pozostawali zupełnie bezczynni. W gigantycznym starciu pod Breitenfeld nie odegrali niemal żadnej roli. Szwedzi zawdzięczali zwycięstwo znakomitej dyscyplinie ogniowej (salwy) oraz umiejętnemu współdziałaniu muszkieterów i oddziałów jazdy. Odparłszy zajadłe ataki cesarskich kirasjerów Gottfieda Heinricha von Pappenheima, wojacy Gustawa II Adolfa zdziesiątkowali następnie nieprzyjacielską piechotę. Poległo 8 tys. cesarskich żołnierzy; większość z nich od szwedzkich kul, a nie pik. Hans Jakob Christoffel von Grimmelshausen, XVII-wieczny żołnierz i pisarz czerpiący z doświadczeń tamtej wojny, żartował, że „kto zabija pikiniera, którego mógł oszczędzić, zabija niewinnego człowieka. Pikinier nie wyrządza krzywdy nikomu, kto sam nie nadziewa się z rozpędu na pikę". Tym bardziej że jazda, coraz mniej opancerzona, działająca ofensywnie i szybciej reagująca na zmieniającą się sytuację taktyczną potrafiła zapewnić muszkieterom skuteczną osłonę. W bitwie pod Seneffe stoczonej 11 sierpnia 1674 r. (wojna Francji z koalicją, lata 1672–1678) ogień muszkietowy był tak intensywny, że pikinierzy odrzucili piki i chwycili za broń poległych strzelców. W starciu wręcz kolba muszkietu okazywała się dużo praktyczniejsza aniżeli długaśna i ciężka pika. Coraz większa poręczność i funkcjonalność muszkietów (w drugiej połowie XVII w. wyposażanych coraz częściej w zapłon skałkowy) oraz udoskonalona taktyka strzelecka nie były jedynymi czynnikami wpływającymi na spadek znaczenia pikinierów. To bagnet okazał stał się ich „gwoździem do ich trumny".

Pika do lamusa

Ta nowa broń zamieniała muszkiet w poręczną broń drzewcową, którą odpowiednio uszykowani żołnierze mogli się obronić przed szarżą konnicy lub sami zaatakować przeciwnika pozbawionego osłony pikinierów. Zasadniczą wadą bagnetu wczesnego typu był brak możliwości oddania strzału, a także nabicia broni, ponieważ rękojeść bagnetu tkwiła w wylocie lufy. Dlatego po pewnym czasie zastosowano tuleję z odchodzącym od niej profilowanym ramieniem przechodzącym w głownię. Po nasadzeniu tulei na wylot lufy głownia była teraz odsunięta od jej osi, a żołnierz mógł strzelać i ładować z założonym bagnetem, będąc jednocześnie gotowym do odparcia bezpośredniego ataku. W drugiej połowie XVII w. bagnety sukcesywnie adaptowano w szeregu armiach Europy, przy czym ich szybka kariera wynikała m.in. z coraz powszechniejszego użycia lżejszych i wygodniejszych odmian muszkietów, które nie wymagały oparcia na forkiecie; w ten sposób masa „tandemu" muszkiet – bagnet umożliwiała względnie swobodną szermierkę. W trakcie hiszpańskiej wojny sukcesyjnej (1701–1714) pikinierzy zupełnie zniknęli z zachodnioeuropejskiego teatru działań wojennych, podczas gdy na wschodzie utrzymali się nieco dłużej. Zanik pikinierów oznaczał narodziny żołnierza uniwersalnego, podporządkowanego wymogom taktyki linearnej i uzbrojonego w muszkiet skałkowy z bagnetem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Kuchenka na gaz. Ilustracja z pisma „Country Gentelman", 1928 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FLICKR. COM

Wynalazki i płeć / Rowery, podpaski i antybiotyki

Techniczna strona emancypacji



Tymoteusz Pawłowski

Równouprawnienie kobiet i mężczyzn nie byłoby możliwe, gdyby nie wynalazki. Dużo większe znaczenie niż najszczytniejsza idea ma bowiem postęp techniczny

Emancypacja to bardzo szerokie pojęcie. Za czasów rzymskich znaczyło ono osiągniecie pełnoletności, gdy dziecko otrzymywało pełnię praw dorosłego obywatela, a więc ojciec wypuszczał z rąk władzę rodzicielską (właśnie to oznacza łacińskie słowo „emancipatio"). Dwa tysiące lat później – w XVIII w. – terminowi temu nadano szersze znaczenie: przyznanie praw obywatelskich pewnym grupom społecznym.

Prawa obywatelskie dawały możliwość decydowania o polityce państwa, a najważniejszą decyzją, jaką można było podjąć, było wypowiedzenie komuś wojny. Prawa obywatelskie miały zatem te grupy ludności, które ryzykowały na wojnie swoje życie. W starożytności byli to wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni, ale w średniowieczu już tylko ci, którzy walczyli konno, czyli rycerze.

Głodne armie

Do końca XVIII w. armie były niewielkie i służyli w nich wybrani, np. rycerze albo wysoce wyspecjalizowani muszkieterzy czy pikinierzy. Wojska były niewielkie, bo trudno było je wyżywić. W XVIII stuleciu nastąpiła jednak zmiana: zaczęto stosować płodozmian, który przyniósł olbrzymie nadwyżki żywności. Dodatkowo Europa pokryła się siecią dróg i kanałów umożliwiających dostarczanie tych nadwyżek do walczących armii. Już w XIX w. pojawiły się pierwsze konserwy oraz koleje żelazne, jeszcze bardziej ułatwiające wystawianie masowych armii. To właśnie wtedy prawa wyborcze zostały rozciągnięte na wszystkich lub prawie wszystkich mężczyzn: najpierw w Stanach Zjednoczonych po zadeklarowaniu niepodległości w 1776 r., później zaś w rewolucyjnej Francji.

Prawa wyborcze stopniowo rozszerzano przez cały wiek XIX na coraz to nowe grupy mężczyzn, stopniowo obniżając stawiane im wymagania, przede wszystkim finansowe. Kobiety praw wyborczych nie miały, bo ani nie ryzykowały swojego życia na wojnie, ani nie płaciły podatków. Oczywiście były wyjątki: od 1869 r. kobiety mogły głosować w amerykańskim Wyoming, na bardzo Dzikim Zachodzie, a od 1893 r. w brytyjskiej Nowej Zelandii. Dlaczego? Były to terytoria graniczne, gdzie kobiety pracowały i walczyły na równi z mężczyznami.

W Europie tak jednak nie było. Mężczyźni pracowali w fabrykach, płacili podatki, ryzykowali swoje życie na wojnach; kobiety natomiast prowadziły dom i wychowywały dzieci. Nie były to bynajmniej role społeczne narzucone przez męski szowinistyczny patriarchat: kobiety były zbyt słabe fizycznie, aby pracować przy liniach produkcyjnych w przemyśle ciężkim czy brać udział w wojnach, chociażby ze względu na to, że oporządzenie żołnierza ważyło – i wciąż waży – ok. 35 kg. Co więcej, sama natura narzuciła kobietom ograniczenia w postaci miesiączki, co jest szczególnie uciążliwe przy braku odpowiednich środków higienicznych.

Pojawiły się one w drugiej połowie XIX w., w postaci bieżącej wody, wodociągów i kanalizacji, mydła oraz taniej bawełny. Podpaski były bowiem wielorazowe i aby prowadzić jakiekolwiek aktywne życie – tzn. wstawać z łóżka, aby wysłać dzieci do szkoły, wyjść do sklepu, przygotować posiłek – trzeba było je prać kilka razy dziennie. Większa aktywność – chociażby wyjazd na studia

eprasa.pl bf9306b6ba



Reklama roweru Peugeot, ok. 1905 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

na Sorbonie – wymagała poważnych starań logistycznych.

Mężczyźni pracowali zawodowo, ale rola kobiet była równie ważna. Codziennie trzeba było zrobić zakupy, napalić w piecu, przygotować kolejny posiłek, odkurzyć mieszkanie z wszechobecnej sadzy, zrobić pranie. Dopiero pod koniec XIX w. pojawiły się takie wynalazki jak chłodziarka, kaloryfery, kuchenka gazowa, centralne ogrzewanie, odkurzacz, pralka mechaniczna. Wynalazkiem o największym znaczeniu dla równouprawnienia płci był jednak... rower, pochodzący z 1885 r., który pozwolił kobietom na samodzielność transportową i niezależny od mężczyzn udział w życiu towarzyskim, społecznym i politycznym.

Bomby na kobiety

Wszystko zmieniła Wielka Wojna, dziś lepiej znana jako pierwsza wojna światowa. Była ona prowadzona zupełnie nowymi środkami: drutem kolczastym, karabinami maszynowymi, szybkostrzelną artylerią. Wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni trafili do wojska, a ich miejsca w fabrykach i na polach zajęły kobiety. A ponieważ wynalezione raptem kilka lat wcześniej samoloty bombardowały miasta i ludność cywilną, która w dodatku cierpiała głód spotęgowany blokadą morską założoną przez okręty podwodne, dla wszystkich było oczywiste, że kobiety prowadzą wojnę na równi z mężczyznami, ryzykując swoje zdrowie i życie. Musiały zatem otrzymać prawa wyborcze.

Większość państw europejskich zagwarantowała powszechne prawo wyborcze dla obydwu płci tuż po zakończeniu Wielkiej Wojny – Polska zadecydowała o tym już w listopadzie 1918 r. Kobiety w nową epokę polityczną weszły całkiem dobrze przygotowane dzięki kilku niedawnym wynalazkom, związanym z higieną i ze sposobem ubierania. Przede wszystkim na masową skalę zaczęto wytwarzać tanie jednorazowe podpaski, wykorzystując linie produkcyjne jednorazowych opatrunków bojowych. Poza tym modne – z konieczności – stały się spodnie i krótkie fryzury, ułatwiające kobietom pracę, a krepujące ruchy gorsety zaczęto zastępować biustonoszami.

Jednym z ruchów społeczno-politycznych propagujących równouprawnienie kobiet i mężczyzn był feminizm. Można wyróżnić kilka jego fal. Pierwsza fala feminizmu doprowadziła do opisanego już równouprawnienia politycznego po 1918 r. Druga fala feminizmu miała miejsce w latach 60. XX w., a dotyczyła głównie równouprawnienia na rynku pracy oraz kobiecej seksualności, w tym prawa do aborcji.

U podstaw drugiej fali feminizmu leżało wynalezienie antybiotyków w 1945 r., wprowadzenie do sprzedaży w 1960 r. hormonalnej pigułki antykoncepcyjnej oraz upowszechnienie się środków psychodelicznych, którego szczytowym punktem było „lato miłości" w 1967 r. Psychodeliki ułatwiały nawiązywanie kontaktów, pigułka pozwalała decydować kobiecie o zajściu w ciążę, a antybiotyki leczyły niepożądane skutki przypadkowych kontaktów seksualnych. Od tego momentu kobiety stały się równe mężczyznom nie tylko politycznie, lecz także towarzysko oraz zawodowo: możliwość planowania ciąży oznaczała bowiem również możliwość planowania kariery zawodowej, a wyjściem awaryjnym w razie niechcianej ciąży stała się aborcja, do tego czasu zwalczana przez feministki pierwszej fali.

Kilkadziesiąt lat później, na przełomie wieków XX i XXI, pojawiła się teza, że przyszedł czas na trzecią falę feminizmu. Uznano, że nie wszystkie cele zostały osiągnięte i walka o nie powinna być prowadzona bardziej radykalnymi środkami, a uwaga świadomych kobiet powinna skupiać się również na problemach rasowych, religijnych, ekologicznych, sposobie ubierania się czy zdrowym żywieniu. Jednak wyodrębnianie trzeciej fali było krytykowane – także, a może głównie, przez inne feministki – na bardzo wielu płaszczyznach.

Dyskusja zakończyła się wraz z pojawieniem się w 2012 r. czwartej fali feminizmu, której działalność skupia się głównie w mediach społecznościowych. Jest to oczywiście związane z pojawianiem się w 2007 r. smartfonów: LG Prada trafił do sklepów w marcu, a iPhone w czerwcu. Nie tylko zmieniło to sposób telefonowania, lecz także rozpoczęło modę na media społecznościowe. Wyróżnienie czwartej fali feminizmu – w porównaniu do trzeciej – ma zatem sens z punktu widzenia historii techniki.



Reklama podpasek firmy Johnson & Johnson, 1975 r.
FOT. ARCHIVE.ORG

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bf9306b6ba



Piotr Zychowicz

Werner von Fritsch był jednym z najwyższych rangą oficerów Wehrmachtu poległych podczas drugiej wojny światowej. Zginął od polskiej kuli



Od lewej: gen. Werner von Blomberg, gen. Werner von Fritsch, adm. Erich Raeder

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

1939 r. / Wielka strata Wehrmachtu

Czy generał von Fritsch szukał śmierci?

22 września 1939 r. Na warszawski Targówek nacierają masy niemieckiej piechoty, silnym ogniem wspiera je 12. Pułk Artylerii Meklemburskiej. Niemcy zajmują ówczesny folwark Zacisze i niewielką fabrykę atramentu leżącą na przedpolu polskich pozycji. Polscy strzelcy, najprawdopodobniej pod dowództwem por. Jana Borkowskiego, ruszają, by odbić zakład.

Borkowski osobiście skorygował celownik karabinu maszynowego, gdy z folwarku wyszło trzech niemieckich oficerów. Obserwowali pole walki i studiowali mapy. Nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa. Myśleli, że siły polskie zostały odrzucone z tego rejonu. Jeden z oficerów miał czerwone lampasy i charakterystyczną siodłatą czapkę. Borkowski nacisnął spust i wypuścił serię. Oficerowie padli na ziemię.

Polski porucznik nie wiedział, że trafiony przez niego niemiecki oficer w czapce to generał pułkownik Werner von Fritsch, były naczelny dowódca niemieckich wojsk lądowych i jeden z najsłynniejszych, najwyższych rangą oficerów Wehrmachtu. Kula z polskiego automatu – jak wiadomo ze źródeł niemieckich – rozerwała mu arterię w nodze.

„Herr Generaloberst otrzymał postrzał w lewe udo – relacjonował adiutant porucznik Rosenhagen – kula rozerwała tętnicę. Natychmiast upadł. Zdjąłem mu szelki, żeby zatamować upływ krwi. Herr Generaloberst powiedział: „Proszę zostawić", stracił przytomność i zmarł z uśmiechem na twarzy. Od postrzału do śmierci minęła zaledwie minuta".

Żołnierze przetransportowali jego ciało na tyły. Wykorzystując zamieszanie w szeregach wroga, Polacy odbili fabryczkę.

Intryga Himmlera

Śmierć von Fritscha wywołała w Niemczech szok. W Berlinie urządzono mu uroczysty państwowy pogrzeb, a w okupowanej Polsce wszczęto śledztwo mające ustalić okoliczności jego śmierci.

Choć władze III Rzeszy oficjalnie opłakiwały generała, to rok wcześniej Adolf Hitler – przy pomocy Heinricha Himmlera, który uknuł przeciwko oficerowi paskudną aferę – doprowadził do jego upadku.

Generał von Fritsch, jako pruski konserwatysta, patrzył z niechęcią na narodowosocjalistyczną rewolucję. Szczególnie niepokoił go wzrost siły SS, którą uważał za konkurencję dla Wehrmachtu. Stał również na gruncie, że armia powinna być apolityczna. Dlatego sprzeciwiał się penetracji sił zbrojnych przez NSDAP.

Fritsch nie był również zachwycony planami Hitlera, który – na zamkniętych spotkaniach z generałami – nie wykluczał rozpętania kolejnej wojny w Euro-

eprasa.pl bf9306b6ba

pie. Fritsch uważał, że armia niemiecka jest niegotowa do wielkiego konfliktu, i starał się hamować zapędy dyktatora. Szczególnie obawiał się widma wojny na dwa fronty.

Konflikt między Führerem z jednej strony a von Fritschem i ministrem wojny generałem Wernerem von Blombergiem narastał. Hitler zdał sobie sprawę, że obaj oficerowie stoją na drodze do całkowitego podporządkowania armii jego woli.

W obliczu nadchodzącej wojny wydawało się to Führerowi wyjątkowo groźne. Okazja do usunięcia obu oficerów nadarzyła się, gdy von Blomberg 12 stycznia 1938 r. ożenił się z niejaką Margarethe Gruhn. Okazało się, że kobieta ta – jeżeli wierzyć niemieckiej policji – miała bogatą kartotekę.

„Żona marszałka von Blomberga – czytamy w policyjnym raporcie – była wcześniej skazaną prostytutką, zarejestrowaną jako prostytutka w aktach siedmiu dużych miast niemieckich; figurowała również w berlińskich aktach karnych. Została skazana przez berlińskie sądy za rozpowszechnianie nieprzyzwoitych zdjęć".

Hitler nie posiadał się z oburzenia. Szczególnie że sam był gościem na ślubie, a Göring był nawet świadkiem! Hitler zażądał od gen. von Blomberga, żeby natychmiast anulował małżeństwo. Ten się nie zgodził. Ale kiedy gestapo zagroziło, że informacje o jego małżonce zostaną podane do publicznej wiadomości, złożył dymisję.

Wówczas Himmler zaaranżował intrygę, której celem było niedopuszczenie, by von Blomberga zastąpił von Fritsch. Reinhard Heydrich spreparował akta, według których generał był zaangażowany w praktyki homoseksualne. Oburzony generał podał się do dymisji choć – jak głosi jedna z wersji – koledzy z armii radzili mu, żeby postawił się Hitlerowi i przeprowadził wojskowy pucz przeciwko narodowym socjalistom.

„Bawarski Jaś" przed sądem

Wkrótce kłamstwo wyszło na jaw. Okazało się, że zarzuty w rzeczywistości



Werner von Fritsch

FOT. NAC

dotyczą kapitana kawalerii Achima von Fritscha, a nie generała o tym samym nazwisku. Na nic nie zdało się nawet podstawienie fałszywego świadka, który zeznał w sądzie, że widział Fritscha, jak zabawiał się w publicznej toalecie z osobnikiem o ksywie Bawarski Jaś.

Sprawa była szyta grubymi nićmi i wywołała wściekłość w korpusie oficerskim Wehrmachtu. Koleżeński sąd wojskowy oczyścił Fritscha z zarzutów, ale generał nigdy już nie odzyskał dawnej pozycji. Na wojnę z Polską pojechał jako „honorowy dowódca" 12. Pułku Artylerii.

Upokorzenie przez Führera wywołało pogłoskę, że Fritsch na polu bitwy „szukał śmierci" i specjalnie podszedł pod ogień karabinu maszynowego. W świetle relacji świadków i ustaleń historyków wersja taka jest jednak mało prawdopodobna.

„Szeroko rozpowszechniona plotka – wspominał gen. Wilhelm Keitel – głosiła, że Fritsch był tak rozgoryczony, że celowo szukał śmierci w akcji. Jest ona jednak całkowicie nieprawdziwa, biorąc pod uwagę to, co oficer, który zgłosił Führerowi (w mojej obecności) śmiertelne obrażenia Fritscha, widział na własne oczy. Zabłąkana kula ugodziła generała pułkownika, gdy rozmawiał ze swoimi oficerami sztabowymi. W ciągu kilku minut wykrwawił się na śmierć".

Mimo że Rzeczpospolita przegrała kampanię 1939 r., Wojsko Polskie zadało siłom zbrojnym III Rzeszy poważne straty. Jak podawał prof. Paweł Wieczorkiewicz, Niemcy okupili zwycięstwo nad

Upokorzenie przez Führera wywołało pogłoskę, że Fritsch na polu bitwy „szukał śmierci" i specjalnie podszedł pod ogień karabinu maszynowego

Rzeczpospolitą 16 434 poległymi, 5058 zaginionymi, 27 640 rannymi. Wehrmacht stracił również 674 czołgi i 319 samochodów pancernych. Polacy strącili lub uszkodzili 521 samolotów Luftwaffe i zatopili trałowiec Kriegsmarine.

Kampania w Polsce – wbrew temu, co twierdziła propaganda niemiecka – nie była zatem „spacerkiem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Upamiętnienie miejsca śmierci gen. Wernera von Fritscha na warszawskiej Pradze

FOT. NAC

eprasa.pl bf9306b6ba

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

JAN CZOCHRALSKI URODZIŁ SIĘ W KCYNI 23 PAŹDZIERNIKA 1885 ROKU. OD DZIECIŃSTWA INTERESOWAŁ SIĘ CHEMIĄ, CZYTAŁ KSIĄŻKI, A NAWET STWORZYŁ WŁASNE LABORATORIUM W PIWNICY. JEDNAK PEWNEGO DNIA DOSZŁO DO WYBUCHU, W WYNIKU KTÓREGO POWYPADAŁY SZYBY W OKNACH TAKŻE W SĄSIEDNICH BUDYNKACH.



NIE ZNIECHĘCIŁO TO JEDNAK MŁODEGO CZOCHRALSKIEGO I W 1906 ROKU ZACZĄŁ PRACĘ W FABRYCE CHEMICZNEJ KANNE, A JUŻ ROK PÓŹNIEJ W LABORATORIUM BERLIŃSKIEJ FABRYKI KABLI KABELWERK OBERSPREE. I TAM WŁAŚNIE W 1916 ROKU DOKONAŁ SWEGO NAJWIĘKSZEGO ODKRYCIA, GDY W PEWNYM MOMENCIE ZANURZYŁ STALÓWKĘ, PIÓRA NIE W KAŁAMARZU Z ATRAMENTEM, A W STOJĄCYM OBOK TYGLU ZE STYGNĄCĄ CYNĄ.



NA PODSTAWIE TEJ PRZYPADKOWEJ OBSERWACJI STWORZYŁ METODĘ POMIARU SZYBKOŚCI ZESTALANIA PRZEZ KRYSTALIZACJĘ. BYŁ W STANIE WYTWARZAĆ MONOKRYSZTAŁY, A SPOSÓB TEN DO DZIŚ DNIA NAZYWA SIĘ „METODĄ CZOCHRALSKIEGO" I MA ON OGROMNE ZASTOSOWANIE W PRZEMYŚLE ELEKTRONICZNYM, ZWŁASZCZA W PRODUKCJI MIKROPROCESORÓW.

JEGO OSIĄGNIĘCIA SPRAWIŁY, ŻE OTRZYMYWAŁ WIELE OFERT OD DUŻYCH FIRM, W TYM OD AMERYKAŃSKIEGO FORDA.



DO WARSZAWY WRAZ Z CAŁĄ RODZINĄ PRZYJECHAŁ W PAŹDZIERNIKU 1928 ROKU I ROZPOCZĄŁ WYKŁADY NA WYDZIALE CHEMICZNYM POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ, A WKRÓTCE ROZPOCZĄŁ TWORZENIE INSTYTUTU METALURGII I METALOZNAWSTWA Z DOBRZE WYPOSAŻONYM LABORATORIUM, KTÓRE W MOMENCIE WYBUCHU WOJNY ZATRUDNIAŁO PONAD OSIEMDZIESIĄT OSÓB. POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ LABORATORIUM MIAŁO WSPÓŁPRACOWAĆ Z WARSZTATAMI NAPRAWCZYMI WOJSK LĄDOWYCH, JEDNAK...



POZA PRODUKCJĄ WYPOSAŻENIA DLA ARMII KRAJOWEJ, CZOCHRALSKI PRZEKAZYWAŁ TAKŻE AK CENNE INFORMACJE, KTÓRE ZDOBYWAŁ. NATOMIAST OD POŁOWY 1943 ROKU UKRYWAŁ W SWOIM DOMU RODZINĘ SWEGO PRZYJACIELA SALOMONA GRAFFA. PO WOJNIE OSKARŻONO GO JEDNAK O KOLABORACJĘ, ARESZTOWANO NA BLISKO PIĘĆ MIESIĘCY, A SENAT POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ USUNĄŁ GO Z UCZELNI.



JEDNAK WŁADZE KOMUNISTYCZNE NIE USTAWAŁY W NĘKANIU CZOCHRALSKIEGO I ORGANIZOWAŁY KOLEJNE PRZESZUKANIA. PO JEDNYM Z NICH TRAFIŁ DO SZPITALA. ZMARŁ 22 KWIETNIA 1953 ROKU W WYNIKU ZAWAŁU SERCA.



DOPIERO W 2011 ROKU DOPROWADZONO DO REHABILITACJI JANA CZOCHRALSKIEGO NA UCZELNI: „W ŚWIETLE PRZEPROWADZONYCH DOGŁĘBNYCH BADAŃ ARCHIWALNYCH ZARÓWNO NA TERENIE POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ, JAK I W ARCHIWALNYCH INSTYTUCJACH PAŃSTWOWYCH, PROF. JAN CZOCHRALSKI JAWI SIĘ JAKO POSTAĆ, KTÓRA W EKSTREMALNYCH WARUNKACH SZALEJĄCEGO TERRORU OKUPANTA, A W OKRESIE POWOJENNYM W ATMOSFERZE ŚCIERANIA SIĘ RÓŻNYCH SIŁ POLITYCZNYCH, POTRAFIŁA ZACHOWAĆ GODNĄ POSTAWĘ CZŁOWIEKA, KIERUJĄCEGO SIĘ GŁĘBOKIM PATRIOTYZMEM I DAJĄCEGO WIELOKROTNIE DOWODY SWOJEJ POLSKOŚCI."

eprasa.pl bf9306b6ba

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

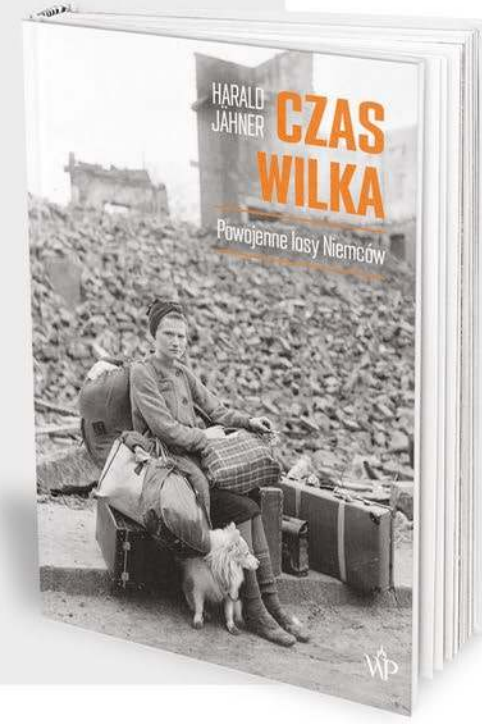
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA HARALD JÄHNER „CZAS WILKA. POWOJENNE LOSY NIEMCÓW”

Pierwsze lata powojenne to dla jednych „dziki kontynent”, dla innych „wielka trwoga”, dla Niemców „wilczy czas” – czas, w którym cały naród musiał dokonać przewartościowania swych postaw i stworzyć fundamenty demokratycznego państwa.

Harald Jähner ukazuje Niemców w całej ich różnorodności: pisarza Alfreda Döblina, który w swej twórczości próbował kreować nowych, nieobarczonych przeszłością obywateli, Beate Uhse – twórczynię pierwszego sex-shopu na świecie, bezimiennych handlarzy z lucky strike'ami w kieszeniach i stylowe gospodynie domowe.

„Czas wilka” to również opowieść o krajobrazie wszechobecnych ruin, o masowych migracjach ludności, o silnych afektach i emocjach. O kształtowaniu nowej gospodarki rynkowej w cieniu grabieży i czarnego rynku, o generacji Garbusa. Ale też o systematycznym wypieraniu prawdy o Zagładzie.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

173 zł

oszczędność 61 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bf9306b6ba

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl bf9306b6ba